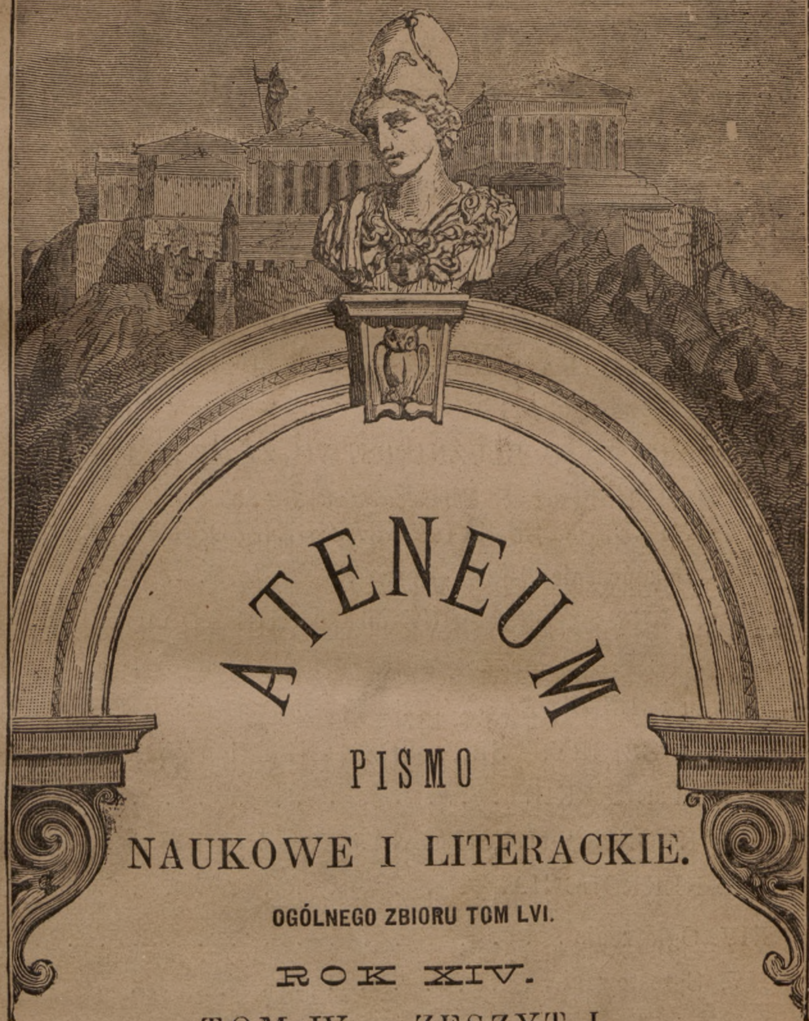


ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVI.

ROK XIV.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 4 Października 1889 r.



PROJEKTOMANIA.

Powstał projekt założenia w kraju fabryki zegarków, ale okazało się, że autor projektu nie mógł zebrać potrzebnych na ten cel kapitałów; podjęte starania miały go kosztować niemało (jeżeli prawda). Powstał projekt zbudowania drogi żelaznéj z X do Z. Powstał projekt zbudowania szpitala dla obłąkanych starozakonnych. Istnieje projekt założenia towarzystwa dla opiekowania się wypuszczonymi z więzień. Myślą o założeniu fabryki stalowych piór do pisania itd. itd. Są-to projekty z jednego dnia ogłoszone w jednym dzienniku. Nazajutrz ten sam dziennik lub jego antagonista wszystkim tym projektom zaprzeczy, albo doniesie o ich niepowodzeniu. Zdawałoby się, że dzienniki oprócz doniesień o niezliczonych zabawach, koncertach, teatrach amatorskich wzięły sobie za obowiązek mistyfikowanie ludzi tysiącznymi projektami, z których jeden na pięćdziesiąt dochodzi do skutku. Cudzoziemiec czytujący nasze pisma codzienne gotów pomyśléć, że jesteśmy najgenialniejszym narodem na ziemi. Istna powódź projektów, świadcząca prawie o manii. Gdy się dziennikom tę lekkomyślność w ogłaszaniu projektów wyrzuca, odpowiadają: cóż chcecie, przecież od tego jesteśmy, ażeby każdą myśl nową podnieść, autora projektu zachęcić, interesujących się nim zawiadomić, obudzić rozprawy itd. Czy myśl nowa jest wykonalna, lub choćby prawdziwa—nie do nas należy rozstrząsać; niech to czynią specyaliści. Tymczasem specyaliści nie biorą się do rozważenia rzucanych codziennie projektów, które rodzą się i umierają w ciągu doby, poczém znowu za miesiąc, za pół roku zmartwychwstaną i znowu milczeniem zostaną pogrzebane. W czytającym budzi to niesmak. Trudno wprawdzie wymagać, ażeby dzienniki same od siebie miały szczegółowo roztrząsać warunki wykonalności nadsyłanych do redakcyi projektów; rzadko który z nich, a może żaden nie ma ludzi uzdolnionych do oceny p r ó b-

n y c h b a l o n ó w; ale możnaby, zdaje się, wymagać przynajmniéj sprawdzenia, że projekt jakiś rzeczywiście istnieje, ażeby nazajutrz po ogłoszeniu nie było potrzeby odwoływania. Sprawdzanie takie zajęłoby dużo czasu, prawdopodobnie i wydatków, ale uchroniłoby druk od posądzania o kłamstwo. Przecież, gdy człowiek prywatnie w stosunkach towarzyskich kłamie, uważamy to za szpetną wadę charakteru; témbardziéj, gdy słowo ma być własnością publiczną, godziłoby się albo wieść sprawdzić, albo jéj nie ogłaszać. Czytalibyśmy w takim razie mniéj ogłoszeń o projektach, ale więcéj o prawdziwych.

Nie dość jest wszakże przyganiać projektowiczom i dziennikom, które na wyścigi bez sprawdzenia podają ich projekty do wiadomości publicznéj; trzebaby rozważyć, dlaczego z tylu projektów, tak mała liczba wchodzi w wykonanie. Przyczyny niepowodzeń muszą leżéć częścią w samych projektowiczach, a częścią w okolicznościach i warunkach zewnętrznych.

Wszelki pomysł przed urzeczywistnieniem rodzi się w głowie człowieka; pobudką do jego powstania może być albo interes osobisty, np. chęć zysku; albo dążność do poznania prawdy, rozwiązanie wątpliwości, tj. cel teoretyczny. Ażeby jedno lub drugie osiągnąć, potrzeba odpowiedniego uzdolnienia, jak nazywamy, fachowego. Kto sobie lub innym projektuje podniesienie dochodu z rolnictwa przez połączenie go z pewnym rodzajem przemysłu, ten powinien się znać nietylko na rolnictwie, lecz i na téj gałęzi przemysłu, jaką myśli z gospodarstwem równolegle prowadzić. Tak samo, kto projektuje spółki do budowania domów, do parcelacyi ziemi, musi się znać nietylko na rozmaitego rodzaju spółkach i towarzystwach, lecz także i na budownictwie i na ziemi, i na warunkach i na ludziach, z którymi i dla których projekt swój obmyśla. Mogą inni spólnicy dawać tylko kapitał, ale musi być jeden przynajmniéj znający się na rzeczy, który wszystko rozważy i skombinuje. Gdy te warunki będą zachowane; gdy się dowodnie okaże, iż pewna gałąź produkcyi może liczyć na znaczną liczbę konsumentów, że jéj nie grozi potężniejsza konkurencya, że przystąpili do roboty ludzie fachowi, itp. trudno przypuścić, żeby się projekt nie powiódł. Jeżeli się nie powiedzie wskutek okoliczności nieprzewidzianych, lub nie dających się przewidziéć nawet przez ludzi doświadczonych, byłoby to dowodem, że w rachunku i kombinacyi mimowoli pominięto jakiś czynnik. Ludzie zwykle w takim razie mówią o przypadku i wszelkie niepowodzenia składają nań, jak żydzi swoje nieszczęścia na Hamana. Jednego wszakże nie można im zarzucić, mianowicie, że lekkomyślnie przystąpili do rzeczy.

Kiedyindziéj projektom ludzkim stają na przeszkodzie okoliczności zewnętrzne, niezależne wogóle od woli ludzkiéj, tak zwane z galicyjska klęski elementarne, albo z francuska siły wyższe, to jest żywiołowe. I na te wszakże człowiek obmyślił rozmaite ubezpieczenia, które go przynajmniéj w części chronią od niespodzianek, jakie mu gotują ogień, woda, mór i t. p. Do zewnętrznych również przeszkód zaliczamy trudności, wynikające z położenia danego społeczeństwa, które chociaż nie druzgocą projektów ludzkich tak fatalnie, jak przyroda; niemniéj na długo paraliżują wszelkie wysiłki człowieka. Otóż, fachowa znajomość rzeczy, tj. samego przedsięwzięcia, gruntu, na jakim ono ma się rozwijać, ludzi przez których i dla których ma ono żyć; nareszcie odpowiedni kapitał, bez którego, żaden projekt nie może być wprowadzony w wykonanie, stanowią pierwszy i najwalniejszy warunek powodzenia ludzkich zamysłów. Zdaje nam się, że o tém wszystkiem wielu z naszych projektodawców, nie myśli, albo jeżeli myślą, to bardzo źle rachują. Imaginacya góruje u nich nad krwią zimną i obliczaniem; budują zamki na lodzie, obiecują innym i sobie robić milionowe, lub co najmniéj tysiączne zyski, nim jeszcze ręką, lub nogą ruszyli. Najnaiwniejsi poszukują wspólników lub wspólniczek z kapitałem tylu a tylu tysięcy, w ostateczności, setek dukatów. Tylko dajcie kapitał, a już resztę sami zrobimy; procent 50% najpewniejszy. Rajska niewinność tych wielkogłowych! Kto, pytam się, może dać kapitał na przedsięwzięcie nieznane, człowiekowi nieznanemu? Jeżeli chodzi o tajemnicę, żeby się nie dać wyprzedzić, to i tak inna do porozumienia się prowadzi droga, niż składanie ofert w kioskach ulicznych. Z ogłoszeń podobnych możnaby się domyślać, albo frantowstwa, albo gołębiéj prostoty.

Bardzo często powodzenie projektów, nawet już w części urzeczywistnionych, paraliżuje naśladownictwo. Założył ktoś sklepik, otworzył cukiernią, czy restauracyą, podjął się ubezpieczenia szyb w oknach wystawowych, wreszcie rozpoczął farbowanie lisów. Podorabiali się, jeżeli nie fortun Rotszyldowskich, to przynajmniéj znośnego bytu. Wnet dziesiątki innych probują tego samego i tracą. Jest-to nieznajomość elementarnych praw ekonomiki o popycie i podaży. Naczynie pewnéj objętości może tylko pewną określoną ilość cieczy pomieścić; co jest nadto, wyleje się za brzegi i zmarnuje. Tak samo rzecz się ma z projektami. Mogą one być podejmowane i wykonywane z najlepszą wolą, a jednak się nie udają wprost dla tego, że ofiarowana usługa, rzecz, produkt, towar już nie znajdują konsumenta ani w kraju, ani zagranicą. Niepowodzenia wynikające z przeoczenia tego warunku spotyka

się ciągle w Warszawie, a zapewne i gdzieindziéj. Co miesiąc niemal czytamy ogłoszenia o zamkniętych sklepach, magazynach, handlach, o upadku spółek szewckich, stolarskich, pszczelarskich i t. p. Najciekawsze w tego wszystkiego, że nie my temu winniśmy, lecz okoliczności, ten biblijny Haman. Niechaj okoliczności za nas odpowiadają; my zrobiliśmy swoje, ocaliliśmy dusze nasze.

Nieposlednią przeszkodą w powodzeniu istniejących i projektowanych przedsięwzięć jest osławiony nasz brak wytrwałości. Projekta gonią się u nas na wyścigi; zanim jeden rozważono, przedyskutowano, już dziesiątki nowych powstają. Mogłaby ta obfitość pomysłów dowodzić wynalazczości naszéj, gdyby nie były często tak niedojrzałe, iż dziwić się trzeba odwadze autorów do ich ogłaszania. Gdyby ktoś na żart projektował połączenie telefonem ziemi z Neptunem, znaleźliby się niezawodnie odważni, którzyby się podjęli wykonania projektu; dla mnóstwa ludzi nie ma nic niemożliwego, byle tylko mieli kapitał. Jest to alfa i omega wszystkich projektowiczów.

Nietylko brak nam wytrwałości, a najczęściéj i kwalifikacyi do ocenienia możliwości lub niemożliwości projektowanych przedsięwzięć, ale również i do przeczekania i przetrzymania niepowodzeń w rozpoczętych działaniach. Głowy i serca goreją jasnym płomieniem, ale płomień-to słomiany. Okazało się to nieraz zarówno w drobnych jak i w wielkich sprawach. Otóż, należałoby w tym względzie pamiętać, że prawie żadne przedsiębiorstwo nie daje odrazu olbrzymich zysków; przeciwnie, trzeba umiéć i módz czekać rok, dwa, lub więcéj lat, ażeby się pewne przedsiębiorstwo rentowało, czyli opłacało. Tymczasem my, gotowibyśmy świécą podgrzéwać owoce, ażeby prędzéj dojrzały, ażeby je można coprędzéj zebrać, spożyć, a drzewo wyciąć. Umiéć i módz czekać, oto nieodzowny warunek powodzenia wszelkich spraw ludzkich. Rozwijają się one, rosną i dojrzewają, a pory zbioru niczém zakląć i niczém przyśpieszyć nie możemy. Ludzie w gorącéj wodzie kąpani, a takich mamy najwięcéj, chcieliby dziś, zaraz, sami kosztować owoców pracy swojéj, bo jutro, mówią, nie nasze. Że zaś na rozwój, choćby ziarna, potrzeba czasu, więc się niecierpliwią i równie skoro porzucają rozpoczęte prace, jak się do nich rączo brali. Następuje rozczarowanie, paraliżujące głowy i ręce innych. Pragniemy być ciągle czarowani własną wyobraźnią; gdy téj skrzydła opadną i nie możemy bujać, zaczynają nas nudzić najukochańsze projekty, porzucamy wyprowadzone pod okap ściany.

Najwięcéj wszakże projektom naszym szkodzi ich szerokość przy małéj głębokości. Niedawnemi czasy ogłaszał ktoś konkurs

na szerokie idee. Dotychczas nie czytaliśmy zawiadomienia ani o nadesłanych memoryałach z odpowiedzią, ani o komplecie sędziów. Poszukiwanie wielkich idei, szerokich programatów, owiniętych dźwięczną, mistyczną frazeologią, świadczy o jałowych czasach i obezwładnia ręce do codziennéj mrówczéj roboty. Trzebażby rozumiéć, że idee szerokie, czy wąskie, rodzą się z faktów, nie zaś odwrotnie. Nim w głowach powstała wielka idea braterstwa ludzi i narodów, wprzód wieki musiały nagromadzić całe góry przesądów o pochodzeniu jednych z nas od Jafeta, drugich od Chama. Nim powzięto wielką ideę wyzwolenia ludu z jarzma pańszczyzny i zrozumiano niesprawiedliwość pracy ciążącéj na barkach wielkich mas narodu gwoli próżniactwu i zbytkowi małéj garstki uprzywilejowanych,—wprzód musiały nastąpić i minąć czasy niewolnictwa i jurysdykcyi patrymonialnéj ze wstrętnemi swojemi następstwami. Wszędzie i zawsze tak się działo w historyi: przez krzyż do światła, *per crucem ad lucem.*

Zanim tedy wyszukamy sobie szerokich idei, którym odpowiadają wąziuteńkie jak ostrze brzytwy, czyny, byłoby pożądaném krzątać się około urzeczywistniania malutkich projektów, pełnienia tych drobnych bürgerskich powinności, które wprawdzie nie nadają się do eposu, ani romantycznie wznoszą ducha na archanielskich skrzydłach w niebiosa: jednak w gruncie stanowią o wartości społeczeństwa. Najtrudniéj jest wszakże przekonać ludzi o pożytku i niezbędności prac niepokaźnych, z jakich się składa życie narodów. Gdyby chodziło o zalanie Europy spirytusem, albo nasycenie jéj naszą wędliną i zebranie tą drogą milionów i miliardów, podniosłyby się uszy do słuchania tych projektów, chociaż nieidealnych. Cóż począć jednak, gdy spirytusu tyle nie wytwarzamy, a wędliny paryżanie jeść nie chcą, bo jéj przyrządzić nie umiemy; miliardy téż nie przypłyną. Inaczéj mają się rzeczy, gdy chodzi o zdobycie pobrzeży afrykańskich. Nie brak nam wówczas Kortezów i Pizarrów i jakie takie sumy znajdują się na przedsięwzięcie, gdyż to projekt wspaniały i rozsławi imię nasze między czarnymi. Po złote runo jechalibyśmy wszyscy, tylko nie wiemy, gdzie go szukać.

Jeżeli wśród nas tyle codzień powstaje projektów, a rzadko który obleka się w ciało, możnaby to przypisać nadzwyczaj bujnéj wyobraźni naszéj, nieokiełznanéj wyćwiczonym rozumem i doświadczeniem; wszystko, co wymaga natężenia umysłu, rachunku, nudzi nas. Dopiero gdy cudzoziemiec stanie na czele przedsięwzięcia i zgarnie nam z przed oczu obfite zyski, szeroko otwieramy usta i dziwimy się, że w domu mamy złotodajne żyły, tylko żeśmy

ich nie umieli wyzyskać. Winą tego ma być wiecznie powtarzany brak kapitałów. W rzeczy samej zaś jest brak zmysłu oryentowania się w położeniu i rycerskie hasło: nic, albo wszystko.

Nareszcie, byłoby do życzenia, ażeby dzienniki podając projekty, nie żałowały fatygi na sprawdzanie zasłyszanych pogłosek. Czasami bywają ogłaszane projekta, o których trudno powiedzieć, czy na żart, czy seryo podano je do wiadomości publicznéj. Jeżeli zaś redakcye pewne są prawdziwości swoich ogłoszeń, należałoby rozpocząć nad niemi chociaż krótką, ogólną dyskusyą, zamiast stereotypowego zbywania czytelników łatwą pociechą, że zapewne specyaliści nie omieszkają szczegółowo roztrząsnąć projektu. Zwykle zaś kończy się wszystko têm, że specyaliści nie mają ochoty, niespecyaliści zaś potrzebnych kwalifikacyi, a projekty jak pływały tak pływają po rozbujałych fluktach. Góry w połogu, a płodem myszy.

K.





KWESTYA WYKSZTAŁCENIA KLASYCZNEGO
W NIEMCZECH.

(Unser Gymnasial-Unterricht Bekenntnisse von Alethagoras, Gymnasiallehrer. Braunschweig. 1889).

Sprawa wychowania, jako najżywotniejsza ze wszystkich spraw społecznych, bo dotycząca rozwoju przyszłych pokoleń, a więc moralnéj podwaliny ich bytu, musi być przedmiotem ciągle ponawianych a bardzo oględnych i gruntownych badań. Szkodliwém jest w niéj zarówno trzymanie się odwiecznéj rutyny, pochodzące z obawy przed nowemi poglądami i metodami wychowawczemi, jak i krewkie usiłowanie natychmiastowego wprowadzenia radykalnych przewrotów. Wielka oględność i o ile się da, wszechstronne rozejrzenie się we wszystkich szczegółach, związanych z tą sprawą, są tu, bardziéj niż w jakimkolwiek innym przedmiocie, nieodzownemi warunkami dla każdego, kto w téj mierze głos zabrać zechce, lub kto w praktyce reformę przeprowadzić się stara.

W téj chwili przedstawić tu zamierzamy czytelnikom naszym do rozwagi wywody odnoszące się do wykształcenia gimnazyalnego w Niemczech. Są one tém ważniejsze i ciekawsze, że coraz to częściéj pojawiać się zaczynają w tym kraju, który słusznie w ostatniém stuleciu za klasyczne gniazdo instrukcyi filologicznéj jest poczytywany i z którego brano powszechnie wzory, — głosy téj instrukcyi przeciwne. Nierzadkimi są tam obecnie przykłady, iż najgorliwsi niegdyś zwolennicy i obrońcy kierunku filologicznego stają się jego otwartymi wrogami i do téj zmiany poglądu przyznają się otwarcie i stanowczo. Warto więc poznać, jakie pobudki i jakie argumenta na poparcie swych zmienionych przekonań przywodzą.

Wiadomo, że w r. 1882 zaszła w Niemczech zmiana w planie nauczania gimnazyalnego, zmiana, którą uważać można za dość ważne ustępstwo na rzecz anty-filologicznego kierunku. Ustępstwo

to jednak nie zadowolniło wielu pedagogów i od owego roku zaczęły wychodzić broszury i dzieła, które albo częściowo albo całkowicie przeciwko filologii klasycznéj w szkołach wymierzone były. Połowicznym przeciwnikiem studyów klasycznych w gimnazyach niemieckich jest np. A. von Soden w rozprawie: „*Die Einflüsse unseres Gymnasiums auf die Jugenderziehung*"; całkowitym zaś Neudecker, który napisał: „*Die eigentliche Hauptfrage im gegenwärtigen Mittelschulstreit*", oraz Alethagoras, którego broszura służy nam tu za materyał do rozwinięcia kwestyi.

Prócz tych i wielu innych głosów, które się drukiem ujawniły, ten sam prąd zauważyć można wśród samychże nauczycieli filologii, wyznających, że klasycyzm, jako zasadniczy środek wykształcenia młodzieży w szkołach, już odegrał swą rolę i że należałoby się zastanowić nad tém, czém go zastąpić.

Równocześnie młodzież w Niemczech coraz obojętniejszą się staje względem ideałów doby klasycznéj. Bardzo wymowném w tym względzie świadectwem jest zeznanie dyrektora gimnazyum gdańskiego Kretschmanna, który je wypowiedział na zjeździe dyrektorów z r. 1886. „Przez 11 lat, w ciągu których uczyłem w *primie* (najwyższéj klasie w Niemczech) — powiada on — sądzę, że czegoś się nauczyłem; tłómaczę więc Horacego rozumniéj niż przed 10-ciu, a inaczéj niż przed 5-ciu laty, nie dręczę nikogo gramatyką i stylistyką więcéj nad potrzebę, zmniejszam co rok liczbę zadań i ćwiczeń; stałem się zręczniejszym, mniéj nudnym i mniéj irytującym się. A pomimo to wyniki są coraz lichsze. Żaden uczeń z *primy* nie układa już kolektaneów z Horacego, chociaż mu się ciągle jeszcze dyktuje podwójny wzorzec do dowolnego użytku; żaden nie okazuje już skłonności do dobrowolnego wyuczania się na pamięć ustępów z tego poety; obowiązkowéj lekturze prywatnéj dałem już pokój od lat dwu; czytać Liwiusza bez przygotowania jako źródło rzadko który już potrafi: powoływanie się na lekturę klasową w *sekundzie* przyjmowane bywa w *primie* z uśmiechem zdziwienia i nie budzi żadnego odgłosu; czytać heksametr umié jeszcze prawie każden uczeń z *primy*, ale złożyć, choćby jeden jedyny, nie zdołają wszyscy razem. Wypracowania stają się coraz to krótszemi i płytszemi; poczęści są nawet niedorzecznemi (*sinnbethörend*)".

Ta szczupłość rezultatów, otrzymywanych przy wielkim nakładzie pracy i czasu, stała się dla niejednego filologa żywą pobudką do zastanowienia się nad pożytecznością nauk przez siebie wykładanych i nad ich stosunkiem do potrzeb życia. Alethagoras mówi o sobie: „Przypadek wcisnął mi do ręki broszurę Schmeding'a: *Zur Frage der formalen Bildung*" (Duisburg. 1883), wkrótce po jéj

wyjściu w drugiém wydaniu. Z początku wzdrygałem się na samę myśl wzięcia do rąk pisma tak kacerskiego; gdy mię jednak niejednokrotnie ku temu namawiano, wziąłem je i przeczytałem, chociaż z przymusem, aż do końca. Mówiąc: głupstwo od A do Z — co wyrażało naówczas najgłębsze moje przekonanie — odrzuciłem książczynę, ciesząc się, żem się z nią załatwił. Mimo to niektóre wywody, jakie tam znalazłem, utkwiły mi w pamięci i powodowały niemiłe uczucie wewnętrznego niepokoju, gdyż nie mogłem się ich jakoś pozbyć. Wziąłem książkę powtórnie, przeczytałem ją z większą uwagą i nie uważałem jéj już teraz za tak niedorzeczną jak pierwéj. Sprowadziłem sobie więcéj rozpraw za i przeciw w téj kwestyi i rozpoczęła się długa, w części bardzo bolesna praca oswabadzania się z poglądów, które się najściśléj zrosły z wewnętrzną istotą moją. Nigdy mi nie brakło szczeréj chęci oświecenia się. To téż z czasem studyowanie literatury odnoszącéj się do sprawy wykształcenia gimnazyalnego, namysł własny i spostrzeżenia, jakie w ciągu wieloletniéj praktyki nauczycielskiéj zrobić miałem sposobność, sprowadziły radykalną zmianę w moich poglądach: stałem się dzisiaj stanowczym przeciwnikiem klasycyzmu jako podstawy wyższego wykształcenia młodzieży".

Powody, które skłoniły Alethagorasa do takiéj zmiany, wypełniają jego broszurę.

Nad znaczeniem formalném języków klasycznych a mianowicie łaciny w wykształceniu nie zatrzymuje się autor; uważa rzecz tę za załatwioną—naturalnie w kierunku przeczącym —i odsyła do prac głośnych w literaturze pedagogicznéj, szczególniéj Erwin'a: *„Betrachtungen über unser klassisches Schulwesen"* i Dörpfeld'a: *„Grundlinien der Theorie eines Lehrplans"*.

Szczegółowéj natomiast rozbiéra pytanie, odnoszące się już nie do formalnéj, ale materyalnéj strony wykształcenia, uważając, że pod tym względem najgorliwsi nawet zwolennicy stanowczéj reformy wychowania nie roztrząsnęli go dostatecznie.

Idzie tu mianowicie o 2 główne twierdzenia: 1-o że cywilizacya nasza ma za podstawę cywilizacyę grecko-rzymską, że zatem kto chce się naprawdę oryentować wśród stosunków dzisiejszych, kto chce być człowiekiem w pełni znaczenia tego słowa, ten musi odebrać wykształcenie klasyczne;—i 2-o że pisarze greccy i rzymscy, zarówno pod względem formy jak treści, nie dają się zastąpić w wykształceniu przez utwory żadnéj innéj literatury.

Alethagoras zastanawia się kolejno nad obu twierdzeniami.

„Żaden rozsądny człowiek nie zechce zaprzeczyć — powiada on—że pomiędzy kulturą starożytną a naszą, jest pewien związek;

i na to téż zgodzić się można, że aż do czasów najnowszych wiele, bardzo wiele zawdzięczamy bliższemu zetknięciu się ze starożytnymi, niejeden bowiem objaw postępowy w naszém życiu i niejedna ważna zmiana w naszych stosunkach tu ma swe źródło. Ale chcieć utrzymywać, że podstawą naszéj kultury jest kultura świata starożytnego i że bez podstawy téj runąćby musiała, wydaje mi się tak bezmierną przesadą, iż ją ledwie wyjaśnić można jednostronném krótkowidztwem, znamionującém najzapalczywszych czcicieli starożytności. Boć związek nowożytnéj oświaty z ideami starożytnych stanowi j e d n o tylko ogniwo w długim łańcuchu wypadków dziejowych, których wynikiem jest nasza dzisiejsza kultura; co więcéj, starożytność oddziaływała na świat nowy w najważniejszych fazach jego rozwoju więcéj przez to, co ludy z własnych pragnień i nadziei do niéj przenosiły, niż przez to, czém ona była sama przez się; dość przypomnieć wyobrażenia, jakie ludy zachodnie łączyły z ideą państwa rzymskiego, co stanowiło sprężynę życia wieków średnich, dość przypomnieć marzenia humanistów i rolę, jaką odegrało pojęcie cnoty republikańskiéj wśród rewolucyonistów wieku zeszłego.

„W najwewnętrzniejszéj swéj treści jest przecież kultura nowożytna naszém własném dziełem, jest rezultatem długich trudów i walk. Do kultury grecko-rzymskiéj stoi ona zupełnie w takim samym stosunku jak, dajmy na to, grecko-rzymska do karyjsko-fenickiéj. Toż nie ulega dziś zaprzeczeniu, iż Grecy pobudzeni zostali do rozwinięcia wyższego życia cywilizacyjnego przez starsze od siebie narody; ale te zarodki, otrzymane skądinąd, wypielęgnowali w tak samoistny sposób, że stąd powstał twór nowy, doskonalszy, duchowi greckiemu odpowiedni. Gdyby więc kto ośmielił się utrzymywać, że kultura grecka opiera się na karyjsko-fenickiéj, to my filolodzy słuszniebyśmy odeprzéć mogli takie twierdzenie jako obrazę Greków. Tak samo właśnie ma się rzecz z naszą dzisiejszą cywilizacyą. Humanizm był niezmiernie ważnym punktem zwrotnym w rozwoju narodów europejskich. Ale myśmy się nie zadowolnili przejęciem *in crudo* tych żywiołów rozwojowych, jakie nam przyniosło odrodzenie starożytności, lecz na téj podstawie pracowaliśmy daléj przez całe stulecia i zrobiliśmy kulturę naszą tém, czém jest, a mianowicie oryginalnym tworem, wobec którego kultura grecko-rzymska przedstawia się jako stanowisko prześcignione. Lękać się zaś, abyśmy nie utracili tych tak mozolnie zdobytych dóbr, ku którym utorowało nam drogę przejęcie się ludów zachodnich ideami starożytnych, jeśli młodzież w gimnazyach przestanie się zajmować łaciną i greką, znaczy to nie znać rzeczywistych stosunków. Boć co w starożytności było naprawdę żywotném i dla nas

nowożytnych, to już całkowicie przeszło w ciało i krew i stało się świadomie czy bezwiednie niezniszczalném dobrém ludzkości, tak iż żadna potęga nam go już nie odbierze.

„A że nie potrzebujemy się wstydzić naszéj kultury, gdy ją z kulturą starożytnych porównamy, to mi chyba przyzna najzagorzalszy nawet czciciel Greków i Rzymian. Nie brak co prawda śladów, że i ta nasza kultura w pewnym względzie weszła na drogę upadku! Ale jeżeli ma ona ustąpić nowemu, wyższemu ideałowi cywilizacyjnemu, to jéj nie uratuje silniejsze ściągnięcie uzdy filologicznéj w szkołach. Przeciwnie przyśpieszy to tylko powolny proces rozkładu. Że nasza kultura nie jest jeszcze tém, czémby być mogła, winno temu pewne duchowe zwyrodnienie tych kół, które są w Europie dzisiejszéj powołane na głównych przedstawicieli kultury nowożytnéj. A to zwyrodnienie duchowe jest jednêm ze smutnych następstw skrzywienia, jakiemu podlega duch młodzieży wskutek jednostronnéj przewagi klasycyzmu w szkołach wyższych.

„Zresztą, czyż to nie za wiele żądać od młodzieńca lat 15—20, żeby uświadomił sobie związek zachodzący pomiędzy kulturą niemiecką a rzymską a zwłaszcza grecką? Osiągnięcie tak daleko postawionego celu wymaga olbrzymiego nakładu czasu i pracy i dlatego stosunkowo mało jest pomiędzy nami filologami takich, coby mieli jasną świadomość owego związku tam, gdzie on rzeczywiście istnieje. Mówię wyraźnie: gdzie on istnieje rzeczywiście, gdyż bardzo często związek ten, jako sztucznie tylko w szkole wytworzony, daje się porównać z owym, jaki od czasów cesarza Augusta ustanowiono między Rzymem a Ilionem.“

Na podstawie tych wywodów Alethagoras dochodzi do przekonania, że jednostronny klasycyzm zajmuje w duchowém życiu nowożytném takie mniéj więcéj stanowisko jak scholastyka przy końcu wieków średnich. Boć i scholastyka była naówczas pozostałością kierunku myślowego, który przez wiele stuleci był potężną dźwignią postępu wśród ludzkości; ale się w końcu przeżyła, gdy wraz z humanizmem pojawił się prąd nowy, a tam, gdzie się jeszcze utrzymała, oddziaływała na rozwój myśli ludzkiéj we względzie politycznym, społecznym i naukowym powstrzymująco, podobnie jak dziś oddziaływa klasycyzm.

Przechodząc do drugiego punktu tj. do wartości instrukcyjnéj autorów klasycznych, Alethagoras nie przeczy bynajmniéj, że co do stylowego obrobienia i retorycznego zaokrąglenia rzadko który z pisarzów dzisiejszych może się równać z pisarzami starożytnymi; ale zarazem pyta, czy należy tak wielką wagę przywiązywać do

strony zewnętrznéj utworów z pominięciem myślowéj i uczuciowéj. Dawniéj sądzono, że i pod tym drugim względem starożytni celują nad nowożytnymi; dzisiaj jest już inaczéj; ani ich tak bardzo czytamy, ani téż dopatrujemy w nich ideału doskonałości. Alethagoras szczegółowo przechodzi wszystkich autorów, jakich zwykle w szkołach czytają, i wykazuje, że niewiele ma istotną wartość pod względem myślowym, moralnym lub wreszcie artystycznym. Greckich autorów stawia oczywiście bezwarunkowo wyżéj od rzymskich, o których niemal wraz z Edwardem Hartmannem twierdzi, iż nie warci, aby byli w szkołach czytani.

I tak N e p o s dla ucznia z *quarty*, wskutek wielu aluzyi do faktów i stosunków, zgoła mu nieznanych, wskutek zawiłéj częstokroć budowy zdań, manierowanego szyku wyrazów i innych właściwości swéj mowy, zbyt jest trudnym, ażeby mu mógł sprawić jakąś przyjemność. Z drugiéj strony, ze względu na treść zbyt autor ten jest małoznaczący, ażeby katusze przesylabizowania go nagradzały się istotném wzbogaceniem wiedzy.

C e z a r stanowi niewątpliwie lepszą lekturę dla ucznia z *tertii*. Ale jeżeli chłopiec w tym wieku ma miéć pokarm nie tylko dla głowy, ale i dla serca, to nauczyciel łaciny, wykładający tego autora, bywa nieraz w ciężkim kłopocie. Przykłady bezwzględności i wiarołomstwa rzymskiego, morderstw, z zimną krwią dokonywanych, wystawione przez Cezara jako czyny, w których *virtus romana* dzielnie się przejawiła, czyż nie mogą fatalnie wpłynąć na dusze chłopców? Szczęściem, pokonywanie trudności językowych uwagę ich od treści zazwyczaj odwraca.

L i w i u s z i C y c e r o n, czytani w sekundzie, mają dla historyków i filologów pierwszorzędne znaczenie; ale młodzieńcowi kształcącemu się czegoż dostarczają? Jak pisać dzieje, z Liwiusza, tego płytkiego gaduły i bohatera frazesów patryotycznych, nigdy się nie nauczy; a Cyceron nie może mu być poleconym za wzór wymowy politycznéj i sądowéj. Filozoficzne zaś pisma tegoż, jako to: Rozprawy tuskulańskie, O obowiązkach, O naturze bogów itd. mogą co najwyżéj służyć ku temu, by pokazać młodzieży, jak to wychodząc z niedowiedzionych albo dowolnie przyjętych przesłanek, można dojść za pośrednictwem formalnie słusznego rozumowania, lub odwrotnie z materyalnie słusznych przesłanek za pośrednictwem formalnie fałszywego rozumowania,—do wyniku materyalnie fałszywego.

W *primie* czyta się T a c y t i S a l u s t y u s z. Pierwszy niewątpliwie celuje głębokością myśli, ale wskutek manii senatorskiéj wykrzy-

wia niejednokrotnie zarysy stosunków sobie spółczesnych, a od bezstronności dalekim jest bardzo. Pod względem stylu zwięzłość jego jest wysoce oryginalna, ale téż nieraz zbyt afektowana, ażeby ją zalecić można do naśladowania młodzieży. Przeciwko Salustyuszowi ze względów formalnych nic zgoła powiedzieć się nie da; oba jego utwory są prawdziwemi perłami dziejopisarstwa monograficznego; ale wspaniałe mowy o cnocie wplecione w tekst opowiadania, jako jaskrawo sprzeczne z życiem autora, obniżają wartość całości pod względem pedagogicznym.

Z poetów rzymskich najznakomitszy, Horacy, zawiera przedewszystkiém zbyt wiele napomknień do spraw bieżących i osób swego czasu, ażeby mógł na mało bądź-co-bądź w tym kierunku przygotowanym uczniu z *primy* wywrzéć to bezpośrednie estetyczne wrażenie, jakie dla właściwego celu pedagogicznego jest konieczne, a powtóre mieści tyle nieprzystojnych i niemoralnych obrazów i uczuć, iż nauczyciel w najczęściéj nawet czytanych ustępach ód musi naumyślnie pozostawiać pewną mglistą niejasność. Za przykład może posłużyć dwuwiersz ze znanéj ody: *Solvitur acris hiems*:

Nec tenerum Lycidan mirabere, *quo calet iuventus*
Nunc omnis et mox virgines tepebunt.

Wergiliusz jest wielkim poetą jako autor Ziemiaństwa, ale w Eneidzie jest nudny i jak wiadomo z doświadczenia szkolnego, nie budzi zajęcia ani u nauczycieli ani u uczniów.

Owidyusz ma bardzo wielkie zalety wyobraźni, ale uczniowie *tertii* wcale ich ocenić nie mogą, gdyż nie władają jeszcze dobrze językiem łacińskim i nie mają dosyć doświadczenia i dojrzałości umysłowéj, ażeby dzieło takie jak „Przemiany" zrozumiéć mogli.

Greccy autorowie wogóle dostarczają umysłowi daleko obfitszéj i lepszéj karmi aniżeli łacińscy. Czy weźmiemy Herodota i Tucydydesa, czy Platona i Demostenesa, czy Homera i Sofoklesa; to znajdziemy się wobec twórców dzieł nieśmiertelnych, których poznanie bardzo korzystnie oddziałać może na umysł wraźliwy. Atoli trudności językowe, metryczne (mianowicie w chórach tragiedyi) i rzeczowe są tak wielkie, że najzdolniejszy nawet uczeń gimnazyalny zbyt długo męczyć się musi nad ich pokonaniem, ażeby mógł myślową i estetyczną wartość samych utworów należycie sobie uświadomić.

Przedstawiwszy w ten sposób małą owocność zachodów łożonych na studyowanie autorów greckich w gimnazyum, a niewielkie wogóle znaczenie rzymskich, Alethagoras próbuje wskazać, że

w nowożytnych literaturach znaleźćby się dały dzieła, któreby z korzyścią zastąpić mogły pisarzów starożytnych. Ponieważ jednak rzecz tę traktuje raczéj przykładowo niż programowo, ponieważ prócz tego przyznając się do nieznajomości literatury angielskiéj, prawie zupełnie ją pomija; nie będziemy więc wyliczali tych autorów i dzieł, jakie wymienia; wspomnimy tylko, że mówiąc o literaturze niemieckiéj, ubolewa, iż w gimnazyach nie są uwzględniane prace nowsze np. historyograficzne, tylko bardzo już przestarzałe.

Na tém kończy się pierwsza część pracy Alethagorasa. Z drugą zapoznamy czytelników w następnym artykule.

P. R.





NAD HORYNIEM,

POWIEŚĆ. (*)

W piękne jesienne popołudnie, Maryjka szła główną wiejską ulicą, i rozglądając się dokoła, myślała z przyjemnością, jak ładnie i wesoło wyglądają dziś Horyńce. Była to niedziela, żniwa się skończyły, a z niemi ciężki dla ludu wiejskiego przednówek. Maryjka wybrała się w odwiedziny do swojéj staréj Kułyny, mieszkającéj za cerkwią w ostatniéj sadybie, a po drodze przystawała co chwila, gawędząc z dobrymi znajomymi w siermięgach lub wyszywanych koszulach, którzy wychodzili na ulicę, aby zażyć przyjemności dnia świątecznego, i wyglądali wesoło a strojnie, nadając wsi całéj gwarny, ruchliwy, uroczysty pozór.

Okolice oddalone od większych ognisk cywilizacyi, zachowawcze wskutek braku nowych wpływów, zachowały między innemi dawnemi obyczajami tradycyę święcenia niedzieli po staremu. Wszelkie zajęcie, nienależące do rzędu koniecznych, za ciężki grzech się uważa, powszednie swary i klątwy przycichają, aby nie gwałcić uroczystości, smutek nawet ustępuje miejsca pogodniejszemu nastrojowi ducha, bo i płakać nie bardzo się godzi, kiedy Pan Bóg dał święto, aby się człowiek rozweselił. Jutro przyniesie z sobą zwykłe troski, pracę, biédę i swary codziennego życia; dziś to wszystko w zawieszeniu, bo tydzień miniony jakoś Bóg dał przeżyć, tydzień przyszły, co Bóg da, przyniesie, a na granicy niewesołéj przeszłości i niepewnéj przyszłości trzeba zapomniéć co było, nie przewidywać co będzie, i wytchnąć sobie chwilę, bo od tego przecież niedziela. Człowiek oświecony nie zdoła tak sobie dowolnie

(*) Ob. zeszyt sierpniowy „Ateneum", str. 202, i wrześniowy str. 413.

wyznaczyć jubileuszowego dnia na spokój umysłu i pogodę serca; chłop—dziecko natury, przesiąka jéj spokojnym stoicyzmem, i jest jak ten wróbelek szary z pod jego strzechy, który szczebiocze wesoło przez lato, nie pomny, że przed wiosną przymarł z zimna i głodu i że to samo czeka go po jesieni.

Już w wilią święta, po skończeniu dziennéj pracy, rozpoczynają się w całéj wsi przedświąteczne przygotowania. Gospodynie starannie wymiatają chatę i podwórko, piec bielą i przyzbę wylepiają, dziéwki zatykają za święte obrazy pachnące zioła i świéże gałęzie, myją szyję i warkocz mocno plotą na cały następny tydzień, wszystko się czyści i chędoży, żeby już świt dnia jutrzejszego zastał wszędzie porządek i wszelkie możliwe przyozdobienie. Nazajutrz rano ze wschodem słońca baby staréj daty kunsztownie wywiązują sobie białe namitki, z tyłu, jak welon do pasa spuszczone, z przodu okalające policzki i podbródek jak średniowieczna podwika, mołodyce niechętnie zakrywają hoże jeszcze oblicze, więc okręcają tylko głowę wielkim zawojem z jaskrawéj chustki, wypuszczając z pod niéj parę promieni przyciętych włosów koło uszu; dziéwki upiętą wysoko ciemną lub *rusą* kosę zdobią koroną pstrych kwiatów własnéj roboty, zakończoną z tyłu pękiem różnobarwnych wstążek; chłop dostaje każdy czystą koszulę, bo najuboższa miałaby za hańbę nie zaopatrzyć w nią swego na dzień niedzielny, włosy ma nisko na czoło zczesane, namaszczone i ugładzone starannie, a kołnierz spięty pod szyję kolorową spinką, albo czerwoną zaścieżką związany, i ochędożywszy się jak kto umie i może, cały ten strojny tłum śpieszy do cerkwi na wczesne nabożeństwo, po którém najada się raz w tydzień do syta i układa na piecu, na słońcu lub w chłódku, stosownie do pory roku, aby choć przy święcie wyspać się do woli. Dopiéro zadowolniwszy te najpierwsze, najskąpiéj przy biédnym bycie i ciężkiéj pracy zaspakajane potrzeby, zaczyna się myśléć o przyjemnościach wyższego rzędu. Więc wysypuje się co żyje z ciasnéj sfery domowéj na szerszą arenę publicznego życia, przed chatę i na ulicę, i dopiéro wtedy właściwie cała wieś przybiéra swój ruchliwy, odświętny pozór. Na przyzbach kumy i swachy gwarzą o gospodarstwie, dzieciach i sąsiedzkich ploteczkach, w wiśniowych sadach śpiéwają dziewczęta, chłopcy przez płot drażnią się z niemi lub z sobą mocują się i swawolą gdzie przy studni czy w podwórku, dzieci gonią się po ulicy bose a wesołe, na kłodach zaś drzewa leżących zawsze pod jakim częstokołem, posiadali poważnie panowie gromada i kurząc lulki, radzą nad swemi sprawami ogólnemi lub osobistemi, wspominają dawne czasy, roztrząsają nawet w najpierwotniejszéj for-

mie rozmaite kwestye politycznéj i społecznéj natury, przyczém zdrowy sąd starszych a bystrość młodszych są nieraz zdumiewające. Pierwszeństwo zdania przed wszystkimi ma tam zawsze jaki stary Hylko czy Mykoła, *de jure* drugim równy, *de facto* patryarcha całéj wsi, starosłowiańskim jeszcze porządkiem najwyższy jéj moralny autorytet, którego doświadczone sentencye więcéj mają powagi i uznania, niż rozporządzenia miejscowego starosty lub sotnika. Przed karczmą także siedzą gospodarze i w liczném zwykle gronie; ale to najczęściéj niższa wiejska sfera. Przedniejsi bohaterowie pokrzepiwszy się paru kieliszkami, pogawędzą i odchodzą, zostają zaś do wieczora ludzie dwuznacznéj opinii i biédacy zalewający wódką świadomość gorzkiéj doli, gromadka spora, ale samych prawie takich, którym źle lub smutno z oczów patrzy. Parobcy i dziéwki, co się tam z sobą przekomarzają u przełazu, stanowią wcale ładny obrazek. Młodzież-to kozacza, bujna, rosła, dorodna, z warem w żyłach i ogniem w oczach. Postacie ogólno ludowego typu, krępe i przysadziste o zgrubiałych rysach, nieczęsto się wśród nich spotykają. Wołyńska dziewczyna rzadko przypomina mazowiecką wiochnę o pełnéj twarzy, zadartym nosku i zbyt szerokich konturach kibici, parobek z nad Horynia nie miéwa owych nieśmiałych, jasnych oczu i naiwnego uśmiechu zabużańskiego Grzesia; typy to odrębne, rzadko pospolite, a już jak się udadzą, to piękne co się zowie. Krasawica tam wysoka, gibka, czarnobrewa, ma klasyczną linią profilu i jakąś dumną wspaniałość w postawie, a jéj miły dorasta sześciu stóp wzrostu i piękną głowę podnosi hardo, jak ataman jaki. Widać w nich rasę, znać, że krew ta napłynęła tu od wolnego stepu, od butnych, zuchwałych, niepodległych lub buntowniczych kresowców.

Kalek i cherlaków nie spotyka się prawie, jak zwykle między ludem jeszcze niemal pierwotnym, gdzie twarde warunki bytu wybrakowują ludność w dziecinnych kołyskach, usuwając za szranki życia słabsze osobniki, a zostawiając tylko wyjątkowo mocne, które niedozór i biédę w niemowlęctwie przetrwały. Siła okoliczności wprowadza tu w wykonanie okrutną teoryę niektórych ekonomistów, i warunki fizyczne zyskują na tém wiele: ale kto wié, ile tracą względy duchowéj natury? Bo nie sama tylko zdolność do prac najgrubszych korzyść społeczeństwu w jego członkach przynosi: potrzebuje ono także sił innego rodzaju, których wielki zasób bardzo często w ubogich fizycznie organizmach się mieści. Znaną jest ogólnie bystra inteligencya ułomnych, niewidomi nieraz ze swego wewnętrznego świata snują myśli piękniejsze niż to, co pod słońcem zobaczyć można, a artyści, natchnieni, ludzie idei i pomy-

słów, nawet geniusze, bywają często bardzo nędzni jako okazy fizyologiczne. Dla tego téż nie dziw, że lud nasz stosunkowo do swojéj liczby tak niewielką ilość wielkich duchów wydaje; wychowują się w nim przeważnie tylko ludzie normalni, których natura wyposażyła w krzepkość ciała, giną zaś anormalne organizmy nerwowe, najobfitszy materyał na niepospolite osobistości.

Maryjka szła powoli, odpowiadając uprzejmie na wszystkie „sława Bohu", jakie się do niéj zewsząd odzywały. Dzieci podbiegały ku niéj śmiało, a ona gładziła płowe główki, rozdając kawałeczki cukru, rzadki przysmak dla wiejskiéj dziatwy, tym zaś, które zdołały już rozedrzéć lub pobrudzić niedzielną czystą koszulinę groziła, że jeśli się to powtórzy, nie będą już żadnych łakoci dostawać. Do kilku chat weszła, pytając o chorych, bliżéj znajome gospodynie wypytywała o coś poufnie, a te opowiadały długo i szeroko, rozwodząc się nad swemi kłopotami; przed kłodami zaś, na których siedzieli gospodarze, zatrzymała się z półgodziny, gawędząc z patryarchą Semenem, który zdjąwszy przed nią szeroki słomiany kapelusz, odkrył pyszne rembrantowskie oblicze, rumiane i czerstwe, choć w liczne bruzdy zorane, wspaniale białemi włosami i bujną srebrną brodą okolone. Mówiła do niego z widocznem uszanowaniem; panna z pałacu poważała wszystkich stateczniejszych w gromadzie gospodarzy, szanując starszyznę rozsądku i doświadczenia jednakowo w sferze niepiśmiennych jak wykształconych. Z młodszymi zachowywała sposób bycia uprzejmy i przyjacielski, ale mający ten odcień poważnego taktu, który ośmiela, nie spoufalając, i wzbudza w prostych ludziach zaufanie z szacunkiem połączone.

Niedaleko cerkwi oddzieliła się od gromadki dziewcząt wysoka czarnobrewka, i serdecznie przywitawszy pannuńcię, szła z nią razem, gawędząc. Była to Oksenia, młodsza córka Kułyny; starsza jéj siostra, rówieśnica Maryjki, umarła w czasie epidemii, która zabrała kozaka i jego żonę, wskutek czego Kułyna mogła sierotę przyjąć na wykarmienie. Oksenia była prawie wzrostu Maryjki, silniéj rozrośnięta ale zręczna, i przedstawiała ów typ południowy, który się często wyradza wśród tego ludu, zbliżonego do kresów nad-czarnomorskiego wschodu. Miała śniadą, mocnym rumieńcem ożywioną cerę, wygięte nieco wargi, pełne i czerwone, brwi krucze, warkocz ciemny, a czarne oczy, ogniste i namiętne jak u odaliski, przysłaniała co chwila ze starannością wiejskiéj dziewczyny długiemi rzęsami, co wyglądało jakby wciąż wachlowała sobie policzki, pałające od żaru własnego spojrzenia. Barwny i jaskrawy jéj ubior zdawał się umyślnie stworzony dla uwydatnie-

nia tego rodzaju piękności: na koszuli suto wyszytéj w czerwone i niebieskie arabeski, brzęczały i świeciły kolorowe paciorki i medaliki, spódnica krótka a szeroka pstrzyła się deseniami wszelkich barw, a wstążki od wianka, rozsypując się za każdym ruchem, mieniły się dokoła głowy wszystkiemi odcieniami tęczy. Dziéwka ta była trochę dzika i bardzo harda; od saméj grafini, która ją malować chciała, boczyła się niechętnie, zasłaniając twarz fartuchem, panu Zarzeckiemu, gdy jéj kiedyś za jeden całus sto rubli proponował, plunęła w śliczne oczy szafirowe, i w błoto storublówkę wdeptała, na zaczepki wiejskich chłopców odpowiadała pogardliwym dąsem, dla jednego tylko Wasyla mając oczy łaskawe; z Maryjką przecież szczebiotała jak ptaszek i robiła jéj nawet swoje serdeczne zwierzenia.

Wasyl był ubogim sierotą, który do lat kilkunastu pasał w lesie gromadzką trzodę, a późniéj wyuczył się gospodarskiéj roboty, i przystał za najmyta do Kułyny, która jako wdowa i synów nie mająca, potrzebowała męzkiéj pomocy, nim do córki porządny pryjmak się trafi. Trafiał się już niejeden, bo dziéwka była zdrowa i robocza, a gospodarka zasobna; ale Oksenia przebierna była strasznie, a i matce nie śpieszyło się oddawać jedynaczki mężowi, który—zwyczajnie mąż—żeby najlepszy, nie będzie tak dogadzać jak „rydnia maty". Wasyla ciągnęło do czarnobrewéj niby grubém powrósłem, lecz stronił od niéj, bo był hardy, a wiedział, że nie on para dla takiéj dziedziczki. Nie zagadał téż do niéj nigdy pierwszy, żeby go posądzać nie śmiano; ale nie zbliżał się téż i do żadnéj innéj dziewki, bo mu wszystkie były jakoś nie miłe, a w niedzielę i święta, kiedy młodzież zbierała się na żarty i swawolę, on szedł sam w las, albo na ługi nadrzeczne, kładł się pod drzewem w wysokiém zielu, i wypłakiwał swoje smutki serdeczne na wierzbowéj dudce. Był myślicielem i poetą, nie wiedząc o tém, jak fijołek nie wié że pachnie. Smutna dola sieroty, nie mającego krewniaka ani przyjaciela, oddaliła go od ludzi, a zbliżyła do natury. Potrzebując kochać, a nie mając kogo, pokochał drzewa i zioła, ptaki i owady w lesie, gdzie większą część życia przepędził, pasąc trzodę, i las wyuczył go więcéj niżby świat potrafił. Zdala od gwarów i bredni ludzkich, w cichéj samotności gdzie mnóstwo bożych stworzeń, każde swoim językiem tyle rzeczy opowiada—trzeba być bardzo ograniczonym, żeby się wiele nie nauczyć. Wasyl i o tém nie wiedział że umié więcéj niż drudzy; bo i cóż to za mądrość, słyszéć moc bożą w szumie starego dębu, lub upojenie miłości w śpiewie słowika,—widziéć we wroniém gnieździe uczucie rodzinne, albo przywiązanie do ojczystéj ziemi w kluczu powracających żórawi? Co za

mądrość—zgadywać jak trawa rośnie, w kroplę rosy wpatrywać się z zadumą, śledzić gdzie mrówka okruszynę dźwiga, domyślać się planów pająka, albo przeznaczenia gąsienicy? co za mądrość zwłaszcza rozmarzać się ciszą, upajać wichrem, kochać istoty martwe, podziwiać niższe od siebie i tęsknić Bóg wié za czém, i pragnąć Bóg wié czego?..... To téż krył się z tą swoją mądrością, żeby go za głupiego nie ogłosili, a że był pracowity, trzeźwy i sumienny, więc zyskał sobie nawet we wsi pewne uważanie. Sympatyi przecież nie wzbudzał, bo był milczący i poważny, a takie odrębne, zamknięte w sobie istoty imponują ludziom, lecz nie pociągają ich ku sobie. Iskra boża, rzucona w pierś człowieka, bywa często jakby dwubiegunnym magnesem, który go ciągnie do ludzi, lecz ich od niego odtrąca. Taki człowiek kocha ogół, bo z nim sercem współczuje, lecz ogół oddala się od niego, bo go zrozumiéć nie może.

Oksenia tylko jedna przeczuła w Wasylu coś nieokreślonego, do czego lgnęła, sama nie wiedząc czemu; lecz on tego nigdy nie zauważył, bo jak każdy prawdziwie dumny—nie był zarozumiałym.

Raz, wczesną wiosną, kiedy orał w polu, Oksenia przyniosła mu w dwojakach barszcz i kartofle na południeń. Wasyl zdjął jarzmo z wołów, aby wypoczęły, siadł na świéżéj bruździe, i odpowiadając półsłówkami na pytania dziewczyny, jadł szybko, jakby chciał się jéj prędzéj pozbyć. Oksenia, zauważywszy to, umilkła, ale kiedy położył łyżkę, otarł usta, i wstał aby odejść do roboty, zatrzymała go za rękaw, a spojrzawszy mu śmiało w oczy spytała wręcz:

— Powiédz Wasylu, za co ty mnie nie lubisz?

Chłopiec pokraśniał, jak ukropem oblany.

— Ja... ciebie... nie lubię?...—wyjąkał zmieszany.

— To się mnie chyba boisz?

— Boję się, odparł, odwracając głowę.

— Nie bój-że się, bo ja ciebie lubię serdecznie, rzekła rezolutnie, ale oczy fartuchem zakryła.

— Daj pokój—odpowiedział z cicha i smutno, bo tobie to na nic... Żebym miał grunt i chatę, dawno już posłałbym do ciebie swaty,—ale tak... ot, wolę nie patrzéć próżno na twoje oczy, i głowy sobie nie suszyć daremnie...

— Mnież twojéj chaty i gruntu nie trzeba, mam swoje.

— Otóż to właśnie... pomyślałabyś...

— Nie pomyślałabym! *jejbohu*, *prysiajbohu*, nie pomyślałabym... No, to jakże będzie?—zapytała po chwili.

— Maty nie zechce.

— Maty ciebie uważa, boś stateczny i roboczy; pogniéwa się trochę z początku, ale jak ja popłaczę, to pożałuje doni, i będzie dobrze.

— A no... kiedy już taka twoja wola..... ale żebyś nie pożałowała!...

— Nie pożałuję!

Kułyna rzeczywiście rozgniewała się bardzo, gdy córka powiedziała jéj, że bez Wasyla świat jéj niemiły i doli nie ma; ale gdy jedynaczka zaczęła smutniéć i blednąć, a Wasyl przyszedł za chleb, za sól i za służbę podziękować,—zafrasowała się, zamyśliła, i rzekła nakoniec do chłopa:

— Słuchaj że Wasylu, ty choć biedny, ale porządny; może to już Pan Bóg tak dał, że dziewczyna zadurzyła się w tobie. No, to zostań u mnie jeszcze do jesieni, a na jesieni pora tobie stawać w rekruty, i wtedy zobaczymy: jeśli wyciągniesz los dobry, to widno tobie moja donia sądzona, a jeśli pójdziesz w rekruty, to już twoja dola taka; ja córkę wydam za Sydora, bo zmarnieje i dziewczyna i gospodarka.

Młodzi pokłonili się matce do kolan, zdając się na ten sąd boży, a wiara, że będzie jak Pan Bóg da, uspokoiła wszystko troje.

Lud małoruski ma niewyczerpany zapas takiéj niby chrześciańskiéj rezygnacyi, wytworzonéj pod wpływem wschodniego fatalizmu, która w nim wyrabia stoiczne godzenie się z najcięższym choćby losem. Rozpacz jest mu nieznana, bo wszystko co się stało—stać się musiało; nieznany jest i zbytni o przyszłość niepokój, bo będzie tylko to, co koniecznie być musi. W społeczeństwach wyżéj stojących umysłowo, determinizm staje się groźnym paraliżem moralnym, ponieważ w logicznéj konsekwencyi wypływa z niego bezczyna apatya, lub zgubne przekonanie o nieodpowiedzialności za swoje postępki; ale wśród tych dzieci natury, nie zapuszczających się w filozoficzne spekulacye, aby z teoryi wyciągnąć demoralizujące wnioski, wiara w ślepe *fatum* jest prawdziwém dobrodziejstwem,—bo nie zastanawiając się, że działa nielogicznie względem téj swojéj wiary, chłop instynktowie robi co może, aby jego praca owoc wydała, jego usiłowania przyniosły pożądany skutek, i nie tłómaczy się, gdy źle postępuje, że nie może inaczéj; gdy zaś przeciwne okoliczności obrócą w niwecz jego ciężkie trudy, wtedy mówi sobie, że mu tak widać było sądzono, a to go pociesza i uspokaja. Wierząc w nieugięte przeznaczenie, nie zdaje się przecież na jego łaskę i niełaskę; chorego nie zostawi bez ratunku, chociaż podając mu lekarstwo, powtarza z głębokiém przekonaniem, że jeśli mu idzie na życie, to i bez leków wyzdrowieje, a jeśli na śmierć,—żaden mu doktór nie pomoże; kochankowie starają się o zwalczenie przeszkód, które im pobrać się nie dozwalają, a przecież wierzą święcie, że sądzonego i koniem nie objedzie; starzec, poczuwszy, że mu

już zbrakło sił do życia, kładzie się spokojnie, i umiéra jak filozof i bohater, bez buntu przeciw temu, co jest nieuniknioną koniecznością, bez trwogi przed niezłomném rozporządzeniem jakiejś siły wyższéj, która wszystko tak robi, jak trzeba żeby było.

Ale też kiedy w prostéj naturze zdarzy się bunt przeciw téj sile wyższéj, wtedy występuje w najgrubszéj swojéj formie, w samobójstwie. Chłop zrozpaczony nie będzie narzekał,—tylko ukręci sobie powróz, pójdzie, i ze spokojną determinacyą powiesi się gdzie na dzikiéj gruszy, albo na belce w stodole. Stało się wprawdzie, co się stać musiało,—ale on tego znieść nie chce, i tak bezwiednie składa świadectwo istnieniu wolnéj woli, chociaż tego zbrodniczym postępkiem dowodzi.

Kiedy Maryjka z Oksenią przechodziły koło studni, Wasyl poił właśnie konie. Gdy zdjął kapelusz przed Maryjką, spojrzała na niego uważniéj niż zwykle. Był nie wysoki, chudy, trochę pochylony, miał duży nos, blade usta, i ciemną cerę przy płowych włosach,—tylko duże szare oczy głęboko jakoś z pod ciemnych brwi patrzyły. Gdy minęły studnię. panna zapytała dziéwki:

— Powiedz mi Okseniu, dlaczego ty go kochasz?

— Tak...—odparła dziewczyna, zwyczajem ludzi nie umiejących zdać sobie z czegoś sprawy. Pomyślała przecież chwilę, i mówiła daléj:

— Oto widzicie pannuńciu, on niby taki jak drudzy,—a nie taki..... we wszystkiém odmienny... no—to może dlatego...

Minąwszy cerkiew, doszły do ostatniéj za wsią sadyby. Chata stara już dosyć, ale starannie wylepiona i obielona, stała w podwórku oddzieloném od ulicy niskim częstokołem i żerdzianemi wrotami. Wiśniowy sadek, w którym było też kilka grusz i jabłoni, przypierał do bocznéj ściany, a pod nią na kilku grządkach rozściełał się szeroko ciemnozielony barwinek, kwitły nogietki przy ziemi, a purpurowa malwa strzelała po nad nie w górę. Nad niskiemi oknami zawieszone na długim kiju koralowe snopki kaliny, wskazywały, że w chacie jest dorosła dziewczyna. Kułyna siedziała na przyżbie i kartofle na wieczerzę skrobała, rzucając oczyszczone w stojący na ziemi garnek, a obierzyny do szaflika, w koło którego uwijały się, pochrząkując, prosięta. W Kułynie każdy poznałby odrazu matkę Okseni: miała te same, choć już zgrubiałe rysy, i też czarne oczy, błyskające jeszcze czasem ostatkami dawnego ognia, a nawet znamię czerniące się jak mały pieprzyk u córki na lewym policzku, znajdowało się w temże miejscu u matki, ale rozrośnięte w kosmatą brodawkę. Baba wyglądała na pół wieku z górą, choć miała mniéj. Krasa niewieścia szybko przekwita w chłopskim bycie;

ta twarz, niegdyś puszystości i barwy brzoskwini, teraz sfałdowana żółtą skórą przypominała pieczone jabłko, a liczne zmarszczki wypisały na niéj całą historyę przebytéj doli: na czole wyorały je kłopoty, pod oczami smutki, przy ustach gorycze życia. Ubiór jéj był skromny lecz czysty: fałdzista spódnica domowéj roboty, w drobne paski szare i niebieskawe, fartuch płócienkowy pstry, koszula biała, u szyi związana tasiemką, na któréj wisiał mosiężny krzyżyk i parę medalików; z głowy zdjęła niedogodną przy zajęciu namitkę, zastępując ją chustką z domowego płótna, białą, szerokiemi czerwonemi pasami obrzeżoną, a ta chustka spuszczona jak duży zawój na czoło i uszy, i to pod nią spracowane, śniade oblicze, przypominały obrazki przedstawiające biblijną Martę.

— Pomahaj Boh, titko!—zawołała od wrót Maryjka.

— Dobre zdorowie, detyno!—odkrzyknęła radośnie baba. A zamykaj za sobą wrota, Okseniu, żeby cudze prosięta nie naszły. Chodź że, detyno; spasy-Boh tobie, że o staréj nie zapominasz. Wejdziesz do chaty, czy na przyźbie posiedzimy?

— W chacie słońca nie widać; weseléj na dworze, odrzekła panna. Macie, titko, gościniec, dodała, wyjmując dużą bułkę z koszyka, który miała na ręku.

Kułyna, jak za każdym razem, gdy ten zwykły podarek dostawała, uniosła bułkę w górę, wychwalając lekkość i białość dworskiego kołacza, poczém zaniosła garnek z kartoflami do chaty, i wyszła z niéj z miską, na któréj złocił się plastr wonnego lipcowego miodu, a wyłuskane orzechy laskowe pobrzękiwały w fartuchu.

— Oto dla ciebie przysmak, detyno. I ja, widzisz, pamiętam co lubisz.

Usiadły we trzy na przyźbie, Oksenia przyniosła kamyków, któremi tłukły sobie orzechy, i chrupały je, umoczywszy w miodzie, a rozmowa szła przytém żywo. Kułyna z przejęciem opowiadała cały przebieg ukończonego żniwa, dziękując Bogu co chwila za zbiór pomyślny, poczém przeszła na temat swoich sąsiedzkich stosunków i drobnych wiejskich wypadków. Mówiła wiele i chętnie, chłopskim zwyczajem dość rozwlekle ale obrazowo, stosując rozmaite przysłowia, i zdobiąc mowę retorycznemi zwrotami, w rodzaju: „co prawda to prawda“ „jak to powiadają“ „Panie Boże odpuść“ itp. przyczém małoruskie narzecze przystrajała, miejscowym trybem, wyrazami przykrojonemi z polskiego lub ruskiego języka, któremi chłop psuje swoje piękną mowę, jak szlachcic galicyzmami, ulegając ogólnéj próżności ludzkiéj, lubiącéj chwalić się poliglotycznemi nabytkami, bez względu na szkodę, jaką tém ojczystemu językowi wyrządza. Maryjka mówiła po małorusku płynnie

i czysto, unikając starannie wszelkiéj obcéj przymieszki, a narzecze ludowe nabiérało w jéj ustach większego bogactwa i wdzięku.

Język małoruski, nieobrobiony przez gramatyków i stylistów, jest przecież tak w wyrazy obfity, tak w składni swojéj giętki i podatny, jak mało narzeczy. Bezspornie dla każdego, co go zna gruntownie, przedstawia on jedno z najpiękniejszych słowiańskich narzeczy, bo zachował całą krasomówczą prostotę swego prototypu, który „słowo", czyli wymowę stawiał tak wysoko, że wyprowadził zeń samę nawet nazwę swéj narodowości. Przytém niewyczerpana jeszcze świeżość uczuć tego ludu odbija się w jego języku: mnóstwo w nim wyrazów zdrobniałych i pieszczotliwych zwrotów, dozwalających oddać słowem wszystkie odcienia tkliwych wzruszeń, a dobitność form zgrubiałych i dosadne wyrażenia obraźliwe dają téż folgę wylewowi gwałtownych uniesień gniewu lub nienawiści. Akcent téż dla różnych wyrazów różny, nadaje frazesom dźwięczną harmonijność miar długich i krótkich, zbliżając mowę do śpiewu, lub homerycznego skandowania. Więc gdy jaka baba na wieczornicy przy kądzieli zacznie czarnobrewym prządkom baśń starą opowiadać, to słowa dźwięczą jak muzyka, frazesy układają się pełne, jędrne, bogate, a zasłuchane ucho zdaje się łowić echo owych czasów ubiegłych, kiedy tym właśnie językiem przemawiały kniahinie Olhy i kniazie Jarosławy, królowa Sonka i Konstanty z Ostroga.

Nagadawszy się do woli, Kułyna zmiarkowała, że i gościowi należy dać zabrać słowo, więc z formy opowiadającéj przeszła w pytającą, i rzekła:

— No, jakże tam u was we dworze? grafinia zdrowa?

— Głowa ją dziś boli, — odpowiedziała Maryjka. Chodziła wczoraj do późna po parku, i widać przeziębiła się trochę.

Baba pokiwała głową.

— Potrzeba to—rzekła,—kobiecie zamężnéj brodzić, po nocnéj rosie, jak dziewczyna co szuka świętojańskiego kwiatu? Dziéwce ujdzie, bo nim znalazła swego, to nikt jéj nie zgani, że sobie poduma przy miesiącu, póki głowa swobodna; ale kobiécie co innego— jéj inne życie z zajęciem, z kłopotami, czasem z pociechą serdeczną, a jak téj niema, to ze znoszeniem swojéj doli w cierpliwości, myśląc o czém prawdziwém i potrzebném, nie o Bóg wié jakich marach nocnych.

— Widzicie bo, titko — odparła z uśmiechem panna, — inne zwyczaje w chacie, a inne we dworze.

— Otóż to,—oburzyła się baba;—a po mojemu, po chłopsku, godzi się albo nie godzi—jedne dla pana i dla chama, i do jednego stworzył Pan Bóg kobiétę, czy ona grafinia, czy mużyczka. A toż

przecie i u nich dawniéj inaczéj bywało; ot, matka nieboszczki starszej pani, — głowę czepcem nakrywała, nocą po lesie nie brodziła, i pamięć dobrą u ludzi zostawiła po sobie. Ale to tak: jedno za drugiém idzie, od łyczka do rzemyczka: grafinia głowy nie nakrywa, kosę zaplata i w kwiaty stroi jak dziewczyna, pstre a kuse sukienki nosi, to i nic jéj nie przypomina, że ma związane na wieki ręce, i myśli swobodnie puszcza na cztery wiatry, i chłopców durzy jakby męża nie miała.

— Ależ titko, przerwała Maryjka; hrabina mężowi nie złamała wiary.

— A któraż to, żeby i najgorsza łamie wiarę odrazu? prawiła daléj baba, podnosząc głos i gestykulując żywo. Każda najpierwéj przeniewierza się swojemu jaką smutną dumką i tęsknotą do tego czego nie ma, potém sercem rwie się do tego co nie wolno, a potém myśli tak ze złém oswoi, że już jéj ono nie przestraszy, choć żywe przed nią stanie,—od łyczka do rzemyczka...

— Wierzcie mnie, titko, że ona nie taka, jak się wam zdaje; serce ma złote i dobra jak anioł.

— W czém dobra to dobra, a w czém zła to zla; dla ciebie dobra, to ty ją szanuj, ja ci to chwalę, bo tak potrzeba, i niech nikt nie śmié gadać na nią przed tobą—ale mnie co innego. Ona tobie tylko guwernantki najmowała—a ja ciebie wykarmiłam i wykołysałam sama, to nie chcę, żeby twoje chłopskie serce przerobiło się w tobie na taką pańską zabawkę, jaką ona ze swego zrobiła. Serce nie dla zabawy, tylko dla pożytku; a ja z tobą szczerze mówię, żeby do ciebie co złego nie przystało. Ty, prawda na książkach uczona,—ale mnie uczyły długie lata, i na życie różnych ludzi patrzyłam, i wyuczyłam się z tego, że złe to złe, a dobre to dobre, po prostu, po chłopsku, a nie tak po pańsku, żeby każdą rzecz na drugą stronę obrócić wedle swojéj potrzeby i z kozła zrobić barana. A ty mnie nie bierz za złe, detyno moja, że u mnie co w myśli, to na języku. Służyłam ja trzy lata we dworze i widziałam przez szpary, że tam u nich życie jak bajka, co to niby złocona i malowana a prawdy w niéj nie ma, ani pokazania jak co powinno być po bożemu; dlatego ja chcę tobie wszystko pokazać jak jest i jak godzi się żeby było, po prostu a sprawiedliwie.

Panna ujęła w białe dłonie szorstką rękę wieśniaczki, i rzekła serdecznie:

— Titko złota,—wasze słowa ceny dla mnie nie mają. Kto wié, na co jabym tam była wyrosła, gdybym tu nie patrzyła na wasze życie i waszéj poczciwéj mowy nie słuchała...

Kułyna pogładziła swoję pannuńcię po głowie, a potém zaczęła skrzętnie strzepywać z jéj sukni orzechowe łupiny, i zamilkła na chwilę.

— Panicz Zarzecki podobno gdzieś aż zagranicę pojechał? — odezwała się Oksenia.

— A coby twój Wasyl na to powiedział, rozśmiała się Maryjka, że dopytujesz się o pana Henryka?—pojechał, i pewno nie prędko wróci.

— Z Panem Bogiem, niech tam sobie siedzi—rzekła Kułyna. Jeździł i jeździł do naszego dworu, dwie panny miał przed oczami a zapatrzył się na mężatkę, bo mu grzech smaczniejszy niż boża wola. Nie sam on, co prawda, w tém winien, bo mężczyzna nie będzie próżno łaził za tą, co do niego zębów nie szczérzy,—ale i on także dobry ptaszek. Wiem ci ja niejedno, choć dwór od chaty jak niebo od ziemi. Ulanka z garderoby nie raz mi opowiadała, jak to ten panicz nietylko do grafini się czépiał, ale i do ciebie, i do téj czarniawéj panny, co to nigdy do kościoła nie pojedzie, bo myśli, że ona mędrsza od Pana Boga, i jéj saméj, niby Ulance, korale obiecywał, przydybawszy w kąciku; ba, toć on i moję donię kiedyś zagabnął, ale mu odpaliła, jak na porządną dziewczynę przystało. Myślałam ja trochę z początku, że może Pan Bóg da, on się z tobą poswata, gołąbko moja; ale potém zmiarkowałam, że z tego by dobra nie było: nie zaznać z tym szczęścia jednéj, co do każdéj oczy mruży, a stateczna kobiéta zmarniałaby przy takim; bo jak komu fraszka łzy dziewczyny i wstyd mężatki, to już tak samo wszystko mu tylko śmiechu warte, i myśli, że świat cały jemu na igraszkę stworzony, a życie na żarty i uciechę niegodziwą.

— To prawda, titko; ja mu téż źle nie życzę, ale nie lubiłam go nigdy.

— No, a tego oficera lubisz, co teraz do was chodzi?

— Dla czego, titko?

— Dla tego, że on nie chodzi do grafini, ani do panny Heleny, tylko do ciebie, gołąbko.

— Zkądże wy, titko, możecie o tém wiedziéć?

— A ot zkąd: on lubi pogawędzić z ludźmi, jak do swoich żołnierzy na wieś zajrzy, to i przy moich wrotach nieraz stanie i rozmawia, a wszystko o tobie; widać, że mu wspominać ciebie miło, i miło słuchać jak cię drudzy wspominają. Ja choć stara a znam się na tém, i wiem co to znaczy.

— A wy go lubicie, titko?

— Jakby to tobie powiedziéć?... i lubię i nie lubię... Pobałakać z nim miło, bo roztropny a grzeczny; ale choć on niby dobry,

a chłód jakiś od niego wieje... Nie zawierzaj ty jemu odrazu, serdeńko, bo mnie się widzi, że jak tamten zanadto każdą lubił, tak ten znów żadnéj szczerze nie polubi. Ja nie uczona, ale mam swój węch do ludzi: jemu tak z oczów patrzy; jakby żelazo miał w sobie, że to choć rozgrzeje się przy ogniu, a przecie jak ostygnie, to potém żelazo żelazem, zawsze zimne i twarde zostanie. Zresztą — projdyświta jakiś, nikt nie wié skąd i co za jeden... nie o takiego ja dla ciebie Pana Boga proszę.

Maryjka nic na to nie odrzekła; zdawała się słuchać piosenki, którą Oksenia nuciła półgłosem, zmiatając w fartuch orzechowe łupiny. Kułyna sprzątnęła miskę z resztą miodu i zapytała:

— A możebyś piroga skosztowała, detyno? są z grochem i fasolą: które wolisz?

— Dziękuję wam, titko; już jeść więcéj nie będę; niedługo i do domu pora. Ot jeszcze Oksenia mi co zaśpiéwa, i pójdę. No, Okseniu—„Wijut' witry“, albo „Sońce nyzeńko“.

Okseni nie trzeba było do tego zmuszać; przy obcych nie śpiewałaby za nic, ale Maryjki się nie wstydziła. I teraz więc nie zbierała się długo.

— Zaśpiewać wam, panuńciu, o kalinie.

— Śpiéwaj o kalinie.

Dziewczyna machinalnie zerwała gałązkę jakiegoś ziela, co z pod przyzby wyrastało, i wybijając nią miarę, zaczęła: „Oj u poli kałynońka“.

Spiewała miłym choć niewyrobionym głosem jednę dumkę, potém drugą i trzecią, a Maryjka oparła głowę o ścianę chaty i zamyśliła się głęboko.

Chodziło jéj po głowie, co Kułyna o Adamie prawiła. Nie to, że się jéj żelaznym wydawał, lecz to tylko, że żelazo rozgrzać się może i że się niby rozgrzało. Myślała także o tém, co jéj Oksenia o swoim Wasylu mówiła, że się jéj podobał, bo jakiś we wszystkiém od drugich odmienny... Adam był także odmienny... zupełnie inny jak ta cała młodzież salonowa, inny téż jak jéj byli wielbiciele, doktór i dzierżawca. Od pierwszych odróżniał się brakiem tego zewnętrznego szychu, co wewnętrzną pustkę pozłaca, od drugich spokojną jakąś dumą, czy pewnością siebie, któréj oni w stosunku z wyższymi nie mieli, od wszystkich zaś inteligencyą odrębnego rodzaju i tą właśnie dziwną siłą, co mu z oczów patrzyła, nie robiąc przecież na niéj wrażenia żelaznego chłodu, lecz owéj niezłomnéj stanowczości, która wzbudza w kobiécie bezwiedny szacunek dla męskiéj energii.

A przecież pomimo całéj swéj sympatyi dla Adama, Maryjka nie kochała go jeszcze.

W psychologicznym procesie miłości pojawia się najpierw tylko sympatyczne wrażenie, słabo jeszcze w pojęciu uświadomione i mogące łatwo być stłumioném siłą woli lub okoliczności. Gdy się to wrażenie spotęguje i dorośnie pewnéj miary, myśl z całą już świadomością konstatuje jego istnienie, i wtedy zaczyna się działanie woli. Jeśli wola opiéra się pociągowi, który sobie niegodny przedmiot obiéra, albo obraża jaki instynkt moralny, powstaje wewnętrzna burza, walka nieraz ciężka i straszliwa, ale u człowieka mającego moc ducha i wyrobioną energią zawsze zakończona zwycięstwem świadoméj woli nad bezwiednym popędem. Popęd zwyciężający wolę u ludzi małodusznych, nie jest miłością, tylko ślepym porywem namiętności, któremu poddają się tylko istoty słabe lub zepsute, mające bardziéj rozwiniętą właściwość zwierzęcą—temperament, niż właściwość duchową — charakter.

Miłość prawdziwa wtedy tylko sprawiedliwie to imię nosi, jeśli zacząwszy się od skłonności naturalnéj, jaką wzbudzają zewnętrzne zalety, wyrabia się w miarę poznania wewnętrznych w sympatyę duchowéj natury i nakoniec staje się uczuciem świadomém swéj piękności i siły, usankcyonowaném przez wolę rozumną i moralne poczucie. Taka miłość jest silną, bo oparta na przyrodzonéj skłonności i sympatyi dusz, jedno uczucie drugiém wzmacniając, dochodzi do najwyższéj swéj potęgi; jest czystą, bo nie sprzeciwia się wymaganiom sumienia i szanuje istotę rzeczywiście szacunku godną; jest stałą, bo kochając dla słusznéj przyczyny, nie ma powodu zmieniać raz obranego przedmiotu. Ale też taka jest białym krukiem, który pojawia się może raz na sto lat, może u jednego z tysiąca; gdy tymczasem w zbudowany dla niéj przybytek, serce człowieka, wdzierają się przeróżne fałszywe bożyszcza, samozwańczo sobie jéj imię przybierające.

Nie ma może drugiego uczucia, któreby było tak niby dobrze znane, a tak rzeczywiście źle znane, jak miłość. Teorye o niéj, w różnych czasach różne, wytwarzają się pod wpływem tych niezbadanych jeszcze a przecież istniejących epidemii moralnych, które w danym czasie większość umysłów zarażają. W epoce najbujniejszego krzewienia się romantyzmu, miłość, w pojęciu większości, była jakąś eteryczną fantasmagoryą, co ziemi stopą nie tykając, nie miała w sobie ani jednéj kropli ciepłéj krwi rzeczywistości. Dziś w epoce naturalizmu, przez powieściową literaturę bardziéj niż wówczas romantyzm rozpowszechnionego, na ołtarzu miłości postawiono bezdusznego fetysza, będącego wyłącznie tylko

krwią i ciałem, a czciciele jego wykrawują sobie z materyalistycznych systemów wygodne teoryjki o popędach przyrodzonych i nieprzepartéj mocy sił natury, aby wytłómaczyć się jakkolwiek z puszczenia cugli namiętnościom. Przedstawiają oni jakby typ owych hypotetycznych małpo-ludów, których ewolucyoniści napróżno w trzeciorzędowych formacyach poszukują, dla wstawienia szczebla w jedno puste miejsce na drabinie jestestw organicznych. Wyrzekłszy się właściwości, danéj jedynie człowiekowi, mocy ducha i rozumnéj woli, stanowiących charakter, rządzą się tylko właściwością niższych tworów, temperamentem, czyli ślepemi instynktami, a przeto doskonale odpowiadają przypuszczalnemu typowi istoty mającéj stanowić przejście od zwierzęcia do człowieka.

I tak zawsze i we wszystkiém, pojęcia ludzkie jak skrzywiona waga, co się ciągle na jedną lub drugą stronę zbytecznie przechyla, wpadają z jednéj ostateczności w drugą. A przecież tak zdaje się łatwo pamiętać o tém, że człowiek jest połączeniem dwóch odrębnych pierwiastków, duchowéj i materyalnéj natury, więc i uczucia jego z obu powinny być złożone. W glinianéj lampce płonie iskra boża: iskra bez lampki zgasnąć musi, ale lampka bez iskry będzie tylko gliną.

Czyś kiedy kochał, czytelniku?... Uśmiéchniesz się na to z pewną fanfaronadą, i pomyślisz: czy raz! To znaczy, że naprawdę ani razu. Czyś kiedy kochała, czytelniczko?... Westchniesz może i powiész, że raz jeden tylko, ale przyznasz, że z tego uczucia nie zostało ci nic nad wspomnienie; czas je zatarł, a więc i to nie była miłość prawdziwa... Jeśli zaś, które z was zna rzeczywiście tego białego kruka, to zgodzi się z mojemi na niego poglądami, bo będzie o nim wiedziéć z własnéj intuicyi to samo, co tu z obserwacyi wyrażono.

Zdarza się z czasem, u ludzi silnéj duszy, że sympatya już wyrobiona a uświadomiona, nie sprzeciwiająca się żadnym względom moralnym, jest jednak jeszcze trzymana przez wolę na wodzy. Maryjka znajdowała się w tém stadyum właśnie. Przyzwyczajona do zdawania sobie sprawy ze wszystkich swoich wrażeń i uczuć, wiedziała, czém stać się może jéj skłonność dla Adama, a pomimo, że zdawał się jéj godnym miłości, zezwolić sobie na pokochanie go nie chciała. Tłumiła w sercu usilnie wszelkie jego żywsze porywy w tym kierunku i odganiała wytrwale myśli natrętne, chcące ją skłonić do wyznania przed samą sobą uczucia, któremu nie przyznała jeszcze prawa bytu. Powodem tego było wygórowane poczucie godności niewieściéj. Wydawało jéj się poniżającém dla kobiéty oddać serce, nie wiedząc czy go żądano i choćby najskryt-

szą myślą, choćby utajonėm marzeniem narzucać się obojętnemu. Onby mógł o tém nie wiedzieć, ale onaby wiedziała i rumieniec wstydu okryłby jéj dumne czoło przed trybunałem własnéj godności. Czy zaś żądano jéj miłości, to jest czy była kochaną, zostawało dla niéj dotąd pytaniem o bardzo niewyraźnéj odpowiedzi. Adam był dla wszystkich pań w pałacu jednakowo uprzejmy, z tą tylko małą różnicą, że hrabinie okazywał nieco galanteryi w zamian za jéj łaskawe względy, pannę Helenę traktował z chłodną powagą, dla niéj zaś miał jednostajną, szczerą i pełną szacunku życzliwość. Przytém z Niną przekomarzał się nieraz żartobliwie, jakby z kapryśném dzieckiém, z Heleną prowadził często dysputy na ostro, z nią tylko nie sprzeczał się nigdy, szanując jéj zdanie choćby go nie podzielał. Spotykała téż czasem zimne siwe oczy płonące jakąś iskrą nagle zapaloną, zdawało jéj się, że głos jego miał miększe brzmienie, kiedy zwracał się do niéj, że twarz mu się rozjaśniała, gdy do niego przemówiła; były to przecież wskazówki mogące miéć wielkie znaczenie tylko dla kobiéty próżnéj, ufnéj w moc swego powabu; ale Maryjka nie była wcale zarozumiała; czuła się godną miłości, lecz nie łatwo posądziła kogo o nią, mówiąc sobie, że można ją lubić i znajdować przyjemność w jéj towarzystwie, nie doznając przecież żywszego dla niéj uczucia. Dla tego nie chciała kochać, nie wiedząc czy jest kochaną.

Oksenia, która śpiewała, nagle zamilkła, jak gdyby ją mógł kto obcy usłyszéć. Na ulicy zatętnił miarowy krok konia, i Adam przejechał mimo wrót, ukłoniwszy się Maryjce. Koń szedł lekkiego kłusa, nie przynaglany znać do szybszego biegu zwyczajem jeźdźców lubiących popisy przed paniami; Maryjka przecież pomyślała, że są mężczyźni jakby stworzeni do konia, tak dobrze na nim wyglądają. Adam, którego zaledwo przystojnym można było nazwać, jako jeździec stawał się prawdziwie pięknym mężczyzną, bo zręczność i siła, stanowiące główne zalety jego powierzchowności, doskonale się wtedy uwydatniały. Ciemno-złoty kasztan giął kark, strzygł uszami i żuł niecierpliwie zapienione wędzidło, a jeździec cugle ściągał lekko, jakby od niechcenia i unosząc się na siodle swobodnie, równo, w takt ruchów wierzchowca, tworzył z nim jednolitą, dzielną a rycerską całość.

Minąwszy cerkiew i zakręt ulicy, Adam zatrzymał się przed chatą starosty, w któréj kwaterowali żołnierze, wydał im jakieś rozporządzenie, zostawił konia i poszedł z powrotem pieszo. Przyśpieszywszy kroku, zatrzymał się u wrót Kułyninéj sadyby w chwili, gdy Maryjka, pożegnawszy titkę, wychodziła z podwórka na ulicę.

— Wybierałem się właśnie do państwa— rzekł do niéj. — Pozwoli pani towarzyć sobie?

— I owszem—odpowiedziała.—Pójdziemy łąkami, bo we wsi wiele kurzu.

I znów jak w dniu, w którym się po raz pierwszy spotkali, szli razem przez ług zielony, roztaczający się daleko i szeroko, jak spokojne jezioro, tylko już teraz bujne trawy nie słaniały się przed nimi z cichym szmerem, a legły jak zajrzéć okiem w długie pokosy jesiennéj otawy, nad któremi unosiła się ostra przejmująca woń świeżego siana, ostatnie tchnienie konających ziół.

Adam powiódł wzrokiem dokoła i rzekł jakby do siebie:

— Zmieniło się wiele przez parę miesięcy...

— Tak — potwierdziła, myśląc, że mówi tylko o skoszonéj łące.—Nasza utylitarność nie da i biednéj trawie dożyć dni swoich w pokoju; lilia polna, odziana wspanialéj niż Salomon w całéj chwale, została sianem na żer dla bydła.

— I odwrotnie, sucha łodyga zakwitła...—dodał.

— Jakto? — zapytała.

— Czy pani pamięta naszą przechadzkę po téj saméj ścieżce w dzień naszego poznania?

— Pamiętam.

— I moję dysputę z panią Niną?

— Pańskie wyznanie niewiary, jak je hrabina nazwała? pamiętam doskonale. Cóż więc było wtedy suchą łodygą?

— Moja teorya o miłości, jak zwykle teorye *a priori*.

— Więc łodyga zakwitła, to jest zmienił pan zdanie?

— Najzupełniéj.

— Na zasadzie badań? obserwacyi? czy téż...

— Eksperymentu... nie wierzyłem w miłość, bom nie znał jeszcze i wiara mi przyszła dopiéro z doświadczeniem...

Spojrzał na nią wymownie, a jéj serce zabiło.

— To taki cudowny kwiatek — dodał po chwili — że koniecznie zdaje się nie z tego świata, póki się go zna tylko z legendy... A pani, co o nim myśli?

— Że najcudowniejsza legenda nie dorównywa rzeczywistéj jego piękności...

— Więc przez czas, w którym ja zmieniłem zdanie, pani je sobie wyrobiła, bo gdym wtedy zapytywał, co pani sądzi o miłości, odpowiedź była: nie wiem jeszcze, zobaczę...

Maryjka zawstydziła się ślicznym rumieńcem, który falą różową oblał czyste czoło, ale słów wyrzeczonych nie cofnęła. On ko-

chał ją i dał jéj to poznać, więc ona już teraz kochać go miała prawo. Powiedziawszy sobie tyle, że się wzajemnie zrozumieli, zamilkli oboje, on onieśmielony jéj wstydem dziewiczym, ona wzruszeniem nagłém zmieszana.

Przechodzili właśnie mimo zakrętu rzeki, nad którym płakała pochylona wierzba; do spuszczonéj nad wodą gałęzi było przywiązane czółno i wiosło w niém leżało.

— Życie bywa pieśnią — rzekł Adam; i zaśpiéwał z cicha, ale mocnym i dźwięcznym głosem:

„Dziewczę—słóweczko rzuć—
Gdzie z tobą płynąć mam?
Czeka gotowa łódź,
I wietrzyk sprzyja nam"...

— Możemy puścić się z biegiem rzeki— dodał — i wylądować w ogrodzie, tuż koło dworu; dobrze? Albo jeśli pani pozwoli, popłyniemy daléj, gdzie na kraj świata, do jakiéj wyspy wiecznéj wiosny, na któréj stworzymy sobie raj ziemski...

— Dobrze—odrzekła— ale to późniéj... teraz płyńmy do domu.

I weszła w łódkę, nucąc dalszy ciąg piosenki.

„Powieź mię mój jedyny
Do wierności krainy"...

Adam nabrał oburącz świeżego siana z pokosów, ułożył dla niéj wygodne siedzenie w tyle czółna, a sam siadł na przedniéj ławeczce i dwoma uderzeniami wiosła skierował łódkę na środek rzeki, gdzie zakołysawszy się z lekka, poszła równo z biegiem wody, nie potrzebując prawie wiosłowania.

Niedługo już dzień wrześniowy miał się ku końcowi. Nasza północna jesień tak w swych początkach do wiosny podobna, łagodziła resztę letniego upału chłodną rosą i wilgotnym powiewem z zachodu, a powietrze nabiérało z tego połączenia niby miłéj świeżości majowéj. Słońce odchodząc za góry, oglądało się blaskiem ciepłym jeszcze, ale już nieco przymglonym, jakby nie rzeczywistość wesoła, tylko świeże wspomnienie minionego szczęścia. Na ługach nad rzeką słychać było monotonne ćwierkanie polnych koników, daléj terkotał chruściel, drugi odpowiadał mu z za rzeki, od bliskiego jeziorka zalatywał suchy szelest rozkołysanego sitowia, w którém bąk wodny odzywał się głucho, jakby z pod ziemi, a rozrzucone po obu brzegach gęste kępy łozy szumiały przytłumionym szmerem. Szafirowa smuga rzeki połyskiwała złotą łuską drobniutkiéj, ruchoméj fali, wijąc się między wysokiemi obrywami

szybko, a tak cicho, że słychać było wyraźnie plusk wody rozstępującéj się przed czółném, które sunęło wolno, lekko, jak chmurka przez obłoki. Czasem ryba wyrzuciła się nad wodę do słońca, mignęła muszlowym połyskiem niebieskawéj łuski i różowych skrzeli, bryznęła garścią płynnych dyamentów i nikła w kryształowéj topieli, zostawiając nad sobą rząd rozbiegających się kółek wodnych i białe perełki piany.

W łódce było cicho. Adam patrzył, nic nie mówiąc, na swoję towarzyszkę, która w milczeniu patrzyła na wodę; lecz ona czuła na sobie jego wzrok wzruszeniem zwilżony, a on widział fałdy jéj niebieskiéj bluzki, podnoszące się żywo od przyśpieszonego oddechu.

Słów nie było im trzeba. Kochali się, wiedzieli o tém, byli razem i blisko, a na cóż wtedy słowa? W takiéj chwili każdy wyraz wydaje się mdły i bezbarwny i mógłby tylko ostudzić gorące usta, usiłując wypowiedziéć niewypowiedziane. Mowa jest daną dla porozumienia się tym, którzy swoich myśli nie znają; więc kiedy myśl wspólna i wzajemnie wiadoma, ustaje potrzeba tłómaczenia jéj sobie słowami. To też prawdziwe, głębokie uczucie, łączące dwie istoty w jednę, jest koniecznie małomównėm. Gdyby Adam i Maryjka prowadzili z sobą pospolitą miłostkę, jakich tyle bywa między pospolitymi ludźmi, kobiétą trochę płochą i trochę lekkomyślnym mężczyzną, ta łódka sunąca cicho nad błękitną głębią byłaby pełną wesołego gwaru, czułych wynurzeń i wymownych uśmiechów; lecz ci dwoje należeli do ludzi myślących poważnie, którzy nie bawią się jak dzieci życiem i uczuciem, więc i miłość ich nie była tą zwyczajną, pół figlarną a pół namiętną canzonetą przy mandolinie, lecz uroczystym hymnem, łączącym dwie dusze w harmonijny akord milczącego uniesienia i niemego zachwytu.

Błogie chwile krótko trwają. Od zakrętu rzeki, przy którym stało czółno, do drugiego, wchodzącego w ogród pałacowy, nie było i kwadransa drogi. Łódka przybiła do brzegu przy klombie akacyi i kasztanów, za którym rozścielał się trawnik, dochodzący do schodów werendy. Pomógłszy Maryjce wyjść z czółna na ziemię, Adam zatrzymał jéj ręce w swoich.

— Maryjko...—rzekł przyciszonym, miękkim głosem.

Odpowiedziała mu spojrzeniem, w którém była cała jéj dusza, ale ręce wysunęła z jego dłoni i poszła śpiesznie dróżką, prowadzącą przez trawnik ku werendzie.

W pałacu zastali gości z odleglejszéj okolicy. Byli to dalecy krewni hrabiego Janusza, zamieniający wizyty z Horyńcami parę razy do roku, marszałek Podolański z dwiema córkami. Obecne odwiedziny przypadały z powodu ułożonego małżeństwa starszéj

córki, któréj narzeczony przedstawiał się rodzinie. Marszałek był to sobie otyły jegomość z dobrodusznym uśmiechem na rumianéj twarzy, nie daleko widzący, nie zajmujący się niczém, w towarzystwie bardzo przyzwoity, bo choć nie mówił mądrze ale nigdy niedorzeczności nie powiedział. Mając piękną dziedziczną fortunę i poważanie w obywatelstwie, był zupełnie zadowolony z siebie i ze świata, i nie potrzebował psuć sobie głowy myśleniem ani sił pracą.

Starsza córka, panna Adela, uchodząca w familii za przystojną, u obcych za nieładną, przedstawiała całém swojém ułożeniem i obejściem typ „*jeune personne modèle*"; trochę bezbarwna i automatyczna, ale nieposzlakowanie *comme il faut*. Narzeczony, pan Karol, okazywał pewną dystynkcyę w sposobie wkładania i zdejmowania binokli i niepospolity szyk w dobiéraniu krawatów; zresztą nie odznaczał się niczém.

Młodsza panna, a raczéj panienka, Nelly, piętnastoletni podlotek, skazany na sukienki po kolana do wyjścia za mąż starszéj siostry, miała miłą twarzyczkę, figlarny uśmiéch i żywe, trzpiotowate usposobienie, przyprowadzające nieraz do rozpaczy *mistress* Lennox. Ta była nauczycielką Nelly i jednocześnie reprezentowała nieboszczkę marszałkową, jako opiekunka panien i niewieścia powaga domu. Angielka była bezdzietną wdową po pastorze z Northumberlandu, a ceniono ją i szanowano wielce, bo miała pochodzić z zubożałéj arystokratycznéj rodziny i mąż jéj był téż podobno szóstym z rzędu synem jakiegoś baroneta. *Mistress* Lennox była dawniéj nauczycielką Maryjki przez lat parę i zachowała z nią stosunek życzliwy ale niezbyt ścisły, bo nie przystawały jakoś do siebie. Dumna, sztywna, etykietalna, rzeczywiście wysoko wykształcona, ale zimna jak lód i sucha jak drewno, *mistress* obowiązki swoje spełniała z surową sumiennością, lecz nikogo nie kochała, nic nie lubiła, od dawnéj ojczyzny odwykła, a do nowéj się nie przywiązała. Miała ona jedno tylko w życiu marzenie: posiadać znów dom własny i stanowisko niezależne, i zamierzała dojść do tego ideału przez założenie panieńskiego pensyonatu; ale jéj projektowi stał dotąd na przeszkodzie brak wkładowego funduszu, bo pomimo hojnego wynagrodzenia i wrodzonéj praktyczności nie mogła nic prawie oszczędzić, ponieważ ubiérała się bardzo kosztownie, uważając za święty swój obowiązek społeczny okazywanie świetnością stroju świetności urodzenia. Powierzchowność miała typową angielską: wysoka, chuda, rudawa, za młodu musiała być brzydszą niż obecnie, gdy żółta cera i czarne zęby mniéj już raziły przy zwiędłéj twarzy.

Goście przyjechali na dni kilka, a hrabina chcąc im uprzyjemnić pobyt w swoim domu, ułożyła na jutro wycieczkę do lasu, niby wrześniową majówkę, niby grzybobranie. Adam został, rozumie się, także zaproszony, i nazajutrz stawił się na oznaczoną godzinę. Marszałek nie był lubownikiem sielskich uciech i zostawał w domu, hrabia naturalnie dotrzymywał towarzystwa gościowi, więc komplet spacerowy składał się z ośmiu osób. Ponieważ zabawa miała być „*tout à fait rustique*“, jechano wozem i panie ubrały sie w proste kretonowe kostiumy, prócz *mistress* Lennox, która nosiła tylko jedwabie.

Po przyśpieszoném drugiém śniadaniu, o godzinie dwónastéj, zaszedł przed balkon ogromny drabiniak, zaprzężony czterma końmi wzdłuż, wymoszczony świeżém sianem i dużym kobiercem perskim zasłany. Przystawiono krzesełka, windowanie pań odbyło się pomyślnie, prócz małego przejścia między *mistress* Lennox a Nelly, która wskoczyła na wóz jak koza i przewróciła się z głośnym śmiechem, za co dostała surowe napomnienie, z kilkakrotném powtórzeniem „*shocking*“. Panie bawiły się niezmiernie klekotem i trzęsieniem drabiniaka, panna Adela nawet śmiała się cichutko i całe towarzystwo w wesołém usposobieniu dojechało na polankę leśną, mającą być punktem zbornym. Wysiadanie poszło trochę trudniéj, ponieważ krzeseł nie było. Maryjka i panna Helena wyskoczyły prędko i zręcznie, Nelly zsunęła się jak kot po kole, ale pozostałe panie patrzyły z komiczném przerażeniem z góry na dół, jakby w przepaść bezdenną. Nareszcie pan Karol obmyślił jakiś sposób wyjścia dla narzeczonéj i *mistress* Lennox a Adam podał rękę hrabinie, upewniając ją, że okoliczność nie przedstawia najmniejszego niebezpieczeństwa. Ale Nina cofnęła się, odwracając głowę.

— Nie, nie!—zawołała — zdawałoby mi się, że skaczę na bruk z trzeciego piętra!... Kto się czuje dość silnym, niech mię zdejmie i postawi na ziemi, inaczéj nie ryzykuję.

I wyciągnęła obie rączki do Adama. Ale Adam nie skorzystał z podawanéj sposobności, aby ją wziąść w objęcia, tylko szybko ujął pod łokcie, podniósł w górę jak małe dziecko i w mgnieniu oka postawił na ziemi.

Nina przygryzła usteczka, ale nie okazała niezadowolenia. Rozebrano koszyki i rozchodząc się, porobiono zakłady, kto więcéj grzybów przyniesie. Para narzeczonych poszła miarowym krokiem szeroką drogą, wiodącą przez las do wsi sąsiedniéj, o kilkanaście kroków za nimi kroczyła *mistress* Lennox, pod rękę z nadąsaną

Nelly, która wolałaby biegać swobodnie po lesie. Nina zwróciła się do Adama.

— A pan z kim pójdzie? — zapytała.

— Ja chyba nie potrzebuję przymusowéj opieki, jak panna Nelly—odrzekł, śmiejąc się. Mogę iść sam.

Ukłonił jéj się i zwrócił ku bocznéj drożynie.

Nina wzruszyła nieznacznie ramionami, ale skierowała się na dróżkę, o któréj wiedziała, pamiętając topografię lasu, że łączy się z tą, którą poszedł ów niedomyślny, co jéj nie mógł zrozumiéć.

Adam zapuścił się w gęstwinę przyśpieszonym krokiem, z postanowieniem plondrowania wszystkich ścieżek, aż póki na któréj z nich nie spotka Maryjki. Przechodząc pod wysokim dębem, usłyszał gruchające na nim turkawki, i nagłą jakąś myślą uderzony, zasępił się mocno. Co on jéj teraz powie? Bo przecież nie zawsze można porozumiéwać się wymowném milczeniem jedynie, i musi czasem nieme uniesienie ustąpić miejsca zwyczajnéj rozmowie. Że ją kocha silnie i szczerze, o tém ona wié dobrze; ale co daléj? Taka miłość może zakończyć się tylko małżeństwem lub rozstaniem... Na myśl o rozstaniu robiło mu się zimno w piersiach, na myśl o małżeństwie chmurzył czoło. Bo nie można przecież zakładać rodziny, nie mając samemu zapewnionego bytu; a jeśliby się ożenił zaraz po otrzymaniu jakiéj skromnéj posady, od któréj musi rozpoczynać, obowiązki rodzinne stanęłyby mu kamieniem na drodze do karyery. Gdyby już teraz był bogatym, dziśby z nią wszystko z rozkoszą podzielił! ale dążąc dopiéro do zrobienia majątku, utrudniać to sobie dobrowolnie i ją może skazać na niedostatek, a sobie zwichnie całą przyszłość?... Zapewne, ważna to rzecz pozyskać na całe życie towarzyszkę zacną i rozumną, kobiétę kochającą i ukochaną; ale zrzec się za to wszystkich szerszych planów, i zamiast służyć społeczeństwu na miarę swoich zdolności i swojéj ambicyi, zasklepić się w ślimaczéj skorupie nic nieznaczącéj jednostki, ubogiego pracownika, trwoniącego cały zasób energii i inteligencyi na zdobycie kawałka chleba dla jednéj rodziny... nie, to niemożebne...

A więc cóż jéj powié?...

Bił się długo z myślami, chcąc wynaleźć sposób pogodzenia rozsądku z sercem, i ułożył nakoniec z nią pierwéj otwarcie pomówić o przyszłości, a wtedy dopiero postanowić coś ostatecznie.

Dochodząc do miejsca, w którém się dwie leśne dróżki łączyły, spostrzegł przed tobą migające między drzewami falbanki sukni kobiecéj. Przyśpieszył kroku,—i zwolnił go po chwili, bo zauważył, że falbanki były szafirowe, gdy Maryjka miała dziś brązową suknię.

Musiał przecież iść dalej i na zakręcie dróżki spotkał się z hrabiną. Nina trzymała na jednéj ręce zdjęty z głowy szeroki kapelusz i koszyk na grzyby, drugą unosiła fałdy sukni, z pod któréj wyglądała ciekawie jedwabna spódniczka w różnokolorowe paski i maluteczkie buciki. Włosy miała rozrzucone, twarz od ruchu zarumienioną, i pęk leśnych dzwonków za paskiem u boku; wyglądała ślicznie, wiedziała o tém i... liczyła na to.

— Znajdujemy się, nie szukając... czy to przeznaczenie?—zawołała z czarującym uśmiechem.

— Prawdopodobniéj przypadek,—odpowiedział Adam.

— W każdym razie dla mnie pomyślny, bo jestem zmęczona, więc potrzebuję punktu oparcia.

I uwiesiła się na jego ramieniu.

— Rozkoszna samotność! szczebiotała idąc. Ptaszki śpiewają jedne dla drugich,—kwitnące zioła nachylają się ku sobie,—motyle ssą miód z jednego kielicha,—wszędzie najwyższe upojenie życia—miłość... Jak mi żal pana, że pan nie wierzy w tę najpiękniejszą rzecz pod słońcem—dodała po chwili, spoglądając mu w oczy.

— Nie wierzyłem—poprawił Adam, ale wzrok od jéj spojrzeń odwrócił.

— Jakto? czyż mógłby pan zmieniać zdanie?—spytała z filuternym uśmiechem.

— Niezmienna stałość—odrzekł poważnie, jest rzeczą chwalebną we względzie przekonań; co się zaś tycze prostych tylko zdań, trzymanie się ich pomimo poznania z biegiem czasu lub okoliczności, że są błędnemi,—byłoby jedynie uporem lub uprzedzeniem.

— Więc z biegiem czasu i okoliczności pan się nawrócił na wiarę w miłość?

— O kwestyach wiary może najlepiéj nie mówić.

— Ale nie panu—ze mną, ponieważ jak się zdaje jesteśmy już jednowiercami.

— To zależy. Bywają ludzie wierzący w jednego Boga w odmienny sposób.

— Dlatego właśnie trzeba nam się porozumiéć.

— Pani zapomina, że mamy zbierać grzyby.

— Ech! co mi tam grzyby! grzybobranie mogę miéć co roku, a złote chwile takie rzadkie w życiu... Patrz pan i słuchaj: słońce rzuca nam pod nogi chwiejne smugi gorących blasków, świeży powiew przejmuje rozkosznym dreszczem, liście szepczą coś cicho a serce głośno bije...

— Rzeczywiście; las bardzo piękny o téj porze roku.

Nina wydęła usteczka. Prześlizgiwał się jéj jak wąż między palcami, a nie mogła odgadnąć dlaczego. Była pewną, że ją kocha— bo i któżby jéj nie kochał kiedy tego chciała?—zresztą, przyznawał się przecież, że wierzy już teraz w miłość; dlaczegóż nie chce czy nie śmié wytłómaczyć się wyraźnie?

Umilkła na chwilę, a potém zaśpiewała:

„Suivons les sentiers ombreux
Ou s'égarent les amoureux"...

Dźwięczne modulacye jéj głosu zbudziły nawet drzémiące stare dęby, które odpowiedziały echem; ale Adam rozgartywał palcami brodę na dwie strony—i milczał.

— Pan dziś w złym humorze?—zapytała nakoniec.

— Nie pani; nie podlegam nigdy złym humorom.

— Więc zkądże to uparte milczenie?

— Wogóle nie odznaczam się wielomówstwem.

— Czasem przecież wpada pan w werwę i bywa bardzo wymownym.

— Wpadam w werwę, kiedy mię żywiéj zajmie poruszona kwestya.

— A! więc kwestya miłości nie zajmuje pana?

— O miłości mówi się milczeniem...

Myślał w téj chwili o swojéj wczorajszéj przechadzce z Maryjką,—ale ona zrozumiała go inaczéj. Na zarzut upartego milczenia odpowiadał, że milczenie jest wymową miłości, więc to wyraźnie stosowało się do niéj i było wyznaniem... Na tę myśl w głowie jéj się zakręciło, — spojrzała na niego oczami pełnemi upajającego wzruszenia, przycisnęła ręce do piersi, westchnęła głęboko i przystanęła, czekając co daléj powie.

Lecz on zapytał z uprzejmą troskliwością:

— Pani ze zmęczenia robi się słabo?

— Głowa mi cięży... szepnęła, i oparła skroń na jego ramieniu, przymykając oczy.

— Może pani ma przy sobie wodę kolońską, albo inny jaki środek od bólu głowy?—rzekł spokojnie.

Tego już było zanadto. Puściła nagle jego ramię, siadła na murawie i rozpłakała się głośno.

Położenie Adama było rozpaczliwe.

Wiedział, że jedyném skuteczném lekarstwem na ten atak nerwowy byłoby uklęknąć przy płaczącéj i utulić ją tkliwemi słowy; nie chcąc przecież użyć takiego środka, łamał sobie głowę nad wynalezieniem innego.

W tém błysła mu myśl szczęśliwa.

Zwinął ręce w tubę, przyłożył do ust i zawołał donośnym głosem:

— Panno Maryo! panno Maryo!...

Echo popłynęło daleko w gąszcz leśną, a Nina zerwała się jakby dynamitem wysadzona.

— Po co pan wołasz Maryjki?—zapytała, przestając płakać.

— Żeby poradziła co na pani niedyspozycyę; mężczyźni nie są w takich razach kompetentni.

Piękna pani otarła szybko oczy, i nie powiedziawszy ani słowa, poszła śpiesznym krokiem prosto przed siebie. Adam podążył za nią.

— Pani poprowadzić się pozwoli?—rzekł, podając jéj rękę. Ale ona odtrąciła teraz jego ramię.

— Proszę mi dać pokój! chcę zostać sama!—zawołała niecierpliwie, i biegnąc prawie, znikła na zakręcie drożyny.

Adam nie należał do tych mężczyzn niższego pokroju, co znajdują przyjemność i chlubę we wzbudzeniu uczucia nawet w obojętnéj sobie kobiecie, więc w téj chwili nie cieszył się ani szczycił swoją mimowolną zdobyczą, lecz przeciwnie, uczuwał szczere niezadowolenie. Było mu trochę żal téj płaczącéj z jego powodu chociaż nie z jego winy, i całe przejście robiło na nim nie miłe wrażenie. Powróciwszy do miejsca, w którém się dwie dróżki łączyły, siadł na pniu ściętego drzewa, czekając aż hrabina odejdzie dość daleko, aby się z nią znów nie spotkać, i rozbiérał w myśli świeże wspomnienia z dziś i wczoraj, a porównywając postępowanie z nim Niny i Maryjki, doznawał dla pierwszéj uczucia niesmaku, dla drugiéj uwielbienia.

W tém zaszeleściły przy nim krzaki leszczyny, i Maryjka wyszła z nich śpiesznie, zadyszana.

— Co się tu stało, że mię pan wołał?—spytała niespokojnie.

— Spotkałem się z panią Niną—odpowiedział, wstając. Była zmęczona, skarżyła się na głowę, i nareszcie niedobrze jéj się zrobiło. Dlatego ośmieliłem się wezwać panią na ratunek.

— Gdzież jest hrabina?

— Rozkaprysiła się i poszła tamtą ścieżką, mówiąc, że chce być samą.

— W takim razie trzeba jéj poszukać—powiedziała, zwracając się we wskazanym kierunku.

Ale Adam przytrzymał ją za ręce.

— Panno Maryo,—rzekł żywo,—niech pani jéj nie szuka, i nic nie wspomina o téj tam... niedyspozycyi. Proszę panią o to!

— Jakto? cóż to ma znaczyć?—zapytała zdziwiona.

— Wytłómaczę się jaśniéj—ale niech pani usiądzie.

— Umieścił ją na pniu ściętego drzewa, a sam siadł niżéj na trawie.

— Są rzeczy, o których się nie mówi,—zaczął,—przynajmniéj o ile się nie jest tém, co pani Nina nazywa *„un fat“*; ale w obecnym wypadku nie powinienem zachowywać przed panią milczenia, ponieważ mogłaby pani wpaść na jaki fałszywy domysł. I opowiedział jéj całe przejście, modyfikując trochę co było nazbyt jaskrawém w znalezieniu się Niny.

Gdy skończył, Maryjka rzekła z westchnieniem:

— To ciągła troska mego życia, odkąd rzecz zrozumiałam, bo chciałabym szanować ją tak, jak kocham—a nie mogę. Gdy się ucieszę, że jéj już przeszła która z takich fantazyi, dowiaduję się zaraz, że ją tylko zamieniła na inną... Ale niech jéj pan nie sądzi zbyt surowo. Ja znam hrabinę najlepiéj i wiem, że to natura na wskroś lekkomyślna, lecz nie zepsuta do gruntu, jaką się panu może wydaje.

— W każdym razie grunt-to bardzo śliski—odparł.

— O tyle, że się na nim chwieje, ale nie tak, żeby aż upadała.

— Może być; jednak i to dosyć, żeby nikt nie chciał być synem takiéj matki, ani miéć taką siostrę. Ale zostawmy już ją na stronie, a mówmy lepiéj o sobie, o naszéj przyszłości.

— Przyszłość...—szepnęła, zamyślając się. Cóż mi pan o niéj powié?

— Powiem pani otwarcie myśl moję. Rozważałem właśnie przed chwilą, że ciężkiém byłoby mi życie bez pani, ale kto wié czy nie cięższém jeszcze, gdybym narzuciwszy pani mój los niepewny, widział ją może kiedyś zmuszoną do ciężkiéj pracy, i może znoszącą niedostatek. Straszna to rzecz—nie módz tak zawsze patrzéć w te oczy ukochane, z których mi świeci szczęście—lecz chyba straszniejsza—widziéć płynące z nich łzy—przezemnie...

Ona odrzekła ze spokojem:

— Mnie praca nie przeraża, i biédę umiałabym znieść z chłopską wytrwałością—ale sama. Panu nie chcę być nigdy kulą u nogi,— więc myślałam także o przyszłości i opowiem szczerze treść mego rozmyślania. Najpierw, nie pojmuję dla czego ludzie, znajdujący się w podobném z nami położeniu, widzą zawsze przed sobą tylko dwie drogi do wyjścia: albo oznaczenie czasu pobrania się ze wszelką pewnością, albo stanowcze rozstanie bez żadnéj nadziei. Pocóż zrywać z sobą i żegnać się na wieki, dlatego tylko, że się nie wié co przyszłość przyniesie? Życie jest dość długiém, aby można było w jego ciągu doczekać się wszystkiego, czego się odeń wymaga

w granicach możliwości. Wszakże mamy przed sobą tyle jeszcze lat młodych! więc idźmy każde w swoję drogę, powiedziawszy sobie tylko do widzenia, unosząc wspólną nadzieję, że się jeszcze kiedyś w pomyślniejszych warunkach spotkamy. Jeśliśmy sobie sądzeni, to się znaleść musimy i będzie; co Bóg da.

— Ale Bóg daje człowiekowi to tylko, co on sam sobie zarobi.

— To téż nie będziemy patrzéć bezczynnie jak woda płynie, czekając czy nam czego z sobą nie przyniesie; przeciwnie, pan niech pełni swoje zadanie w życiu, ja swoje; a gdy przyjdzie pora, że można będzie pomyśléć o życiu rodzinném bez uszczerbku dla szerszéj działalności, któż nam wtedy poszukać się zabroni, i dlaczego nie mielibyśmy się znaleźć? wszak prawda?

Podała mu rękę, którą on do ust przycisnął.

— Więc jesteśmy narzeczeni?—zapytał.

— Nie—odpowiedziała. Sercem jesteśmy nawet zaślubieni, bo wspólność uczuć jest także związkiem wielkim i świętym; ale nie przyjmę od pana żadnych przyrzeczeń, żadnéj obietnicy. Sama związuję sobie ręce na wieki, rozmyślnie i dobrowolnie, bo podług mnie kobieta, która jednemu miłość prawdziwą okaże, jest już tém na zawsze od każdego innego odgrodzona; lecz męzkie serce ma może inne prawa... zostawiam panu najzupełniejszą swobodę, a za to kiedyś—gdy mój wybrany przyjdzie po mnie, będę miała błogą pewność, że mi go przyprowadził głos serca, nie obowiązek honoru jedynie.

On chciał coś mówić, lecz położyła mu rękę na ustach.

— Cicho! — szepnęła — moja wiara w pana uczucia żadnych zaklęć nie potrzebuje...

Adam pomyślał, że o miłości mówi się nie tylko słowami albo milczeniem, i objął ją wpół, chąc pocałować. Ale dziewczyna pokraśniała jak wiśnia, usunęła mu się i wstała. On wstał także i wziął ją za ręce.

— Najdroższa—rzekł z wyrzutem,—mówisz, że sercem jesteś moją żoną, więc dlaczegóżeś dla mnie surowsza niż nawet narzeczona?

Lecz ona zwróciła się ku zakrętowi dróżki.

— Chodźmy już—powiedziała żywo, bo może na nas czekają.

— Maryjko! nie chcesz mi nawet odpowiedziéć?

— Owszem, odpowiem, i spodziewam się, że mię pan zechce zrozumiéć.

Oparła się na jego ramieniu i mówiła idąc.

— Niech pan nie myśli, że dla narzeczonego byłabym względniejszą. Pamiętałabym nawet w przeddzień ślubu tak samo, jak pa-

miętam teraz o tém, co tak pięknie powiedział poeta, znający dobrze serce uczciwéj kobiety, że każdy pocałunek jest jakby jednym listkiem oderwanym od téj korony z białych lilii, w którą skromność ubiera czoło dziewczyny. Ja chcę iść do ołtarza albo do trumny z tą koroną w całym jéj majestacie niepokalanym; dlatego niech mię pan na próżno o żaden z niéj listek nie prosi.

— Jednakże, jeśli się ma szczery zamiar zostania czyją żoną... zarzucił, argumentując słabo, gdyż w jego sercu namiętne pragnienie walczyło z poszanowaniem jéj skromności.

— To wcale nie zmienia rzeczy. Wszelkie takie *à conto* na rachunek przyszłości tak mi się wydaje, jak gdyby naprzykład narzeczony żądał przed ślubem procentów od posagowéj sumy, a narzeczona mu je wypłacała; bywa i to podobno, ale przyzna pan, że tylko między ludźmi dosyć nizkiéj miary.

— Zapewne, ale procent w pocałunku stanowi dowód miłości.

— Prawdziwa miłość daje żywą wiarę,—a ta dowodów nie potrzebuje. Skoro sama przyznaję się do uczucia, dowody byłyby potrzebne tylko temu, ktoby śmiał przypuszczać, że kłamię.

— Więc jakaż będzie różnica w stosunku kochających się i obojętnych?

— O, bardzo wielka! Stosunek kochających się prawdziwie jest taką ścisłą jednością duchową, jaka nie może nigdy łączyć obojętnych. Dla nich niknie i *ja*, *ty* a tylko *my* zostaje, bo myśl ich ciągle wspólna. Oni rozumieją się zawsze, we wszystkiém z sobą współczują, a każde spojrzenie, każde słowo, dla drugich bez znaczenia, dla nich jest pełném treści, i odgadywać się nawet nie potrzebują, bo serca ich—to otwarta książka, którą czytają razem. Najpiękniéjszy przywiléj kochanka—to nie pocałunek ukochanéj, tylko ta właśnie kryształowa przéjrzystość jéj serca, w którą mu ciągle patrzeć wolno, i widziéć swoje odbicie... Nie! mnieby się zdawało, że usta mężczyzny starły z mojéj twarzy wyraz godności kobiecéj, że sprofanowałam świętość mego uczucia, stawiąc je na równi z pokątnemi miłostkami, co szukają upojenia nie w sercu czystém lecz na ustach gorących!..

Ożywiła się, rozrumieniła, oczy jéj świeciły a usta drżały. Adam patrzył na płonące krasą polnego maku lica jak spragniony na zdrój świeży, i jednocześnie jak pobożny na święconą wodę, któréj pić mu się nie godzi. Sprzeczne uczucia miotały mu się w piersiach: gniewał go jéj opór, a stałość moralnego przekonania budziła uwielbienie. Był w położeniu tego Araba, który ścigając rabusia uciekającego na zabranym mu najdzielniéjszym biegunie,

jednocześnie martwił się, że go dopędzić nie może, i cieszył, że ulubiony jego rumak jest tak szybkonogi.

Nakoniec—jak zawsze w męzkiém sercu pod wpływem szlachetnéj kobiety—lepsza połowa jego miłości odniosła stanowcze zwycięstwo. Pochylił głowę i ucałował jéj rękę.

— Przyznaję pani zupełną słuszność—rzekł z westchnieniem, chociaż mię to wiele kosztuje... Czy nam nawet nie będzie także wolno nazywać się po imieniu?

— Naturalnie,—odparła z uśmiechem. I to byłoby przecież jedném z takich *à conto* na rachunek przyszłości. Zresztą nie potrafiłabym mówić z panem inaczéj w towarzystwie jak na osobności, boby mi się to wydawało jakąś dwulicowością, właściwą także tylko pokątnym intrygom.

— A przecież i teraz mówimy z sobą inaczéj niż przy świadkach.

— To zupełnie co innego. Nie jest przecież komedją, jeśli kto zamilcza przed obcymi o tém, co zwierza przyjacielowi. Serdeczne tajemnice są wyłączną własnością każdego, każdy ma zupełne prawo dzielić się niemi, tylko z kim sam zechce, i ubliżałby nawet powadze swoich uczuć, gdyby robił z nich otwartą dla wszystkich wystawę.

— Więc pani chce, żeby nasza serdeczna tajemnica była takim ukrytym skarbem, nam tylko dwojgu wiadomym?

— Tak; wolno nam nie zwierzać się z tem nikomu, ponieważ jesteśmy oboje niezależni, przed własnym tylko sądem odpowiedzialni, a w obecnym wypadku nawet do ścisłéj tajemnicy obowiązani, dlatego że...

Zatrzymała się z pewnem zakłopotaniem.

— Dlatego,—skończył za nią,—że nie chciałaby pani robić przykrości hrabinie.

— Właśnie... odrzekła z widoczną przykrością. Powiem jéj o tém dopiero, gdy zauważę, że ten nowy kaprys uleciał i że moje zwierzenie już jéj miłości własnéj nie urazi...

— Jakże tu ładnie! rzekła nagle zmieniając niemiły dla niéj przedmiot rozmowy. Jak miło iść razem taką śliczną drogą.

— Jak miło żyć, czuć i kochać!.. odpowiedział.

— Ta druga wiosna to chyba umyślnie dla nas,—zauważyła z uśmiechém, pokazując mu krzak tarniny, na którym kilka gałązek zakwitło po raz drugi w roku.

Adam zerwał dwie gałązki osypane puszkiem śnieżystym.

— Podzielmy się niemi,—rzekł podając jéj obie. Kwiatek na pamiątkę!.. dawniéj śmiałbym się z takiego dzieciństwa,—a dziś

moja wróżka tak mię urzekła, żém gotów czcić jak świętość marny listek wzięty z najmilszych paluszków.

— Bo marny listek staje się wielkim talizmanem, skoro jest zaklęty pamięcią drogiéj chwili, odpowiedziała.

— Ale może cierniowe kwiaty są złą wróżbą? zapytał; ja i w to już zacznę chyba wierzyć... Serce, gdy mocno zabije, staje się tak odważném, że popchnęłoby w ogień,—i tak bojaźliwém, że lęka się nawet cienia.

— Ta wróżba znaczy to jedynie, co każdy wié i bez niéj: że tylko depcząc odważnie po cierniach, można dojść do mety. To też niewielu dochodzi;—ale my dojdziemy, i ciernie nam zakwitną... Dostanie pan na pamiątkę nietylko kwiatek: ale nawet pocałunek, dodała po chwili, rumieniąc się z uśmiechem.

Przycisnęła do ust cierń kwitnący, i włożyła mu go do ręki. On pocałował także kwiatek, a potém każdy z podających go paluszków,—i poszli daléj w gąszcz zieloną, a rozwinięty w ich piersiach kwiat miłości i szczęścia, ten cudowny kwiat paproci, co podobno raz tylko i tylko na chwilę w całéj swojéj krasie i potędze zakwita, zamienił dla nich magiczną, swoją mocą wszystko dokoła w kraj czarów, w którym królowali oboje. I było im tak w duszy jak gdyby z nagłego objawienia dowiedzieli się z wszelką pewnością, że życie jest największém dobrem, świat edenem rozkoszy, a człowiek istotą wybraną, zdolną do takich rajskich upojeń, jakich całą swą mową określić nie jest w stanie bo wyraz szczęście—to za mało...

Przy nich naokół było także pięknie.

Leśna drożyna mało deptana, porośnięta drobną trawką gęstą i równą jak strzyżony aksamit, biegła gdzieś daleko w cienistą gęstwinę, z obu jéj stron szumiały rozłożyste dęby, pomiędzy któremi gdzie niegdzie smukła brzoza powiewająca rozpuszczonym warkoczem, niżéj słały się krzaki leszczyny, a pod niemi, niby wzorzysty haft bogaty, porosły bujnie kwitnące zioła przeróżnéj barwy i woni. W górze wśród splecionych gałęzi przeglądał czasem kawałek błękitu, sypiąc snopy promieni, które prześliznąwszy się między liśćmi zielonawém światłem, rozpędzały cień zielony, a po obu stronach o kilkanaście kroków w głąb zalegał już mrok szary. Szmery jakieś nieokreślone, nieujęte, przelatywały chwilami po lesie, jakby lekkim dreszczem, a wszystkie te pół-światła i pół-dźwięki szeptały cicho: tajemnica...

Cieniste bory—tak jak głębokie wody, górskie załomy i księżycowe nocy, są może piękniéjsze niż wszystko, co jest pięknem w widokach natury, właśnie przez ten urok tajemnicy, który je owiewa, dając pole fantazyi domyślania się w nich czegoś piękniéjszego

jeszcze niż rzeczywistość sama. Co przysłonięte, utajone, niedocieczone,—to najbardziéj nęci i zachwyca, bo tam, gdzie dna lub granic nie widać, wydaje się być nieskończoność; to zaś co wyraźne, znajome, określone—krępuje polot wyobraźni, która, gdy pryśnie czar zagadki, upada jak ptak na piasek.

Tak też i w sercu: póki może przysłaniać rzeczywistość mglistą ułudą marzeń, widzi ją uroczą jak sen nieujęty; lecz kiedy ujmie i zblizka zobaczy, słowo rozwiązanéj zagadki bywa zwykle prozą, któréj nagość brutalna wyłania się rażąco z błękitnych obsłonek poezyi...

Wychodząc z drożyny na dużą drogę, młoda para spotkała pannę Helenę idącą z Nelly, która wybiwszy się nakoniec z pod ścisłego systemu protekcyjnego na względnie większą swobodę, używała jéj całą pełnią poczucia wolności osobistéj; włosy miała rozrzucone, rękawiczki zdjęte, ręce podrapane, twarz jeżynami usmarowaną, a sukienkę podartą. Panna Helena rzuciła na Maryjkę ukośne spojrzenie i zapytała ze złośliwym uśmiechem.

— Państwo chyba grzybów niewiele uzbierali?

— Nagrodzimy czas stracony—odpowiedziała swobodnie. Chodźcie panie z nami: zaprowadzę was na uroczysko, gdzie zwykle dużo grzybów bywa.

Po upływie paru godzin, grzybobiorne towarzystwo, nawołując się ze wszystkich stron, zeszło się nakoniec w całym komplecie na polankę, gdzie czekał już rozesłany na trawie kobierzec i wypakowane z woza zapasy. Zebrawszy się, zaczęto oglądać z wzajemną ciekawością, co kto przyniósł w swoim koszyku. Pan Karol pochwalił się pierwszy mnóstwem ślicznych grzybów, ale *mistress* Lennox, która ani jednego nie znalazła, zdradziła go, że odkupił od spotkanéj w lesie kobiety. Maryjka miała kilkanaście pięknych grzybków, panna Helena kosz pełen ciekawych botanicznych okazów, do których klasyfikacyi zaraz się zabrała, w koszyku Nelly było istne kafarnaum: mchy, żołędzie, purchawki, kilka opieńków, osamotniona rękawiczka, która z drugą rozstała się na wieki i kawałek odprutéj od spódniczki falbany. Adam wysypał na dywan kilka garści dojrzałych wyłuskanych orzechów, panna Adela tryumfalnie w dwóch paluszkach uniosła grzyb jeden tylko i robaczliwy ale ogromny, a w koszyku pani Niny znalazł się śliczny bukiet storczyków i dwa białe muchomory, o które sprzeczała się zawzięcie, że są najprawdziwszemi pieczarkami. Ostatecznie, miano dosyć grzybów zawieźć do domu, bo furman i lokaj, którzy zmieniali się przy pilnowaniu koni, uzbierali ich kóp kilka.

Nażartowawszy się wzajemnie jedni z drugich, zasiedli wszyscy do pracowicie zarobionego podwieczorku. Maryjka gospodarowała przypiąwszy biały fartuch, a pieczyste, wędliny, ciasta i owoce znikały szybko z widowni, jak nigdy przy zwykłych warunkach w jadalnéj sali. Gwar wesołéj rozmowy mącił leśną ciszę, poważne stare dęby zdawały się dziwić tym młodym śmiejącym się twarzom; tylko pani Nina była jakaś melancholiczna, miała podkrążone oczy i skarżyła się na ból głowy; ale gdy Adam usiadł przy niéj i posługując uprzejmie, bawił rozmową, zaczęła się powoli ożywiać, rozpogadzać i nareszcie odzyskała w zupełności zwykłe swoje usposobienie.

Skończywszy podwieczorek, postanowiono przejść się jeszcze trochę po lesie, aby uniknąć nieestetycznego widoku sprzątania i pakowania. Szli tedy wszyscy razem dużą drogą, gdy w tém z za drzew niezbyt daleko dał się słyszéć głos dzwonu; jęk śpiżu płynął potężnym, wspaniałym dźwiękiem, a długie echo roznosiło go pod sklepieniami liściastéj świątyni.

— Gdzie to dzwonią?—zapytała panna Adela.

— W sąsiedniéj wsi,—objaśniła Maryjka. Tam na brzegu lasu stoi nasz parafialny kościołek, a dzwonią na nieszpory, ponieważ jutro święto Matki Boskiéj.

Hrabinie przyszedł do głowy pomysł, z którego uradowana uderzyła w dłonie.

— Chodźmy na nieszpory!—zawołała; będziemy niby pielgrzymi do ziemi świętéj!

Mistress Lennox trochę zaoponowała, ale Nina wytłómaczyła jéj, że się wcale nie zmęczą, bo droga niedaleka; zresztą cel zbawienny i urozmaicenie dzisiejszego programu, warte są trochy fatygi. Reszta towarzystwa przyjęła projekt chętnie i po małéj półgodzince drogi znaleźli się przed kościołem, który stał za wsią, tuż pod lasem.

Kościołek był nie wielki, drewniany, nie bielony ani malowany, więc dębowe drzewo zczerniałe od czasu i wilgoci nadawało mu poważny i starożytny pozór. Wnętrze jego tonęło wpół mroku, bo ściany były na szaro otynkowane, a przez wązkie okna o drobnych szybach, przysłonięte rosnącemi zewnątrz lipami, wpadały smugi światła blade i niepewne. Tylko w głębi na ołtarzu migotały płomienie świec woskowych, poruszane powiewem przez otwarte drzwi płynącym, świeciła w ciemnéj nad ołtarzem niszy srebrna sukienka Matki Boskiéj.

W kościołku było prawie pusto: kilka ubogich szlachcianek, odzianych w pstre perkaliki i białe muślinowe chusteczki, klęczało

na kamiennych płytach posadzki, u drzwi na ławeczce siedział siwy dziadek w szaraczkowéj kapocie, przesuwając w palcach paciorki różańca, a zakrystyan ustawiał na ołtarzu pachnące groszki, lewkonie i leśne kampanule w niebieskich kubkach szklanych.

Wykwintne towarzystwo spoważniało przestąpiwszy próg Boga ubogich ludzi, który zdawał się być dziwnie bliskim i przystępnym w tém swojém skromném mieszkaniu. Kto w niego wierzył, czuł tu jego obecność, kto nie wierzył lub wątpił, może czuć ją chociaż przez chwilę zapragnął...

Panowie stanęli obok drzwi z jednéj strony, z drugiéj panna Helena, *mistress* Lennox ze swojemi pannami weszła do ławki, a że szanowała wszystkie wyznania, choć była owieczką anglikańskiego kościoła, przybrała uroczystszą jeszcze niż zwykle postawę; Nelly zakryła oczy złożonemi rękami, aby uniknąć pokusy, jaką dla niéj przedstawiały naiwne malowidła na chorągwiach, i gorliwie a szybko szeptała paciorek, Maryjka uklękła na stopniu bocznego ołtarza, a hrabina siadła w małéj kolatorskiéj ławeczce i oparłszy głowę na ręku, wpatrywała się rozmarzonemi oczami w chwiejny płomień gromnicy.

Po niedługiéj chwili ksiądz w suto jedwabiami szytéj, ale już poprzecieranéj kapie, zajął fotel na wzniesieniu i zaintonował nieszpory. Z chóru odpowiedziały mu organy, wtórząc głosowi organisty, który był silny i giętki, chociaż nie uczony. Rozległy się natchnione słowa króla-proroka: „*Dixit Dominus Domino meo—sede a dextris meis*“ — starożytna nuta gregoryańska kołysała się w powietrzu powoli, melodyą przeciągłą, jednostajną, pełną wspaniałéj prostoty i uroczystéj powagi, a w przestankach pomiędzy psalmami słychać było szept modlących się szlachcianek, szmery lip za drzwiami i świergot gnieżdżących się w nich na noc wróbli. Słońce schyliwszy się nizko, zajrzało pod lipowe konary, złotawa łuna zachodu wpłynęła otwartemi szeroko drzwiami do wnętrza mrocznego przybytku, a z nią prąd wieczornéj świeżości i aromat ziół leśnych. I zmieszały się blaski zapadającego w tęczowy tuman słońca z chwiejnemi płomieniami gromnic, zapach storczyków z wonią kadzidła, szmery powiewu z szeptami pacierzy, w powietrzu drżały światłocienie a w piersiach fibry serc, natura i człowiek, duch i materya, zeszły się z sobą u wspólnego źródła — u stóp Stwórcy. A z chóru górowały nad wszystkiém słowa psalmisty: „Chwalcie Pana aniołowie i wszystkie jego orszaki, chwalcie go słońca i księżyce, błyszczące gwiazdy i wody, którym wskazał nieprzełomne ustawy! Chwalcie go ziemie, morza i ciemne przepaści, błyskawice i wichry, góry i pagórki i cedry Libanu! Chwal-

cie go zwierzęta i ptaki i płazy, bydło domowe i morskie potwory! Chwalcie go królowie ziemi i narody wszystkie, młodzieńcy i dziewice, starcy i dzieci, uciśnieni i szczęśliwi! Chwalcie przedwiecznego, bo wspaniałość jego na niebie i ziemi, bo on tylko sam jest wielki!“

Uroczystość obrzędu, podniesiona majestatyczną prostotą otoczenia, poruszyła każdą duszę, w którój nie pękła struna wiary. Maryjka wzniosła oczy i utonęła w błogim zachwycie. Serce jéj, bijące ziemskiém szczęściem, leciało do pierwiastku nieziemskiego szczęścia, jak wdzięczne dziecko u nóg dobrego ojca składała swoje marzenia i nadzieje, a to szczere wynurzanie słodkich lecz czystych tajemnic przed wszechpotężnym przyjacielem napełniało jéj duszę niewysłowioną błogością.

Panna Helena patrzyła zdaleka na jéj promienny profil z uczuciem jakby jakiéjś gorzkiéj zazdrości.

— Dobrze téj modlić się — myślała —jéj życie nie złamało ani zbrudziło, a ludzie nie zawiedli i On nie opuścił, jeśli jest i wié co o nas... Ta mogła nie zapomniéć dziecinnego pacierza i może odmawiać go z dziecinną wiarą i ufnością...

Nina osunęła się także na kolana, a choć nie odmawiała żadnéj modlitwy, miała przecież bardzo pobożne myśli. Wychowana w skrupulatném przestrzeganiu form religijnych, a wrażliwa w każdym calu, miéwała i ona swoje chwile pobożnych uniesień, pomimo, że pozwalała sobie czasem rozumowań i dowcipków dosyć wolnomyślnéj natury, a postępowaniem stała od bogobojnych niewiast daleko. To właśnie postępowanie swoje roztrząsała w téj chwili z serdeczną skruchą, i bijąc się w piersi drobną rączką nerwowo zaciśniętą, szczerze przyrzekała w duchu gruntowną poprawę, ślubując z gorącą łzą na jedwabnych rzęsach zupełną już odtąd obojętność dla Adama.

Skończyły się nieszpory; ksiądz odśpiéwał przed ołtarzem śliczny hymn „Witaj gwiazdo morska“, śląc go z dymem kadzidła przed dobrotliwe oblicze, bielejące w głębi przyciemnionéj niszy, i odszedł do zakrystyi. W chwilę potém zakrystyan zbliżył się do hrabiny, oznajmiając, że ksiądz proboszcz prosi państwa wszystkich do siebie na herbatę.

Pani Nina, znajdując się w pobożném usposobieniu, nie chciała odmawiać prośbie swego duchownego pasterza, i wyszedłszy z kościoła, zapowiedziała całemu towarzystwu, że muszą zajść na chwilę odwiedzić proboszcza.

Plebania stała tuż za kościołem, od kościelnego cmentarza oddzielona nizkim częstokołem, zamkniętym furtką, i przedstawiała

typowy dworek mniéj zamożnéj szlachty z okolicy: słomiana strzecha, ganeczek na drewnianych słupach i cztery okna niewielkie z frontu. W ganku rozradowany gospodarz serdecznie gości powitał i wprowadził do bawialnego pokoju. Tu było dość ubogo, ale bardzo chędogo; ścisła symetrya, właściwa starokawalerskim mieszkaniom, ustawiła regularnie gracik każdy, z tém skrupulatném przestrzeganiem raz na zawsze oznaczonego porządku, czego nigdy nie bywa tam, gdzie rządzi fantazya ręki kobiecéj i gdzie przechodzi czasem naiwny wandalizm dziecinnéj rączki, krzywdząc symetryę, ale nadając wyraz życia i ruchu. Na wszystkich ścianach wisiały litografie i oleodruki religijnéj treści, a na półce i komodzie leżały zakurzone stare książki, od których rozchodził się po pokoju lekki odor, jakby stęchlizny czy wilgoci.

Ksiądz proboszcz był człowiekiem już niemłodym, powierzchowności dosyć pospolitéj, obejścia serdecznego, z odcieniem rubaszności. Rysy miał grube, wyraz poczciwéj prostoty na rumianéj twarzy, któréj regularne życie i spokojne sumienie nadawały czerstwość i pogodę, a na grubych wargach wyrobił się już na zawsze ów uśmiech łagodny, charakterystyczny u ludzi ocierających się ciągle o przepisy ewangelicznéj słodyczy. Ten sam uśmiéch widzimy na portretach papieżów i luminarzy kościoła, i ten sam na twarzy każdego prawie wiejskiego proboszcza, tylko z pewną modyfikacyą jakiéj cechy indywidualnéj, naprzykład z przymieszką odrobiny fałszu i naiwności, z cichą pogodą świątobliwości, albo finezyą wyższéj inteligencyi. U proboszcza, ugaszczającego obecnie dostojnych parafian, ów typowy uśmiéch łagodny miał odcień szczeréj dobroduszności.

— Siadajcież proszę, moi państwo łaskawi—rzekł uprzejmie—a ja o herbatce pomyślę.

Ale hrabina wymówiła się od herbaty.

— W domu na nas z obiadem czekają — mówiła — zaszliśmy tylko na chwilę, złożyć uszanowanie proboszczowi.

— A no, to jak się podoba, ale dam państwu coś dobrego do złasowania, i od tego mi się nie wymówicie: mam w moim ogródku maliny, ale jakie.—Pocałował się w palce. — W trzech odmianach: żółte ananasowe, różowe z lasu przesadzane i czerwone zwyczajne. W moment uzbiéram całą misę, bo taka tam moc tego daru bożego!

Zakręcił się do drugiego pokoju i wrócił z zieloną poléwaną miską w ręku.

— Zabawcież się tu mili goście dyskursem, albo na lanszafty sobie popatrzcie, a ja zaraz do was wrócę.

Hrabina zastąpiła mu ode drzwi.

— Czyż to możebne—zawołała — żeby proboszcz sam się tak dla nas fatygował! wszakże owieczki mogą wyręczyć pasterza. Niech mi tylko proboszcz pozwoli gospodarować w ogródku, a sprawię się prędko i dobrze.

Proboszcz się trochę wzdragał.

— Gdzież znowu! żeby sama pani hrabina...

— Proszę się ze mną nie spiérać, proboszczu kochany! wszak co chce kobiéta, chce Pan Bóg.

— No, nie zawsze... Ewa przecie chciala, choć Pan Bóg nie chciał.

Nina śmiejąc sięj pocałowała księdza w ramię, uchwyciła mu z rąk miskę i zwróciła się ku drzwiom. W progu zatrzymała się chwilkę. W serce jéj wśliznął się nagle maleńki dyablik rogaty i wszczął sprzeczkę z ulokowanym tam przed chwilą aniołem dobrych postanowień. Sprzeczka trwała sekundę—dyablik zwyciężył.

— Panie Adamie — zawołała z progu — chodź-że pan pomódz mi w robocie.

Adam zbliżył się dość niechętnie, ale nie zauważywszy tego, dała mu miskę w ręce.

— Proszę to nieść za mną; tylko ostrożnie, bo w razie stłuczenia, proboszcz każe panu odmówić za pokutę siedmdziesiąt siedm pacierzy do najładniejszych w królestwie niebieskiém patronek.

Ksiądz pogroził jéj palcem za to lekkie traktowanie świętego przedmiotu, ale ona rozśmiała się tylko i wybiegła do ogródka.

Ileż tam było kwiatów! a wszystko te najprostsze, najpoczciwsze kwiaty naszych wiejskich ogródków: nasturcye wszystkich odcieni pomarańczowego koloru, pachnące groszki, ulatujące jak tłum barwnych motyli nad szeroko rozłożonemi krzakami, nakrapiane goździki z korzennym zapachem i pełne lewkonie, i mnóstwo wonnéj rezedy, a każda grządka obsadzona ciemnym barwinkiem lub jasną rutą, albo chińską trawą i pieprzową miętą dla odmiany. Za grządkami kwiatów były kwatery drzew owocowych, a daléj młode szczepy szły równemi rzędami, wśród nich zaś przecinały się ścieżki, obsadzone agrestem, porzeczkami i krzakami owych sławnych malin.

Adam zabrał się gorliwie do roboty, chcąc z tém prędzéj skończyć, ale Nina rozswawoliła się jak pieszczone dziecko, i przeszkadzała mu niemiłosiernie. To wyjadła uzbierane już jagody, to mu je sama do ust kładła, to go umalowała różową maliną, za karę, że jéj zjeść nie chciał, to wreszcie robiła różne dowcipne aluzye o biblijnym Adamie i o zakazanych owocach, które przedstawiać miały trzymane przez nią w rozchylonych wabiącym uśmiechem

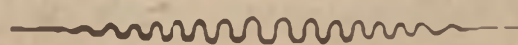
wargach jagody. Nie-biblijny Adam stracił nakoniec cierpliwość i powiedział, że nie wypada kazać na siebie tak długo czekać, a dopełniwszy śpiesznie miski, zabrał się do odwrotu. Nina poszła z nim, ale już chmurna i milcząca. Byłoż bo od czego stracić humor: złamała przed chwilą zaledwie zrobione postanowienie, a grzech nie opłacił jéj się żadną ziemską pociechą: została w deficycie przed sumieniem, nie zaspokoiwszy za tę cenę serca.

W bawialni proboszcza zastali okrągły stół przed kanapą, nakryty serwetą starą w amarantowe kwiaty, a na nim garnek zsiadłego mleka, salaterkę śmietany i fajansowy talerz z kromkami świéżego razowego chleba. Skosztowano poczęstunku pośpiesznie, pochwalono każdy gatunek malin z osobna, i pożegnawszy gospodarza, rozpoczęto windowanie się na wóz, który już czekał przed furtką, bo proboszcz po niego do lasu posełał.

Powrót był już mniéj wesoły, bo towarzystwo czuło znużenie, a hrabina go nie ożywiała. Zamyśliwszy się głęboko, rozbiérała rozmaite przypuszczalne przyczyny odporności względem niéj Adama. Może, myślała, wydaje się tylko tak pewnym siebie, a w gruncie jest nieśmiałym, i nie ma odwagi powiedziéć mi co czuje? może prawość swoję posuwa tak daleko, że serce mężatki uważa za cudzą własność, i przez skrupuł sumienia nie chce sięgać po nie? a może boi się, żebym nie była zwodniczą syreną, kokietką chcącą doprowadzić do wyznania, aby odepchnąć i wyśmiać potém? Wśród mnóstwa hypotez nie było tylko jednéj: może on mnie nie kocha? tego nie przypuściła ani na chwilę.

Bijąc się tak z myślami, szukała sposobu wyjścia z położenia, które się jéj coraz cięższém stawało, i nic wymyśléć nie mogła, bo na złe ani na dobre nie było w niéj dosyć mocy. Jak nie miała tyle siły woli, żeby zapanować nad sobą, tak téż jéj pół-namiętności nie zdobywały się nigdy na ostateczność jakiegoś gwałtownego wybuchu. Rozmyślania swoje kończyła zawsze pragnieniem, życzeniem, marzeniem, nigdy energiczném postanowieniem. I teraz, spojrzała z tęskną zadumą na jakiegoś ptaka szybującego swobodnie w błękicie, westchnęła głęboko, pomyślała: „och, gdybym była wolną!...“ i na tém skończyła.

(D. c. n.) *Julia Terpiłowska.*





FRANCYA PRZED WYBORAMI 1889 R.

W chwili, w któréj kartki niniejsze wyjdą z pod prasy, kampania wyborcza, rozpoczęta od dni kilku na całéj przestrzeni terytoryum francuskiego, rozstrzygnie się. Czytelnicy będą więc, odnośnie do postawionego przez tę kampanią problematu, w posiadaniu danéj, która pozostaje dla piszącego w chwili obecnéj niewiadomą, i niewiadomą osobliwie zagadkowéj natury. Ale téż problemat ten nie jest sam przez się przedmiotem mających tu się przedstawić uwag, spostrzeżeń i wniosków. Jakoż i jego rozwiązanie, jakiémkolwiek się ono okaże, nie zdaje się nam, mimo swéj zaprzeczyć się nie dającéj doniosłości, przeznaczoném do zajęcia pierwszego miejsca w rzędzie zagadnień wywołanych obecném położeniem tego kraju. Kampania teraźniejsza jest w założeniu swojém, a może być i w swoich następstwach najdonioślejszą z tych, które przebyła 3-ia Rzplta od daty swych narodzin. Nawet w 1877 roku chodziło tylko, przynajmniéj w założeniu, o to w czyje ręce dostaną się rządy republikańskie. Dziś sama forma tych rządów podległa kategorycznemu zakwestyonowaniu. Nie mniéj przeto widoczną być się zdaje rzeczą, iż ten lub ów wypadek odbyć się mającego głosowania nie stanie się bezpośrednio i ostatecznie rozstrzygającym dla losów panującego porządku politycznego i społecznego. Zwyciężona— Rzplita nie będzie jeszcze zmuszoną do natychmiastowego złożenia broni : zostanie za nią senat, prezydentura, cała administracyjna, sądowa i wojskowa organizacya kraju zachowana w jéj rękach; zwycięzka—nie będzie ona także powołaną do spoczynku na laurach : zostanie przed nią koalicya tych sił, które kilkakrotnie przemagającemi się już okazały w Paryżu i na prowincyi i które znajdą może sposobność powetowania przegranéj. W obu przypuszczeniach, widnokrąg otwarty przed nami zawiera perspektywę długiéj,

na miesiące jeżeli nie na lata całe rozkładającéj się walki, któréj dzień 22 września, ze swemi zagadkowemi tryumfami i klęskami, może być tylko epizodem. Ale taka walka właśnie i charakter anormalny, narzucony przez nią całkiem normalnéj organicznéj funkcyi, jaką jest odnowienie mandatu poselskiego w łonie reprezentacyi narodowéj,—to, samo przez się znowu, zjawisko pełne znaczenia i domagające się krytycznego rozbioru. O taki więc rozbiór pokusić się chcemy tutaj. W jaki sposób okręgowi wyborcy odpowiedzą na postawione dziś przed nimi pytanie, nad tém zastanawiać się nie będziemy. Jakim sposobem pytanie to, zawierające losy Rzpltéj, losy prawego i dziewiętnastoletniém istnieniem uprawomocnionego rządu krajowego, w terminach Hamletowskiego dylematu, postawionėm być przed nimi mogło,—oto zagadka którą chcielibyśmy rozwiązać. Przewidziéć nam wypada z góry, iż rozwiązanie, do którego się skłonimy, nie zadowolni wiele umysłów, a może nawet obrażającém się okaże dla wielu. Musimy w tym względzie poprzestać na zapewnieniu, iż oparte ono będzie na danych, zebranych z całą sumiennością, na jaką zdobyć się mogliśmy a roztrząśniętych z niezależnością umysłu zupełną.

I.

Trzecia Rzplta miała od chwili swojego założenia wielu nieprzyjaciół. Jak wiadomo, sami jéj założyciele należeli przeważnie do wyznawców innego ideału politycznego. Oportunizm polityczny narodził się w Wersalu i na łonie jawnych zwolenników formy monarchicznéj, którym narzucił się tylko chwilowy kompromis z mniéj dla nich powabną, ale łatwiejszą do urzeczywistnienia formą. Późniejsi republikańscy oportuniści przyjęli z tych rąk i wyzyskali dla swoich widoków i celów starą zresztą i w różnych czasach przez różne żywioły różnie wyzyskiwaną formułę. Przeciwnicy owi, chwilowo przejednani, nie złożyli nigdy broni. Nazajutrz po urzeczywistnieniu paktu wiążącego ich niby z nowym porządkiem politycznym i społecznym, znalazła ich trzecia Rzplta przed sobą. Walczyć więc z nimi musiała, i walczyła jak dotąd zwycięsko. Aliści w ostatnich czasach zjawił się przeciwnik nowy, który od razu zdał się daleko niebezpieczniejszym. Nietylko połączył on pod swoim zwycięskim sztandarem owe dawniejsze żywioły nieprzyjacielskie, występujące dotąd pod rozmaitemi znakami i luzem poniekąd chodzące, ale oderwał z republikańskiego obozu samego i zwerbował do siebie część znaczną tego kontyngensu, który zapewniał panującemu porządkowi stanowczą przewagę. Co był on

zacz? Była chwila, w któréj zdawać się mogło, iż ma do czynienia trzecia Rzlpta z nowym przejawem pierwiastku noszącego w historyi nazwę cezaryzmu. Cezar przedstawiał się w nie nadto imponującéj a nawet nie bardzo powabnéj postaci, ale historya przekazała nam w tym względzie wspomnienia nie pozwalające apriorystycznie wnioskować przeciwko takiemu uosobieniu idei, któréj siłą dźwigali się na barkach sfanatyzowanego pospólstwa rzymscy cezarowie. Siedział on na czarnym koniu i pospólstwo chodziło za tym czarnym koniem wołając : *vivat*! To mogło być wystarczające. Dziś jednak to już minęło. Ale trzecia Rzplta nie pozbyła się przeto swojego nowego wroga. Cezar znikł; pozostała siła, zagadkowa ale nie mniéj dotykalna, która z jednéj strony nie przestaje we wspólnych usiłowaniach jednoczyć rozmaitych opozycyjnych, ale antagonistycznych z natury swojéj i nigdy nie skojarzonych dotąd żywiołów, z drugiéj strony nie przestaje rozrywać i przerzedzać skupionych tak długo i sprzęgniętych do dnia wczorajszego tak silnie szeregów republikańskiéj armii. Balanżyzm był tylko pierwotną i chwilową formą, w któréj wystąpiła ta siła zagrażająca bytowi 3-éj Rzpltéj. Nie ma już bulanżystów a przynajmniéj nie ma ich wielu. Ale są rewizyoniści którym na imię Larochefoucault i Cassagnac, a którzy podają rękę innym rewolucyonistom, którym na imię Rochefort i Laguerre. Co zaś ważniejszém jeszcze, niemasz już prawie orleanistów ani bonapartystów ani nawet nieprzejednanych dawniejszych, których żaden obóz przygarnąć pierwéj, żadna formuła zadowolnić nie potrafiła. P. Rochefort przejednał się z panem Cuneo d'Ornano i patronuje jego kandydaturze. Zkąd bierze się owa siła dokonywująca takich cudów?

Powiedziano swojego czasu o bulanżyzmie, że nie jest on stronnictwem, ale pewnym stanem umysłów. Powtarza się dziś to samo o koalicyi, która pod inną etykjetą, albo nawet bez etykiety wcale, ponawia szturm przypuszczony do republikańskiéj fortecy. Charakterystyka ta może być trafna. Nie może być oczywiście mowy o stronnictwie tam, gdzie nie może być mowy o wspólnym programie. Ale jest to tylko charakterystyka nie zaś wytłómaczenie zjawiska. Zjawisko to okazuje się dwulicowém. Polega ono na zniechęceniu się do formy republikańskiéj, a przynajmniéj do obecnéj formy rządów republikańskich, ogarniającém te sfery, w których forma ta miała swój najtwardszy punkt oparcia. Powiedziano także o samym generale Boulanger, nie bez słuszności, choć z oczywistą przesadą, że jest on kandydatem wstrętu powszechnego do teraźniejszych instytucyi. Zkąd ten wstręt? Ale polega

także owe zjawisko na jakiémś abnegacyjném sprzymierzeniu się wielorakich interesów, których sprzeczność była właśnie pierwotnym fundamentem i pozostawała dotąd podporą istniejącego porządku. Zkąd ta abnegacya?

Zacznijmy od pytania pierwszego. O odpowiedź nie trudno. Polemika i reklama wyborcza nie pozostaje dłużną w tym względzie. Spotykamy najpierw bilans finansowego gospodarstwa Rpltéj dostarczajacy opozycyjnym manifestom najpowszechniéj wyzyskiwanego argumentu. Figurują w tym bilansie, po stronie passywów, takie np. pozycye jak: 7 milionów, wykréślonych rocznie przez Rpltę od r. 1881 ze zredukowanego budżetu wyznań—*debet* Rpltéj: 56,000,000. Tym sposobem sięgają passywa wymownéj cyfry 16 miliardów. Daléj idzie kolonialna polityka z długim szeregiem wniesionych na ich konto strat materyalnych i krwawych ofiar. Daléj jeszcze niegodziwość urzędowego personalu republikańskiego zostającego pod zarzutem wszelakich malwersacyi i nadużyć. Nakoniec zarzut głośny i najboleśniéjszy: pogwałcenie „wolności wszystkich,“ przez co rozumiéć trzeba zamachy wymierzone przeciw kościołowi i usiłowania podjęte w celu zlaicyzowania wychowania publicznego. Mamy więc kilka odpowiedzi, zamiast jednéj. Chodzi o to czy są one trafnemi, to jest odpowiadającemi na pytanie, do którego zastosować nam je tutaj wypada. Owóż w tym względzie nasuwają się nam poważne wątpliwości. I wątpliwości tych nie uchyla bynajmniéj w oczach naszych ta okoliczność, iż pewna liczba republikanów skłoniła się do uznania, w pewnych przynajmniéj granicach, rzeczywistéj słuszności zarzutów w ten sposób sformułowanych przeciwko dotychczasowéj polityce republikańskiéj. Nie chodzi nam bowiem wcale w téj chwili o słuszność tych zarzutów. Chodzi nam o to, czy w zarzutach tych, słusznych lub nie, mieści się istotnie przyczyna, za któréj sprawą 3-a Rplta straciła w ostatnich czasach część znaczną dawnéj swojéj klienteli. W milionie przeszło głosów, którym generał Boulanger zawdzięczył swoje wyborcze tryumfy w Paryżu i na prowincyi, znalazły się w ogromnéj liczbie takie głosy, które 3-cia Rplta miała długo prawo nazywać swojemi, oto fakt. Czy fakt ten tłómaczonym być może oburzeniem, wywołaném pośród tych republikańskich niegdyś wyborców przez finansową, albo kolonialną, albo kościelną politykę Rpltéj, oto pytania. Rozbierzmy.

Jakiemi są najpierw te głosy stracone, być może chwilowo, być téż może na zawsze, dla teraźniéjszego porządku politycznego? Szukać ich oczywiście nie należy w tych warstwach społecznych, w których oddawna przeważało niechętne dla Rpltéj usposobienie,

to jest w warstwach wyższych. Sięgnąć trzeba do dołu, i przypuścić zatém, że ostatnie np. deficytowe budżety republikańskie podziałały w sposób odstręczający na umysły wiéjskiéj czy miéjskiéj ludności roboczéj, i stały się punktem wyjścia ewolucyi dokonanéj lub dokonywującéj się jeszcze w téj sferze na niekorzyść Rzpltéj. Owóż nastręcza się wobec tego przypuszczenia następująca trudność: budżet takiéj potęgi finansowéj, jaką jest Francya, stanowi zbiór cyfr, którego objęcie przedstawia nawet dla bardzo wyćwiczonych w tym kierunku umysłów niemałą trudność. Między specyalistami nawet, któremi pochlubić się mogą kadry bądź republikańskiéj armii, bądź przeciwnego obozu, liczba tych, dla których zadanie takie jest dostępne, zdaje się dość ograniczoną. Jeżeli poprzestaniemy na wymienieniu z jednéj strony p.p. Buffet, Bocher i Say, po drugiéj p.p. Rouvier i Roche, nie skrzywdzimy podobno nikogo. Ci, kiedy mówią o budżetach 3-éj Rzpltéj, mówią o sprawie, o któréj mają pojęcie. Inni, dotykając się tego przedmiotu, mówią o żelaznym wilku. Świadczą w tym względzie protokóły finansowych rozpraw w obu izbach, i świadczą niektóre niefortunne przygody należące do finansowéj historyi ostatnich lat kilkunastu. Że wspomnimy tylko o legendowych stu milionach, zapodzianych przez ministra, który jednak uczył się finansowości we własnych książkach handlowych. A szkoła to nie najgorsza. Nie jest przeto bynajmniéj zamiarem naszym brać w obronę finansowe gospodarstwo 3-éj Rzpltéj. Wartość tego gospodarstwa była i jest dotąd przedmiotem spornym między owymi właśnie rzadkimi fachowcami mogącymi wyrokować o niéj. Chcemy jedynie zaznaczyć to, że dla ogółu przedmiot ten jest i musi być nierozwiązalnym rebusem. Więc przypuszczenie, iż rozwiązanie właśnie tego rebusu doprowadziło pospolitego chłopa, rękodzielnika albo nawet sklepikarza do ujemnych dla porządku republikańskiego konkluzyi, zdaje się nam wprost niemożliwém. Miliardowe cyfry deficytów mogą być wymownemi dla tych, którzy mają jasne wyobrażenie o znaczeniu miliardów. Takiego wyobrażenia szukalibyśmy naprożno w téj kategoryi wyborców, która nas obecnie zajmuje. Wié ona o tém, co znaczy pięciofrankowa sztuka monety, czasem o tém co znaczy bilet tysiąc frankowy; miliard sam przez się jest dla niéj żelaznym wilkiem. Ale, powie kto, deficytowe budżety są tylko wyrazem ogólnego deficytu w narodowém bogactwie. Zapewne; tylko że właśnie znowu bogactwo narodowe nie wyraża się tutaj w ten sposób. I dość rzucić okiem na kraj i na ogólne objawy jego ekonomicznego życia, aby się o tém przekonać. Przecież życie to nie było nigdy intensywniejsze jak dziś! Przecież ogrom krążącego, płynącego wypeł-

nionemi po brzegi korytami i przelewającego się kapitału nie sięgnął nigdy takich rozmiarów! Przecież renta państwowa, ta miarodajna wskazówka dobrobytu krajowego, podniosła się w roku bieżącym do niewidzianego nigdy poziomu! Ogólne, całość europejskiego kontynentu ogarniające przesilenie ekonomiczne sprowadziło chwilowy zastój w rozwoju tėj bezprzykładnėj pomyślności, lecz nie potrafiło jėj nadwerężyć. Jeden rok urodzaju i przyjaźniejszych ekonomicznych konjunktur udzielił jėj nowego rozpędu. Widać ją, buchającą niejako wszystkiemi porami z pokrzepionego napowrót i rozkwitającego organizmu : od trzech miesięcy Europa cała przygląda się ze zdumieniem temu widowisku.

A teraz polityka kolonialna. Czy przyczynić się ona mogła w rzeczy samėj do zdepopularyzowania rządów republikańskich? Aby przyjąć ten wniosek, trzeba zapewne zacząć od przyjęcia założenia, że polityka ta była, lub stała się sama niepopularną. O tėm co jest, lub nie jest popularne we Francyi trudno wogóle wyrokować. Generał Boulanger był wczoraj popularnym bez żadnėj wątpliwości. Czy jest nim, lub przestał być dzisiaj, dociec trudno. Z zupełną jednak znowu stanowczością można przyznać przymiot chwilowėj przynajmniėj popularności temu prądowi, który, bez różnicy stanów i kondycyi, ogniskuje obecnie umysłowe i materyalne nawet poniekąd życie kraju w murach stolicy, w obrębie placu Marsowego. Wystawa jest popularna. Czemu zaś wypada przypisać tę popularność? Oczywiście tym pierwiastkom, a przynajmniėj tym w pierwszym rzędzie, które nadają wielkim owym pokojowym igrzyskom, ściągającym milionowe tłumy, ich charakterystyczne znamię. Owóż jakiemi są te pierwiastki? Odpowiedź narzuca się każdemu mającemu oczy z kategorycznėm brzmieniem. Wystawa obecna jest przedewszystkiém w y s t a w ą k o l o n i a l n ą. To jėj rys znamienny, odróżniający ją od dawniejszych analogicznych przedsięwzięć, i to sekret jėj powodzenia. Śród niezrównanego tego zbiorowiska najróżnorodniejszych a t r a k c y i, dokąd w jaką stronę ciśnie się głównym swoim pędem gawiedź, chciwa nowych wrażeń i nowych form zmysłowėj, albo nawet umysłowėj rozkoszy? Na wieżę Eiffel najpierw, zapewne, ale potém? Na ulicę Kairu, do Jawajskich k a m p o n g ó w, do Senegalskich obozowisk, do Tunetańskich i Anamkich i Indo-chińskich pawilonów. Na samėj architekturze głównych przybytków przemysłu i sztuki e g z o t y z m wycisnął swoje piętno. A po za panem Eifflem, najłatwiėj i najpowszechniėj spopularyzowanymi uczestnikami międzynarodowego popisu, gromadzącego tylu współzawodników, stali się tonkińscy bosonodzy obwoziciele dwukołowych wózków,—*les pousse-pousse*, jak ich niebawem

ochrzcił ludowy żargon. Polityka kolonialna doczekała się śród ludowych rzeszy takiego tryumfu, o jakim nie zamarzyli nawet jéj inicyatorzy.

Ale na tém nie koniec. Stronnictwo, na które spada odpowiedzialność, zasługa czy zarzut téj inicyatywy, przebyło w ostatnich czasach bardzo rozmaite koleje. Główny jego przywódzca nie należał do składu żadnéj z efemerycznych kombinacyi ministeryalnych, które poprzedziły ukonstytuowanie się obecnego gabinetu. W osobie pana Floquet dostał się przed rokiem do władzy jeden z najwybitniejszych antagonistów tegoż zdepopularyzowanego męża stanu. W osobie pana de Freycinet piastuje dziś jeszcze władzę jeden z najrezolutniejszych przeciwników tejże polityki kolonialnéj. Czy przeto kolejnym tym zwrotom towarzyszyło wycofanie chociażby jednego żołnierza z Tonkinu, Tunisu albo Madagaskaru? Nie słyszeliśmy o niczém podobném. Przypuśćmy teraz tryumf obecnéj kampanii koalicyjnéj, przejście steru rządów do któréjkolwiek z podejmujących ją grup politycznych, powrót Orleanów, restauracyę cesarstwa albo uorganizowanie się dyktatury generała Boulanger. Czy wyobrażamy sobie jakiegoś męża stanu, powołanego przez którąkolwiek z tych zwycięskich reakcyi do przemawiania w imieniu Francyi, wstępującego na trybunę i zapowiadającego ewakuacyę indo-chińskich posiadłości? Nie możemy sobie tego wyobrazić żadną miarą. Zdaje się nam, że dnia tego kamienie powyrywały by się z bruków dla wołania : zdrada! w oczy ministrowi zaprzedającemu interes i honor ojczyzny. Kamienie te nie miały by może racyi, ale wołałyby,—to jest rzeczą pewną.

Idźmy daléj. Słyszymy o malwersacyach, które zdepopularyzowały urzędników 3-éj Rzpltéj. Dobrze, ale których mianowicie? Pana Carnot nie pomówił nikt dotąd o żadną malwersacyę, i szanowny prezydent cieszy się zresztą niezaprzeczoną choć niedostatecznie może usprawiedliwioną popularnością. P. Ferry jest niepopularny istotnie, ale nie zaglądano nawet dotąd do jego rąk. Zarzucano jego bratu jakoweś dwuznaczne finansowe spekulacye; jemu samemu—nie. Owóż brat ten nie piastował nigdy żadnego urzędu. P. Floquet znajduje się w posiadaniu dostatniéj fortuny, któréj źródło, powszechnie wiadome, nie podlega żadnemu zarzutowi. P. Constans pomawiany zostaje o zrobienie majątku—na guanach hiszpańskich. Był swojego czasu mąż stanu republikański, któremu przypisywano milionowe dostatki, osiągnięte w ciągu zbyt poufałego obcowania z workiem publicznym. Po jego śmierci krążące w tym względzie pogłoski okazały się zgoła fałszywemi; dopóki jednak żył, i to jest charakterystycznym faktem, nie szkodziły wcale jego

popularności. Gambetta umarł popularnym, choć umarł, w przekonaniu ogółu, milionerem. Ogół okazał się wybredniejszym względem innéj osobistości republikańskiéj, któréj stosunki z poprzednikiem pana Carnot wywołały pamiętny kryzys w dziejach 3-éj Rzplitéj. Na uwagę wszelako znowu zasługuje ta okoliczność, iż w epoce głośnego procesu, który mu wytoczony został, p. Wilson nie był człowiekiem zbogaconym, ale był człowiekiem zrujnowanym na awanturniczych swoich przedsięwzięciach. I proces ten wytoczyła mu bądź-co-bądź rzeczpospolita, opinia republikańska i republikańskie sądy. W gruncie zaś rzeczy nie dowiódł ów proces niczego. Więcéj przekonywającemi okazały się rezultaty innéj dopiéro co, aczkolwiek w wyjątkowych warunkach, przeprowadzonéj procedury sądowéj. O ile jednak przyniosły one same przez się ujmę téj wziętości, którą cieszył się generał Boulanger, z tego dość trudno zdać sobie dotąd sprawę. W każdym razie nie nauczyły one nikogo o niczém. Wiedziano powszechnie od dwóch lat, że popularny generał, nie posiadając żadnego majątku, żyje na stopie Rotszylda albo naczelnika państwa, używającego dobrodziejstw listy cywilnéj. Wiedziano o tém, i cieszono się pięknością jego czarnego konia a wykwintnością zaprzęgów.

Przystępujemy nakoniec do najważniejszego zarzutu, dotyczącego polityki kościelnéj i wogóle sekularyzacyjnych usiłowań, podjętych przez 3-ą Rzplitą, bądź w przekształceniu konkordatowych stosunków między kościołem a państwem, bądź w reorganizacyi nauczania publicznego. Tu najpierw nastręcza się nam następująca uwaga. Głośny artykuł 7 i wiążący się z nim kierunek polityczny sięgają, jeżeli się nie mylimy, datą swoich narodzin, roku 1879. Następstwa tego ważnego bezsprzecznie zwrotu w historyi rządów republikańskich rozwinęły się głównie w latach 1879—1883. Późniéj nastąpił rodzaj reakcyi, odwrotu w przeciwnym kierunku. Owóż czém były lata owe w dziejach 3-éj Rzplitéj. Nie potrzebujemy zapewne przypominać tego. Były one, jak każdemu wiadomo, epoką największego rozkwitu, pomyślności, tryumfu zupełnego nad wszystkimi przeciwnikami. Mamy przed oczami nie podejrzaną, bo przez wszystkie organy opozycyi świeżo ogłoszoną tablicę republikańskich i anti-republikańskich głosów, które zebrane zostały w kolejnych kampaniach wyborczych od 1876 roku. Znajdujemy w niéj następujące cyfry: w roku 1877, głosów republikańskich: 4,367,202 — przeciwnych: 3,577,882; w roku 1881, głosów republikańskich: 5,128,442 — przeciwnych: 1,789,767. Jeżeli artykuł 7 ze swemi następstwami okazał się zdolnym istotnie do nakłonienia w jedną lub drugą stronę naturalnych sympatyi kontyngensu wy-

borczego, tedy sądzimy, iż kierunek osiągniętego przezeń wpływu uwydatnił się w tych cyfrach z nie przedstawiającą nic do życzenia wyraźnością. Przejdźmy atoli do chwili obecnéj. Przypuścić jesteśmy gotowi, iż w uczuciach, w pojęciach, w skłonnościach téj masy wyborców, która w r. 1881 dała 5 milionów głosów przedstawicielom polityki sekularyzacyjnéj, inaugurowanéj dwoma latami wcześniéj, przejawiła się obecnie nie dająca się wówczas przewidzieć zmiana. Zmiana ta musiała być radykalną; przypuszczamy jéj możliwość. Artykuł 7 stał się nienawistny dla większéj liczby tych, którzy powitali go z entuzyazmem, a ogólny kierunek polityczny, którego był on wyrazem, potępiony został w osobie pana Ferry. Zgadzamy się na to wszystko, tylko nie możemy znowu obronić się od uwagi, że to wszystko nie ma, nie może mieć żadnego zastosowania do o b e c n y c h rządów republikańskich. Bo artykuł 7, jeżeli przestał istotnie być popularny, tedy przestał także oddawna być czém innėm, jak martwą literą, a polityka pana Ferry, ta którą mąż ten reprezentował w r. 1879, porzucona została przez niego samego. Bo przecie, mimo wymierzonych przeciwko niemu ciosów, konkordat utrzymał się w swojéj mocy, i w tym względzie stosunki między kościołem a państwem nie uległy żadnéj zmianie. Czy pod innemi względami kościelne albo duchowne wogóle interesa doświadczyły albo doświadczają jakiéjkolwiek obrazy ze strony panującego porządku politycznego? Jakiéj? Za sprawą którego prawa, którego rozporządzenia, któréj donioślejszéj reformy? Za sprawą ostracyzmu, którym dosięgniętemi zostały zgromadzenia zakonne? Prawda, 3-a Rzplita wypędziła jezuitów i pozamykała ich zakłady. Ale było to w r. 1879, i wtedy 3-a Rzplita była popularna. A dziś? Dziś owi wypędzeni jezuici zostają w spokojném posiadaniu czterech zakładów paryskich, tych samych, do których przygarniali młodzież przed dziesięcioma laty. Powiększyli tylko jeden z nich. I mają uczniów? Mają więcéj, niż w r. 1879. I nie doświadczają żadnego prześladowania ze strony policyi republikańskiéj? Żadnego.

W rzędzie dość rzadkich przedsięwzięć reformatorskich, do których skłoniła się i przy których wytrwała 3-a Rzplita, widzimy jedno tylko dotykające téj sfery stosunków społecznych, a mianowicie prawo, za przyczyną którego ciż sami jezuici powołani zostali do ujęcia w swoje ręce niedostępnego pierwéj dla siebie zakresu wyższego wykształcenia. Uniwersytet katolicki w Lille nie odpowiedział wprawdzie położonym weń nadziejom i wiążące się z tą kreacyą zamiary, szerszego zakroju, pozostały w zawieszeniu; ale wina tego niepowodzenia, jeżeli jest jaka, nie może być chyba łożoną na karb rządów republikańskich.

Nie zapominamy o prawie, powołującém pod broń seminarzystów, bez względu na ich duchowne przeznaczenie. Zaznaczamy jednak, że po pierwsze, prawo te nie zostało jeszcze wprowadzone w wykonanie, a powtóre, wiadomo skąd wyszła inicyatywa téj reformy. Osławioną formułę: *les curés sac au dos!* wygłosiły usta, bardzo popularne owocześnie, dzisiejszego sprzymierzeńca Orleanów i Bonapartych.

II.

Przywiedzeni jesteśmy tym sposobem do wniosku, że wskazówki, których udziela nam walcząca z 3-a Rzplitą koalicya dla wyjaśnienia ujawniającego się istotnie i wyzyskiwanego przez nią zwrotu w opinii publicznéj przeciwko panującemu porządkowi, nie wyjaśniają nic zgoła. Dodajmy, że chociażby nawet tłómaczyć one mogły ów zwrot, pozostawałaby wobec nich druga, dopominająca się rozwiązania, zagadka — tajemnica mianowicie dziwnéj solidarności, która za przybyciem jednego nowego zapaśnika, połączyła niezadzierzgniętym przedtém i zadzierzgnąć się nie dającym węzłem sprzymierzone przeciwko Rzplitéj siły. Ten właśnie wzgląd nie pozwala nam z kolei przyjąć, bez zastrzeżenia, innéj odpowiedzi, która z przeciwnéj znowu strony udzielona nam zostaje, na rozbierane tutaj pytania. Razem z krytyką pewnych ideałów politycznych, właściwych temu stronnictwu republikańskiemu, które przed niedawnym czasem zajęło w 3-éj Rzplitéj przodownicze stanowisko, zawiéra ta odpowiedź program drugiego stronnictwa, stojącego obecnie u władzy. Brzmi zaś ona, jak następuje: rzeczpospolita odstręczyła od siebie pewną liczbę dawniejszych swoich zwolenników i naraziła się na grożące jéj obecnie niebezpieczeństwa nie dla tego, że rządziła ź l e, ale dla tego, że nie rządziła d o s y ć; że wyrzekła się dobrowolnie wszelkiego, nawet najgodziwszego wpływu na grę politycznych żywiołów, którą przestała kierować, i pozbyła się wszelkiéj powagi wobec naturalnych nawet klientów swoich, od których zaniechała dopominać się poszanowania. Obecne zamachy na instytucye panujące poprzedzone zostały faktyczną tychże instytucyi abdykacyą, sprzeniewierzeniem się z ich strony niektórym przynajmniéj z pomiędzy elementarnych i koniecznych zadań każdego rządu.

Jest niewątpliwie w takiém postawieniu kwestyi pewna miara prawdy. Cokolwiek trzymać mogą teoretycy socyologicznych nauk o idealnych warunkach organizacyi społecznéj i społecznego bytu, pogodzić się nam wypada z rzeczywistością, która wskazuje, iż

w teraźniejszym układzie stosunków społecznych t r y b r z ą d z ą c y nie daje się stanowczo wykluczyć z tėj organizacyi i z tego bytu. Masy potrzebują jeszcze być r z ą d z o n e m i tak, jak potrzebują oddychać powietrzem. Potrzeba ta nie okazuje się jednostajną i równomierną pod rozmaitemi stopniami długości i szerokości geograficznėj, ale istnieje wszędzie. I nie można powiedziéć, aby jėj miara była w kraju, którym się tu zajmujemy, mniejsza, niż gdzieindziėj. Przeciwnie. Owóż była istotnie chwila, w którėj najskromniejsze nawet w tym względzie wymagania mogły się uczuć niezaspokojonemi. Z panem Grévy w roli prezydenta Rzplitéj, z panem Allain-Targé, albo panem Floquet w roli pierwszego ministra, zdało się, iż przewodniczenie losom wielkiego kraju, z przywiązaną do takiego przewodnictwa władzą i powagą, poległo na przestrzeganiu najściślejszėj neutralności. Zdało się także, podług wyrażenia, z którém się spotykamy w jednym ze świeżych manifestów wyborczych, iż władza i powaga właściwa, przywiązana do pierwiastku rządzącego, jest na zbycie i dość schylić się, aby ją podjąć. Jakoż niebawem zjawiły się gotowe do jėj podjęcia ręce. Chwila ta zeszła się w rzeczy saméj z czynnym występem na scenę bulanżyzmu i jego niespodzianych uroszczeń. Uroszczenia te, niczém skądinąd nieusprawiedliwione, znaléźć więc mogły racyę bytu chyba w starym aksyomacie, podług którego natura nie cierpi próżni, i nawzajem ich niczém innėm nie tłómacząca się popularność mogła być tylko rezultatem instynktowego popędu, pochodzącego z tegoż źródła. Pozbawione naturalnego punktu oparcia, masy chwyciły się grzywy czarnego konia tak, jak się tonący brzytwy chwyta. Nie krępowana w rewolucyjnych swoich zapędach, propaganda prasowa, kawiarniana i karczemna, rozniosła po całym kraju fantastyczną legendę nowego Cezara i jednocześnie niemniéj fantastyczną, tylko ujemną legendę spotwarzanych publicznie, zbeszczeszczonych i błotem obrzucanych rządów republikańskich. Prasa zwłaszcza, prasa dziennikarska, broszurowa i obrazkowa, rozwinęła w obu kierunkach działalność, którėj nieograniczona swoboda i nieograniczona rozpusta nie miały dotąd przykładu w żadnėj historyi. Przez miesiące i przez lata całe wolno było drukować, obnosić po ulicach i rozsypywać po wsiach pamflety obwieszczające, że ludzie, w których ręku spoczywają rządy Rzplitéj są ostatniego rzędu łotrami, nikczemnikami i zbrodniarzami, że ten ukradł tyle a tyle milionów z kasy publicznėj, ów zostaje na żołdzie niemieckim, a tamten dopuszcza się codziennie wszystkich grzechów, za karę których Sodoma i Gomora spalone zostały. A jednocześnie wolno było sprzedawać i rozdawać wizerunki opatrzno-

ściowego męża, powołanego do skarcenia tych przestępstw i powetowania krzywd przez nie wyrządzonych, wizerunki przedstawiające go na koniu śród zwycięskich hufców, i na tronie śród bijących czołem tłumów, i Bóg wié w jakiéj postaci, przeznaczonéj do shołdowania umysłów jego wyapoteozowanéj osobie. Wszystko to było wolno i wszystko to wolno dziś jeszcze, z tą tylko różnicą, że przyprowadzeni do ostateczności przedstawiciele legalnego porządku uciekli się do środków obrony, dostarczonych sobie przez arsenał praw konstytucyjnych. Pokazało się jednak, że arsenał ten zawiera rynsztunek osobliwie lichego gatunku, ciężki w użyciu a niepewny w skutkach. Aby poskromić prostego układacza kalemburów politycznych, bardzo nieprzystojnych zresztą, wypadło uciec się do nadzwyczajnéj jurysdykcyi senatorskéj, poruszyć najcięższą artyleryę strzelającą dwustofuntowemi pociskami. Wolność prasy okazała się wolnością ograniczoną przez dożywotnie więzienie w fortecy. A nadto, ciężka artylerya spudłowała; dwustofuntowe pociski trafiły w próżnię. Gdyby p. Rochefort pokazał się w Paryżu, albo postawił gdziekolwiek nogę na ziemi francuskiéj, można by go natychmiast zamknąć tak, iżby promień słońca nie dostał się do jego oczu. Matka jego własna, gdyby miał matkę, nie mogła by usłyszéć jego głosu. Ale p. Rochefort przesiaduje w Londynie, więc, choć skazany i pozbawiony wszelkich praw, zachowuje prawo wyśmiewania się codziennie w swoim dzienniku ze swoich sędziów, stawiania ich nawzajem przed sądem opinii publicznéj, domyślania się wyroku zapadającego w tym sądzie i piętnowania i wieszania na szubienicach i włóczenia po rynsztokach tych, który go potępili w imie sprawiedliwości publicznéj. I tak samo generał Boulanger, choć *de jure* przestał być nawet obywatelem francuskim, zachowuje *de facto* możnosć odgrywania w dalszym ciągu roli dyktatora, albo przynajmniéj kandydata do kandydatury, zarzucania kraju całego swemi manifestami, przemawiania do narodu, organizowania agitacyi wyborczéj.

Wszystko to znowu prowadziło i prowadzi do nadwérężenia w narodzie pojęć nietylko już o powadze rządu, ale o powadze samego prawa. I nic dziwnego, że przekonanie o prawowitości porządku politycznego, przewodniczącego takim dziwacznym stosunkom, zachwiać się mogło w umysłach najbardziéj nawet przywiązanych do téj formy politycznéj. Ale w tém wszystkiém widzimy tylko narzędzie rozstroju, anarchii moralnéj; nie widzimy jeszcze narzędzi téj drugostronnéj organicznéj i organizującéj siły, która połączyła pod jednym sztandarem pana Rochefort i pana de Cassagnac, pana Naquet i pana de Larochefoucault. Nie stworzyła ta si-

ła stronnictwa jednolitego, zgoda, ale stworzyła koalicyę, bez wspólnego programu, zgoda i na to, ale ze wspólnym planem kampanii. I plan ten właśnie stwierdzać się zdaje obecność jakiegoś czynnika, który zapanować potrafił nad wciągniętemi do koalicyi partykularnymi interesami, dążnościami i ambicyami, i przywieść je zdołał do postawienia kwestyi nie między Rzpltą, a monarchią, albo cesarstwem albo dyktaturą militarną, albo komuną, ale między Rzpltą albo—czémkolwiekbądź. Rewizya, tak jak ją określił plan koalicyjny, będzie wielkiém loteryjném kołem, z którego wielki los padnie na tę, lub ową stronę, a gdziekolwiek padnie, grający zadowolonymi będą. Byle nie padł na Rzpltą. To jedno jest zastrzeżone. To, takie postawienie kwestyi stanowi nowe zjawisko w historyi nietylko 3-éj Rzpltéj, ale wszystkich porządków politycznych, które ją poprzedziły, i to domaga się wyjaśnienia, kto zdobyć się mógł na narzucenie takiego hasła sprzymierzeńcom, których sprzymierzenie się samo jest negacyą wszelkiéj wiary politycznéj? I kto mógł miéć interes w obmyśleniu takiego hasła? Przymierze to jest zapewne czasowe tylko. P. Rochefort przypuszcza niewątpliwie, iż pierwszém staraniem pana de Cassagnac, w razie gdyby wygrana przypadła, mu w udziale, było by zapędzenie jego, pana Rochefort, tam, gdzie pieprz rośnie. I nawzajem p. de Cassagnac domyśla się, iż w przypadku przechylenia się fortuny na stronę tego ideału politycznego, któremu hołduje pan Rochefort, znalazło by się dla niego, pana de Cassagnac, miejsce pod murem. Ale jeden i drugi przyjmują ryzyko. I wszyscy, ilu ich jest uczestników koalicyjnéj kampanii, przyjmują także ewentualność takich wstrząśnień, takich walk, takiéj politycznéj i społecznéj zawieruchy, w któréj nie już los téj lub owéj formy politycznéj, ale los kraju samego, jego stanowisko europejskie, całość jego granic, jego byt i jego przyszłość postawione być mogą na kartę. I to ich nie przestrasza. Chodzi im owszem o wywołanie takiéj zawieruchy. W rzeczywistości nawet nie chodzi im o nic innego. Rewizya jest tylko eufemizmem, pod którym kryje się cel rzeczywisty : wytworzenie zamętu, w którym rozprzęgną się wszystkie ogniwa polityczne i społeczne organizacyi krajowéj, z którego wyjdzie nie wiadomo co, ale w którym to, co jest, przepaść musi.

Jeżeli zaś zauważymy, że między tymi, którzy gotowi się okazują do podjęcia tego dzieła zniszczenia i do rzucenia siebie i ojczyzny swojéj w towarzyszące mu hazardy, obok pewnéj liczby warchołów, awanturników i szaleńców, jest także pewna i znaczniejsza liczba ludzi statecznego umysłu i niepodejrzanych patryotycznych uczuć, tedy musimy przyjść do wniosku, że plan tego ro-

dzaju nie wyszedł z ich własnego natchnienia; że narzucony im został, czy podszepnięty skądinąd; że czynną w całym tym zamachu jest jakaś ręka, którą kierują widoki i cele niezależne właśnie ani od patryotycznych względów, ani nawet od partykularnych interesów politycznych.

III.

Owóż zdaje się nam, żeśmy dostrzegli taką rękę i żeśmy ją widzieli przy robocie. Było to w dniu pamiętnego tryumfu osiągniętego w murach stołecznych przez kandydata powszechnego wstrętu nad niefortunnym swoim przeciwnikiem. Szli gromadą do urn, niosąc zwycięskie biuletyny i nucąc zwrotkę popularnej piosenki o czarnym koniu, wyborcy należący do najrozmaitszych kategoryi społecznych. Niebieskie bluzy ocierały się o czarne tużurki, jedwabne pomięte kaszkiety kłaniały się wygładzonym cylindrom, ogorzałe pracowite ręce przyjmowały uścisk glansowanych rękawiczek, ktoś jednak przywodził tym niespodzianie zszeregowanym hufcom, ktoś prowadził je do ataku, ktoś czuwał nad niemi, popychając opieszałych, nawracając dezerterów, zachęcając wszystkich gorącém słowem. Były to czarne sutanny.

Widzieliśmy to i skłaniamy się do przypuszczenia, żeśmy uchwycili, patrząc na to, tajemnicę tego dramatycznego *imbroglio*, tego kolosalnego *qui-pro-quo*, w którego śmiertelnym być może uścisku szamoce się dzisiejsza Francya. Wszystkie rozebrane tu przez nas przyczyny nieporozumienia, wywołanego między 3-ą Rzpltą a jéj dotychczasowymi zwolennikami i obrońcami, mogły odegrać pewną rolę w wytworzeniu obecnéj sytuacyi. Żadna z nich, ani téż wszystkie razem nie wystarczają dla jéj wytłómaczenia. Trzecia Rzplta byłaby się prawdopodobnie rozprawiła z generałem Boulanger, tak jak rozprawiła się z hr. de Chambord i z hr. Paryża. I nie byłaby się nigdy podobno doczekała koalicyi tych kolejno pokonywanych przeciwników, gdyby koalicyjne hasło nie było wyszło z innego obozu, dość przestronnego dla pomieszczenia ich wszystkich.

Miała 3-a Rzplta dwóch tylko dotąd mężów stanu godnych tego imienia. Jeden wypowiedział sławną formułę: „*le cléricalisme voilà l'ennemi*"; drugi próbował zastosować tę formułę. Jeden umarł, drugi nie sprostał podjętemu zadaniu i cofnął się przed jego wykonaniem. W przekonaniu naszém, widowisko, któremu przyglądamy się obecnie, jest rezultatem tego odstępstwa od programu, który był może niewykonalny, a był może i niegodziwy, nie chcemy tego rozbierać tutaj, ale z którego przeprowadzeniem związany został od pierwszéj chwili *los* instytucyi republikańskich. „Rzeczpospolita bę-

dzie konserwatywną, albo jéj nie będzie", powiedział ktoś inny. Od lat już kilku Rzplta posunęła konserwatyzm aż do chińszczyzny,—i naraziła się na walkę z rewolucyonistami, którzy nic z tego, co jest, zakonserwować nie chcą. Boć o obronie interesów zachowawczych nie ma i nie może zapewne być mowy w obozie, w którym réj wodzą byli podpalacze gmachów paryskich. Nie ma zresztą przeciwko komu bronić tych interesów. Nie wiadomo nam o żadnym z tych interesów, który by dotychczas na szwank wystawiony albo nawet zagrożony został przez rządy republikańskie. Wiadomo zaś nam o sporéj liczbie takich, którym zagraża obecny szturm przypuszczony do samych podwalin, na których od lat stu dźwigały się w tym kraju kolejne konstytucye, do parlamentarnéj organizacyi np., o któréj zniesieniu słyszymy. „Rzeczpospolita zabije klerykalizm, albo zabita będzie przezeń", powiedział Gambetta i historya stwierdzi podobno trafność tego dylematu, bo w tym dylemacie zawartą została treść jedynego rzeczywistego antagonizmu, którego przejednanie pozostało niemożliwém w granicach teraźniejszego bytu politycznego Francyi republikańskiéj.

Na czém jednak polega ten antagonizm, skoro faktycznie, jak to zaznaczyliśmy wyżéj, 3-a Rzplta wyrzekła się walki z kościołem, a nawet w podjętéj walce ze zgromadzeniami zakonnemi nie dotrzymała pola, podpisała rozejm, prawie kapitulacyę? Odpowiedź jest łatwa. Walka z kościołem nie weszła nigdy na seryo do programu republikańskiego, ani nawet walka z klerem świeckim, czy zakonnym. Z takim reprezentantem kleru zakonnego jak ks. Didon np., pogodzić się mogła łatwo 3-a Rzplta, jak téż on sam bez trudności z nią się pogodził. Natomiast narzuciły się jéj od pierwszéj chwili nieuniknione zapasy z duchem przeciwnym stanowczo i radykalnie jéj własnemu duchowi, bo zmierzającym do podporządkowania interesów państwowych innemu niezależnemu od nich interesowi, uznanemu nie za równouprawniony, ale za wyższy, za powołany do pierwszeństwa przed wszystkimi innymi. Takiego stosunku z kościołem i klerem przyjąć nie mogła Rzeczpospolita, i wystąpiła od pierwszéj chwili przeciwko niemu, nie literą żadnego rewolucyjnego prawa, nie tekstem żadnego dekretu proskrypcyjnego, ale istotą samą ustanowionego przez się porządku, opartego właśnie na autonomii życia politycznego, na wyzwoleniu wewnętrznéj i zewnętrznéj polityki kraju z wszelkich więzów, nie mających styczności z jéj naturalnemi celami. Nie zerwała ona tedy konkordatu, ale zerwała z tradycyą stawiającą gminę w zależności od parafii, prefekturę w zależności od stolicy biskupiéj. Nie odwołała swojego posła z Rzymu, ale uchyliła się od wszelkiéj interwencyi

w sprawach rzymskich. I to wystarczyło aby obrócić przeciwko niéj i uzbroić raz na zawsze tę siłę, któréj energiczna akcya nie może, przy bliższém badaniu rzeczy, być pominięta w obecném starciu. Ona jest czynnikiem tłómaczącym zagadkowy ów eklektyzm w narzędziach, środkach i programie wspólnego działania, którym popisuje się koalicya opozycyjna; ona jest kitem spajającym żywioły składowe téj dziwnéj armii; ona jéj dostarcza kadrów, haseł i punktów zbornych—może nawet czegoś więcéj. Może tu, a nie gdzieindziéj szukać trzeba odpowiedzi na tyle razy stawiane pytanie: „*d'où vient l'argent*“?

Jak pojąć jednak posłuszeństwo takich ludzi, jak pp. Rochefort, lub Naquet dla haseł wychodzących z podobnego źródła? A jak pojąć socyalistyczne, dziś zaniechane po części, usiłowania takich ludzi, jak p. de Mun? Patrzyliśmy jednak na nie. Jedni i drudzy zresztą z dzisiejszych sojuszników w walce z Rzpltą nie wytworzyli tego prądu, którym kierować się zdają, ale który właściwie nimi kieruje, unosząc ich ku nieznanym dla nich samych widnokręgom. Wytworzył się ten prąd po za nimi w głębokich warstwach społecznych, śród mas, przed któremi trzecia Rzplta nie umiała postawić drogoskazu, i które stropione, zbłąkane i rozbałamucone, gotowe się stały do pójścia za byle kim i za byle czém. Znalazł się gotowy, choć utajony przewodnik i pchnął je na pochyłość, któréj mety ostatecznéj nikt w obecnéj chwili przewidzieć nie jest w stanie.

X.

Paryż, 1 wrześnla 1889 r.





ŻYCIE W GŁĘBIACH OCEANÓW

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ.

(Dokończenie).

Gąbki stanowią najniższą grupę zwierząt jamochłonnych. Z innych gromad tego typu: polipów, polipopławów, meduz, rurkopławów i żebropławów, znajdujemy także przedstawicieli w faunie głębinowéj. Wszystkie te gromady noszą ogólną nazwę żgawców (*Cnidaria*) w przeciwstawieniu do gąbek. Nazwa ta pochodzi ztąd, iż w komórkach ich skóry (a niekiedy także warstwy, wyściełającéj jamę pokarmową) znajdują się t. z. żgawki, czyli pęcherzyki, zawierające ostrą, parzącą ciecz i długą, skręconą nitkę, która przy wyrzucaniu pęcherzyka ze skóry wyciąga się i zaostrzonym końcem godzi w ciało nieprzyjaciela lub zdobyczy. Tym sposobem żgawce posiadają na skórze obronne pęcherzyki, niby pociski, któremi rzucają na nieprzyjaciół i zadają im bardzo bolesne rany, albowiem jadowity płyn przedostaje się z pęcherzyka do ranki. Polipy odznaczają się tém, że mają ciało wydłużone w postaci woreczka i opatrzone na wierzchołku otworem gębowym, który jest otoczony dokoła licznemi, mniéj lub więcéj wydłużonemi wyrostkami, t. zw. ramionami; jama żołądkowa podzielona jest promienistemi przegródkami na pewną ilość kieszonek czyli komór. Jedne z polipów żyją pojedyńczo i nie wytwarzają żadnych wapiennych szkieletów, są to t. z. ukwiały, inne przedstawiają kolonie, niekiedy bardzo złożone i wydzielają wapienny szkielet, t. z. koralowinę— są to polipy koralowe.

Ukwiały żyją w wielkiéj ilości w płytkich miejscowościach, ale niektóre gatunki przebywają téż w znacznych głębiach. Zwierzęta te odznaczają się przecudnemi barwami ciała: modro-zielone-

mi, purpurowemi, niebieskiemi, złocisto-żółtemi; niektóre zaś gatunki mienią się wszystkiemi barwami tęczy. Gdy różnobarwne gatunki żyją obok siebie, przyczepione, jak zwykle, podstawami do jakiejbądź skały podwodnéj, sprawiają wtedy wrażenie przecudnego klombu żywych kwiatów. Ukwiały głębinowe odznaczają się kilku nader interesującemi właściwościami; tak np. u niektórych gatunków ramiona okołogębowe są mniéj lub więcéj szczątkowe i zanikłe (np. u *Sicyonis*, *Liponema*) oraz opatrzone obszernemi otworkami, przez które woda z pożywnemi częściami pokarmowemi wpada do jamy żołądkowéj. Otóż właściwość ta jest z tego względu interesująca, iż gąbki są również opatrzone na skórze licznemi otworkami, przez które przenika do wnętrza ich ciała woda morska z pożywnemi częściami, by następnie przez otwór gębowo-odchodowy zostać znów wydaloną wraz z resztkami niestrawionemi. W ten sposób te głębinowe formy polipów stanowią znakomite przejście od polipów do gąbek, a wiadomo, iż wszelkie formy przejściowe mają wielką doniosłość naukową. Niektóre ukwiały, np. *Antemorphe elegans*, żyją w głębokości nawet 2,900 sążni. Polipy koralowe, żyjące kolonialnie i wytwarzające wyspy i rafy koralowe, nie należą w ogóle do fauny głębinowej, przebywają bowiem tylko w głębokości dwudziestu dwóch sążni pod powierzchnią morza. Gatunki głębinowych korali są po większéj części nie kolonialne; lecz pojedyńczo żyjące, np. *Bathyactis symmetrica*, mogą zamieszkiwać okolice, na głębokości aż 2900 sążni! Koral czerwony czyli szlachetny przebywa w głębokości 50 do 60, rzadko 100 sążni. Z rodziny t. zw. gorgonij (*Gorgonidae*) oraz piórek morskich (*Pennatulidae*) znaleziono pośród fauny głębinowéj liczne bardzo i interesujące formy. Tak np. *Pavonaria*, błyszcząca jasno fioletowém światłem fosforycznéni i przedstawiająca oś, na któréj siedzą oddzielne osobniki na kształt promyków pióra, jest jedną z najpiękniejszych ozdób dna morskiego.

Gromada t. z. polipopławów (*Hydroidea*) odznacza się tém, że w rozwoju należących do niéj gatunków ma miejsce przemiana pokoleń czyli t. zw. metageneza. Polega ona na tém, że dzieci nie są tu podobne do rodziców, lecz różnią się od nich dosyć znacznie, a dopiéro wnuki lub prawnuki powtarzają typ dziadowski, przyczém jedne pokolenia rozmnażają się drogą płciową, tj. przez jajka i ciałka nasienne, inne zaś sposobem bezpłciowym, tj. przez pączkowanie. Osobniki płciowe, czyli meduzy, mają postać spłaszczonego nieco dzwonka i opatrzone są u spodu otworem gębowym, oraz długiemi wyrostkami nitkowatemi, czyli ramionami na brzegu dzwonka. Meduza składa zapłodnione jaja, a z nich

rozwija się istota woreczkowata, przyczepiająca się do jakiegobądź przedmiotu podwodnego swą podstawą, i opatrzona na wierzchołku otworem gębowo-odchodowym i licznemi dokoła niego ramionami. Ustrój ten zowie się polipem i wytwarza przez pączkowanie liczne inne polipy, tak, że może powstać cała kolonia woreczkowatych polipów spoczywających na wspólnych osiach, niby krzew rozgałęziony. Ale oto na tych koloniach polipów tworzą się w różnych miejscach małe pączki kuliste, które odrywają się od kolonii i pływają swobodnie w morzu, przeobrażając się znów w meduzy, które podobnie jak pierwsze pokolenie składają znów jajka i t. d. Polipopławy są, tak pod względem piękności i jaskrawości barw, jako też delikatności kształtów, jednemi z najcudowniejszych istot morskich, ale zamieszkują po większéj części niewielkie głębokości. Są jednak pomiędzy niemi i gatunki głębinowe np. *Monocaulus imperator*, który żyje w głębokości aż 2,900 sążni i odznacza się olbrzymiemi stosunkowo rozmiarami. Gdy bowiem inne polipy pokrewnych polipopławów dosięgają zaledwie kilku cali długości, gatunek ten, pojedyńczo żyjący, ma ciało aż dwa przeszło metry długie.

Meduzy wyższe czyli właściwe (*Acalephae*) są zazwyczaj większeo d meduz polipopławów i albo rozmnażają się tylko drogą płciową tj. bez przemiany pokoleń, lub téż jeśli metageneza istnieje, jedno pokolenie (meduz) mnoży się przez jajka, drugie (polipów) przez dzielenie, a mianowicie: polip rozpada się przez szereg przewężeń na cały łańcuch meduzowatych tworów, które się jeden za drugim odrywają i pływają jako swobodne meduzy. Są to przeważnie istoty pelagiczne; wielkiemi nieraz stadami płyną po powierzchni morza, powodując nocą przecudne zjawisko świecenia fosforycznego (np. gatunek *Pelagia noctiluca*). Dzięki wyprawie na okręcie „Challenger“, znaleziono jednak aż kilkanaście gatunków głębinowych, żyjących nawet w głębokości 1100 sążni.

Rurkopławy (*Siphonophora*) tworzą na wspólnym pniu kolonie, swobodnie w morzu pływające i złożone z różnokształtnych osobników, z których jedne służą do odżywiania kolonii, inne do ruchu i t. d. Piękne te zwierzęta, lśniące przecudnemi barwami i fantastyczne mające kształty należą głównie do fauny pelagicznéj. Prof. Studer z Bernu podczas wyprawy na włoskim okręcie „Vettor Pisani“ znalazł kilkanaście form głębinowych, a późniéj Chun i inni złowili więcéj jeszcze rurkopławów, żyjących w wielkich głębiach, bo aż niekiedy 2,500 sążni (np. gatunek *Discalia medusina*), pod powierzchnią morza. Co się tyczy wreszcie żebropławów (*Ctenophora*), podczas żadnéj z większych wypraw nie udało się

znaleść tych jamochłonnych na wielkich głębokościach; tylko prof. Chun złowił w morzu Śródziemném znaną, wspaniałą formę t. zw. „Pas Venery“ (*Cestum Veneris*) w głębokości 656 sążni.

Zobaczymy teraz, jacy przedstawiciele typu szkarłupni (*Echinodermata*) należą do fauny głębinowéj. Szkarłupnie posiadają, podobnie jak jamochłonne, promienistą budowę ciała, czyli, jak jamochłonne, promienistą symetryę, ale są już znacznie wyższéj organizacyi. W skórze ich mieszczą się zwykle wapienne blaszki szkieletu, a na powierzchni ciała—igły i kolce. Mają już kanał pokarmowy o dwóch otworach: gębowym i odbytowym, układ krążenia, oddzielony od systemu trawienia, układ nerwowy znacznie lepiéj rozwinięty niż u jamochłonnych, a najbardziéj charakterystyczną cechę ich organizacyi stanowi t. zw. układ wodny. A mianowicie pośrodku ciała znajduje się rurkowaty pierścień, komunikujący ze światem zewnętrznym za pośrednictwem specyalnego kanału, zwanego kamienistym. Z pierścienia rozchodzą się promienisto długie kanały rurkowate, prowadzące do wszystkich promieni ciała, gdzie dają one małe gałązki do licznych kurczliwych organów ruchu, t. zw. nóżek ambulakralnych, które się mogą wypuklać, wydłużać, lub téż kurczyć i wciągać. Przez wyżéj wspomniany kanał kamienisty woda morska przenikać może do wnętrza układu wodnego, a stąd i do wnętrza owych nóżek, które się przez to właśnie silnie wydłużają; gdy woda z nich wychodzi, nóżki się skracają. Otóż te nóżki służą zwierzętom do ruchu; wydłużają się bowiem w pewnym kierunku, przyczepiają za pomocą ssawek, a następnie energicznie się kurcząc, pociągają ciało w tymże kierunku. Do szkarłupni zaliczamy: strzykwy czyli holoturye, jeże, gwiazdy morskie oraz lilie morskie. Strzykwy są to szkarłupnie mniéj lub więcéj wydłużone, robakowate, o symetryi promienistéj, niezupełnie wyraźnej, lecz przechodzącéj mniéj lub więcéj w dwuboczną (tj. taką, przy któréj można przeprowadzić przez ciało zwierzęcia jedną tylko płaszczyznę, dzielącą je na dwie symetryczne połowy, przyczém organy parzyste ułożone są w jednakowéj odległości od téj płaszczyzny na prawo i na lewo, nieparzyste zaś wypadają w téj płaszczyźnie). Strzykwy dzielono dotąd na dwa rzędy: beznożnych (*Apoda*), oraz nożnych (*Pedata*): dzięki wyprawie na okręcie „Challenger“, znaleziono w głębiach morza liczne nowe gatunki, tak różne od przedstawicieli obu powyższych rzędów, że Theél, który zajął się ich zbadaniem i opisem, uważał za konieczne utworzenie nowego, trzeciego rzędu: płaskonogów (*Elasipoda*), dla form należących głównie do fauny głębinowéj. Nóżki ambulakralne u osobników tego rzędu strzykw okazują skłonność do występowania

w określonych miejscach ciała i w określonéj liczbie, przez co nadają osobnikom tym podobieństwo do robaków obrączkowych. Jeże morskie (*Echinoidea*), posiadające kuliste, sercowate, a niekiedy przypłaszczone ciało, silnie rozwinięty, wapienny szkielet w skórze, oraz ruchome igły i kolce na powierzchni ciała, są również bogato reprezentowane pośród fauny największych głębi morskich; rodzaj *Pourtalesia* zamieszkuje nawet okolice 2,900 sążni głębokości mające! Bliższe zbadanie i opis jeży głębinowych nauka zawdzięcza dzielnemu zoologowi amerykańskiemu prof. Aleksandrowi Agassizowi, synowi znakomitego Ludwika. Według dotychczasowych badań, w głębokości od 2,500 do 3,000 sążni przebywa aż do dwudziestu sześciu gatunków jeży morskich. Nadzwyczajnie interesującym jest stosunek niektórych żyjących obecnie form głębinowych do kopalnych. Tak np. gatunki rodzaju *Salenia* pospolite są w pewnych pokładach formacyi kredowéj i jurajskiéj, i długo uważane były jako formy zaginione, aż wreszcie hrabia Pourtalès odkrył jeden żywy egzemplarz (gatunku *Salenia varispina*) przy pomocy dragi, w głębokości trzystu kilkudziesięciu sążni. Kilkakrotnie już zauważono nietylko co do szkarłupni, lecz i co do innych grup zwierzęcych, podobne fakty, a mianowicie: że w głębiach oceanów żyją dotąd liczne formy, które znajdują się téż w stanie kopalnym w dawniejszych formacyach geologicznych. Fakt ten można objaśnić w sposób następujący. Niegdyś gatunki te zamieszkiwały prawdopodobnie morza w większéj obfitości; nie znajdując jednak dla siebie odpowiednich warunków do życia, wymarły one, pozostawiając po sobie ślady kopalne; wszelako te osobniki, którym udało się spuścić do najgłębszych otchłani i do nich odpowiednio się przystosować, znalazły dla siebie korzystniejsze warunki, tu bowiem mniéj miały współzawodników i spokojniejszy mogły prowadzić żywot, a w skutek tego przechowały się aż do dziś dnia.

Zasługuje téż na uwagę fakt, że wapienny szkielet skórny jeży morskich jest coraz słabszy i mniéj w wapno obfitujący u gatunków, właściwych coraz większym głębiom. Pochodzi to zapewne poczęści stąd, iż w większych głębokościach woda jest uboższą w wapno, lecz prawdopodobniéj przyczyny tego szukać należy we wspomnianym wyżéj fakcie, iż organizmy, zamieszkujące otchłanie, wystawione są na mniejsze współzawodnictwo życiowe, a tém samém nie potrzebują silnych pancerzy obronnych, które korzystne są w zaciętéj walce o byt.

Gwiazdy morskie (*Asteroidea*), których ciało składa się z przypłaszczonéj tarczki, przedłużającéj się w pięć, dziesięć lub więcéj

promieni i które, jako istoty wyłącznie prawie mięsożerne, osiągnęły pod wielu względami znaczny stopień rozwoju—zamieszkują w wielkiéj ilości głębiny morza. Do gwiazd morskich należą t. z. wężowidła, o promieniach bardzo długich i cienkich, niekiedy rozgałęziających się, oraz właściwe gwiazdy, o promieniach grubszych i krótszych. Do fauny głębinowéj należą przedstawiciele i jednych i drugich, a ogólna liczba gatunków, właściwych téj faunie, wynosi dotąd według Teodora Lymana blisko sześćset. Jedne żyją w głębokości od stu pięćdziesięciu do pięciuset sążni, inne—w głębokości od pięciuset do tysiąca, a kilkadziesiąt aż gatunków właściwych jest głębiom, przewyższającym tysiąc i tysiąc kilkaset sążni. Niektóre gatunki, np. piękne wężowidło *Brisinga elegans*, wydają światło fosforyczne. Wreszcie jeszcze kilka słów o liliach morskich, czyli liliowcach (*Crinoidea*), które nazywają się tak dlatego, iż ciało ich w postaci wgłębionéj tarczki osadzone jest jak kwiat na łodyżce, a wiotkie członkowane i opatrzone bocznemi wyrostkami (*pinnulae*) promienie, czyli ramiona, mogą się składać wszystkie razem, na kształt zamykających się płatków korony kwiatowéj. Jedne gatunki—całe życie, inne zaś tylko w młodości przyczepione są swemi łodygami do podłoża.

Niektóre gatunki liliowców, występujące w wielkiéj ilości w znacznych głębokościach, odznaczają się piękną, świeżą, zieloną barwą, która, jak nam wiadomo, jest wogóle nadzwyczajnie rzadką u zwierząt tych okolic. Oto jak malowniczo opisuje H. Filhol świat zwierzęcy na dnie wschodniéj części oceanu Atlantyckiego w głębokości 820 sążni, pod 45° szerokości północnéj. „Osobniki liliowca *Pentacrinus Wyville Thompsoni* (barwy zielonéj) pokrywają w wielkiéj ilości dno i tworzą rodzaj łąki... Skaliste części gruntu pokryte są delikatnemi polipami, które przypominają rzeczywiste kwiaty z otwartemi kielichami... a pośród tego pełnego życia, lecz do gruntu przykutego świata, roją się nieznane gatunki skorupiaków. Liliowce, które oderwały się od łodyg... pływają w wodzie i chwytają swemi ramionami, niby kotwicami... gałązki wodorostków. Liliowce mają piękną barwę trawy, wodorosty barwę pomarańczową, polipy—ciemnofioletową, skorupiaki—perłowo białą“. Cóż za bogactwo życia, jakież prześliczne barw kontrasty! Wystaw sobie, czytelniku, tę dziwną zieloną łąkę, na któréj zamiast źdźbeł trawy znajdziesz owe poruszające ramionami liliowce, a zamiast kwiatów—żarłoczne ukwiały; po nad tą łąką, gdy spojrzysz w górę, nie zobaczysz błękitu niebios lub téż pędzonych wiatrem obłoków, lecz ciemną masę wody, po przez którą zaledwie przedziera się jaki promyk światła!“

Przedstawiciele różnych grup typu robaków (*Vermes*) nie są również obcy faunie głębinowéj. Robaki są zwierzętami o dwubocznéj symetryi ciała, a charakterystyczną ich właściwość stanowi to, że składają się (wyjąwszy niższe ich rzędy) z szeregu, jedna za drugą leżących, obrączek czyli t. z. metamer. Takie obrączki, stawy czyli metamery są widoczne nietylko z zewnątrz ciała tj. na skórze, ale co ważniejsza, organy wewnętrzne mają również metameryczną budowę. Jama ciała podzielona jest szeregiem przegródek na oddzielne komory, układ nerwowy, spoczywający na brzusznéj stronie ciała, składa się z szegu połączonych z sobą, jeden za drugim leżących, węzłów, kanał pokarmowy okazuje szereg przewężeń, odpowiadających również ilości metamer, w każdym oddziale jamy ciała mieści się para rurek wydzielających itd., jednėm słowem wszystkie prawie organy wewnętrzne okazują mniéj więcéj wyraźną segmentacyą, odpowiadającą pojedyńczym, wewnętrznym metamerom ciała. Znaczna większość robaków, zamieszkujących morza, należy do rzędu pierścienic (*Annelides*), u których segmentacya ciała najlepiéj jest wyrażona. Bardzo liczne gatunki pierścienic należą do fauny głębinowéj, a z tych większość buduje sobie rurki bądź z własnych rogowych lub wapiennych wydzielin, bądź téż z obcych ciał, jako to: ziaren piasku, odłamków muszli, igieł gąbek itd. Niektóre gatunki (należące do rodziny *Serpulidae* i *Terebellidae*) wydobyto za pomocą dragi z głębokości aż 3125 sążni, czyli blizko 6 kilometrów! Z wielu innych pokrewnych robakom grup a zwłaszcza: Myzostomów, ramienionogów (*Brachiopoda*) i mszywiołów (*Bryozoa*) ostatnie wyprawy naukowe znalazły także przedstawicieli pośród fauny głębinowéj, a wszędzie zauważono fakt ogólny, iż w coraz większych głębokościach, coraz mniéj przebywa gatunków. Ramienionogi znaleziono w największych otchłaniach, w jakich tylko dokonywano dragowania.

Zwierzęta stawonogie (*Arthropoda*) są bardzo obficie reprezentowane przez faunę głębinową, ale te tylko naturalnie ich gromady, które wogóle przystosowane są do życia w morzu. Ani więc wielonóżki (*Myriapoda*), ani téż owady (*Insecta*), jako oddychające sprężystem powietrzem, do fauny morskiéj nie należą, wyjąwszy kilka pelagicznych form tych ostatnich. Z pająków żyje tu tylko kilka gatunków, należących do małego rzędu, mającego nie zupełnie pewne miejsce w systemie zwierząt, a mianowicie do rzędu *Pycnogonidae* czyli krabo-pająków. Większą część ich ciała składają ogromne nogi, na których osadzony jest mały piersiogłów oraz szczątkowy odwłok; na owych długich, cienkich, szczudłowatych nogach (w liczbie czterech par) zwierzęta te majestatycznie posu-

wają swoje drobne ciało po dnie wielkich otchłani morskich; mam tu na myśli rodzaj *Colessendeis colossea*, którego nogi mają do dwóch blisko stóp długości, a całe ciało—tylko kilka milimetrów; gatunek ten znaleziony był w głębokości 500 do 1500 sążni; podczas wyprawy na „Talizmanie“ odkryto gatunek pokrewny, (*C. arcuata*) w głębokości 820 sążni.

Na szali życia oceanicznego, tak pośród stawonogów, jakotéż wszystkich zwierząt wogóle, zaważyły silnie skorupiaki czyli raki (*Crustacea*), albowiem znajdziesz je we wszystkich morzach świata, od bieguna do bieguna, od brzegów aż do największych otchłani. Z dwunastu różnych rzędów skorupiaków kilka tylko przyjęło poważny udział w wytworzeniu fauny głębionéj. Małżoraczki (*Ostracoda*), drobne skorupiaki, okryte dwuskorupową muszelką są liczniejsze w płytkich wodach, odwiédzają jednak i znaczne głębie; osiem gatunków znaleziono podczas wyprawy „Challengera“ w głębokości 2500 sążni. Raczki wiosłonogie (*Copepoda*), zamieszkujące w olbrzymich ilościach powierzchnią morza, są bardzo rzadkie w otchłaniach. Z raków obunogich (*Amphipoda*) nie wielu znajdujemy mieszkańców głębinowych, za to bogato jest reprezentowana fauna otchłani morskich przez raczki równonogie (*Isopoda*). Do téj ostatniéj grupy skorupiaków należą gatunki, wszystkim nam dobrze znane, a mianowicie stonogi, których pełno w piwnicach, ogrodach, wilgotnych mieszkaniach; w wodach słodkich żyją w ogromnych ilościach stonogi wodne, czyli ośliczki. Ale jeszcze więcéj tych skorupiaków przebywa w morzu, we wszystkich szerokościach, począwszy od wybrzeży, a kończąc na największych otchłaniach. Według Sarsa i Eversa Beddard, którzy opracowali skorupiaki równonogie, znalezione podczas wyprawy „Challengera“, aż 56 gatunków przy ogromnéj ilości osobników zamieszkuje głębiny morskie; z tych trzydzieści cztery gatunki są zupełnie ślepe. Olbrzymia stonoga głębinowa (*Bathynomus giganteus*), wydobyta przez Agassiza z głębokości 955 sążni, jest przeszło pół stopy długa.

Najliczniéj ze wszystkich reprezentowana jest w morzach grupa skorupiaków dziesięcionogów (*Decapoda*), których charakterystyczną cechę stanowi posiadanie na piersiogłowie dziesięciu nóg. I pomiędzy długo-odwłokowemi dziesięcionogami i krótkoodwłokowemi, czyli krabami, znajdujemy liczne bardzo gatunki, właściwe faunie głębinowéj. Jednym z najpiękniejszych rezultatów ekspedycyi „Challengera“ na polu karcynologii (nauki o skorupiakach) było odkrycie rodziny *Polychelidów*, zwanych inaczéj *Willemoëzyami*, na cześć znakomitego współuczestnika wyprawy „Challegera“:

Willemoës Suhma, który znalazł śmierć na oceanie. Skorupiaki te dosięgają bardzo znacznéj stosunkowo wielkości, a niektóre z nich są zadziwiająco przezroczyste; prócz tego wszystkie są ślepe. Ale zasługuje na uwagę fakt, iż Willemoëzye, jako zarodki w jajku, mają oczy zupełnie normalnie rozwinięte; a więc w tym wypadku utrata wzroku następuje za każdym razem w ciągu indywidualnego życia, jak to ma téż miejsce u niektórych innych zwierząt, np. u ślepych ryb jaskiń mamutowych. Liczne gatunki dziesięcionogów odznaczają się niezwykle długiemi i wiotkiemi kończynami, oraz rożkami. Tak np. w rodzaju *Nematocarcinus*, rożki przewyższają trzy do czterech razy długość ciała, kończyny są również dłuższe niż ciało, końce zaś nóg uzbrojone są w pęczki włosków delikatnych. W ten sposób zwierzę, stojąc na gruncie, ogarnia swemi kończynami znaczną powierzchnię, na którą rozchodzi się ciężar ciała; gdy więc grunt przedstawia miękki muł, zwierzę z daleko mniejszém niebezpieczeństwem ugrząźnięcia może biegać po takowym. Prócz tego olbrzymiéj długości rożki, czyli wąsy, ostrzegają zwierzę przed nieprzyjaciołmi na znacznéj stosunkowo odległości, dzięki czemu znaleźć ono może czas do bezpiecznego ukrycia się. Za pomocą tych długich wąsów zwierzęta poznają łatwiéj otaczające je przedmioty, co im wynagradza brak oczu i światła w otchłaniach; dzięki tym organom mogą one wsuwać się pod skały i w szczeliny, badając po omacku ich zagłębienia. Znaczenie wąsów, jako organów dotyku, tak jest wielkie, że spotykamy często u skorupiaków głębinowych inne części ciała, przybierające formę tych dodatków. Najwybitniejszy tego przykład—powiada Filhol—znajdujemy u pewnego rodzaju krewetki, złowionéj z pokładu „Talizmana“ w głębokości 1900 metrów.“ U raka tego (*Hapalopoda investigator*) wąsy są półtora raza dłuższe od ciała, a tylne pary nóg piersiogłowu są także bardzo długie i zakończone, każda, szeregiem drobnych członeczków, zupełnie przypominających wąsy. Do niezmiernie ciekawych raków dziesięcionogich należy t. z. pagur czyli pustelnik głębinowy (*Pagurus abyssorum*). Pustelniki posiadają bardzo miękki odwłok; dlatego też osiedlają się w jakiejbądź muszli, opuszczonej przez mięczaki i tym sposobem zabezpieczają miękkie swe ciało; na muszli tej sadowi się zwykle polip z grupy ukwiałów, a ta spółka raka z polipem przynosi korzyść obydwu wspólnikom; pustelnik korzysta z tego, iż ukwiał rzuca na nieprzyjaciół żgawki czyli pęcherzyki parzące i tym sposobem nie dozwala zbliżać się ani do siebie, ani do pustelnika innym skorupiakom lub rybom, które obydwóch wspólników chętnieby rozszarpały i spożyły; ukwiał znów tę osiąga korzyść, iż rak przenosi go z miejsca na miejsce, a mącąc

muł, przysparza polipowi pożywienia. Otóż ten sam stosunek, jaki istnieje pomiędzy polipem i rakiem w płytkich okolicach morza, ma też miejsce i w znacznych głębokościach. Gdy pustelnik podrasta, a stara muszla jest już dlań zaciasną, opuszcza ją i wyszukuje sobie nowéj, większéj. Ale w wielkich głębiach o muszle nie tak łatwo, wskutek tego więc pagury głębinowe przystosowały się poczęści do życia swobodnego, albo też nauczyły się budować sobie sztuczne pomieszczenia w postaci prostych rurek z piasku (np. gatunek *Pylocheles Agassizi*); pewien gatunek pustelników t. z. *Xylopagurus rectus*, żyjący w głębokości około 400 sążni, zamieszkuje rurki w drzewie, lub puste części łodyg bambusowych. Jest to ciekawy przykład zmiany instynktu, wskutek przystosowania do nowych warunków. Z najliczniejszéj rodziny raków dziesięcionogich, a mianowicie z krótkoodwłokowych krabów, kilka tylko zaledwie gatunków właściwych jest faunie otchłani; w głębokości od 1000 do 2000 sążni znaleziono („Challenger“) dwa tylko gatunki.

Mięczaki (*Mollusca*), których ciało, pozbawione wszelkiéj segmentacyi, okryte jest po większéj części muszlą wapienną, należą do typu, najsłabiéj reprezentowanego przez faunę głębinową. Co się tyczy dwuskorupowych mięczaków, czyli małżów (*Lamellibranchiata*), to z badań Edgara A. Smitha, który opracował odnośny materyał, zebrany podczas wyprawy „Challengera“, wynika, iż w głębokości 2000 sążni nie znajduje się żadna prawie forma, która by nie żyła również w głębokości dwustu lub mniéj jeszcze sążni. Nie ma więc tu specyalnych, wyłącznych form głębinowych, jakieśmy widzieli w innych grupach zwierząt; ale wprost tylko gatunki, przebywające w płytszych okolicach mogą czasowo spuszczać się do głębszych miejscowości. Przyczyna owego braku lub ubóstwa specyalnéj fauny głębinowéj mięczaków polega zapewne na tém, iż woda otchłani jest bardzo uboga w wapno, niezbędne tym zwierzętom do budowy skorupy.

To samo mniéj więcéj co małżów, tyczy się także jednoskorupowych mięczaków—brzuchonogów (*Gastropoda*). Przedstawiciele kilku rodzin, żyjący w otchłaniach, posiadają skorupy czyli muszle drobne, pozbawione wszelkich wyrostków, delikatne i bezbarwne. Co do skrzydłonogów (*Pteropoda*), owych drobnych mięczaków, pływających olbrzymiemi stadami na lub blizko powierzchni morza i służących za pokarm większym zwierzętom np. wielorybom—nie znaleziono dotąd żywych ich przedstawicieli w otchłaniach, natomiast wydobywano za pomocą dragi liczne szczątki delikatnych ich skorupek, które w pewnych okolicach tworzą olbrzymie nagromadzenia na dnie morskiem (t. z. przez naturalistów nie-

mieckich *Pteropodenschlick*), pomieszane najczęściéj z szczątkami otwornic (*Globigerinenschlick*). Wreszcie słów kilka o głowonogach (*Cephalopoda*), owéj najwyżéj uorganizowanéj grupie mięczaków. Głowonogi, odznaczające się podłużném, owalném ciałem, wielką głową, opatrzoną parą dużych oczu i dokoła otworu gębowego 8 lub 10 długiemi, fantastycznie nieraz wyglądającemi ramionami, należą do najbardziéj interesujących istot morskich. Te to właśnie zwierzęta opisał tak malowniczo, jako straszne potwory morskie, Wiktor Hugo (1) w „Pracownikach morza“. Głowonogi żyją wogóle w miejscowościach niezbyt głębokich. Ale wielce jest prawdopodobném, że niektóre ich gatunki, a mianowicie odznaczające się potężnemi rozmiarami ciała, przebywają głównie w otchłaniach morskich i tylko przypadkowo zbliżają się niekiedy ku powierzchni; tylko bowiem w takim razie moglibyśmy zrozumiéć, dlaczego nadzwyczajnie rzadko spotkać można w morzu te olbrzymie głowonogi. Wiadomo obecnie na zasadzie badań Verrila, że niezmiernie rzadki gatunek *Architeuthis princeps* ma aż do dwunastu metrów długości (włącznie z ramionami)! Quoy i Gaimard podczas słynnéj podróży na fregacie francuskiéj „*Astrolabe*“ złowili w oceanie Atlantyckim w pobliżu równika szczątki głowonoga, który według obliczenia musiał ważyć co najmniéj 50 kiligramów, a w r. 1861 załoga parowca „Alekto“ złowiła głowonoga do sześciu metrów długiego (nie licząc ramion), którego waga obliczoną została na 2000 kilogramów, jakkolwiek zdaje się, że się w tym względzie przerachowano. Takie to potwory zamieszkują prawdopodobnie głębie morza i przypadkowo tylko wynurzają się ku powierzchni. Ich znaczne rozmiary nie pozwalają bezwątpienia na to, by je dragami można było łowić. Bądź jak bądź kwestya, gdzie przebywają te wielkie mięczaki, jest dotąd jeszcze nierozwiązana i stanowi otwarte pytanie dla uczestników nowych ekspedycyi naukowych. W największéj głębi (2949 sążni) złowiono dotąd („Challenger“) gatunek głowonoga: *Chiroteuthis lacertosa.*

Z nie obszernéj, lecz nadzwyczajnie ważnéj pod względem naukowym grupy zwierząt, zwanych osłonicami (*Tunicata*), znamy również przedstawicieli, właściwych faunie głębin. Osłonice, tak nazwane dla tego, że ciało ich jest osłonięte galaretowatą, lub skórzastą opończą, stanowią zwyrodniałe kręgowce. Dzięki świetnym odkryciom embryologicznym ostatnich czasów, przekonano się, iż

(1) Niektórzy pisarze francuscy nazywają niewłaściwie głowonogi polipami. Naukowa nazwa „polip“ stosuje się bowiem tylko do pewnéj postaci zwierząt jamochłonnych, o któréj wyżéj była mowa.

zwierzęta te w wieku młodocianym posiadają wszystkie najbardziéj charakterystyczne cechy kręgowców: zasadniczą część szkieletu, t. zw. strunę grzbietową (*chorda dorsalis*), rurkę nerwową (tj. początek mózgu i mlécza pacierzowego), wysoko rozwinięte zmysły i t. d.; późniéj atoli zwierzę przyczépia się nieruchomo do jakiego bądź przedmiotu podwodnego i ulega zwyrodnieniu, tracąc strunę grzbietową, większą część układu nerwowego; oraz zmysły i przekształcając się w niedołężną istotę o znacznie uproszczonéj organizacyi. Z kilku rodzin osłonic, w otchłaniach morskich przebywają tylko przedstawiciele rodziny żachw (*Ascidiae*). Głębinowe ich formy, wydobyte z odległości 2,900 sążni od powierzchni morza, należą do najpiękniejszych i najbardziéj interesujących. Gatunek *Hypobythius calycodes* posiada kształt wiotkiego puharu, osłonę jak szkło prawie przezroczystą i usianą prawidłowo ułożonemi, oraz silnie łamiącemi światło brodawkami. Gatunek ten wraz z wyżéj wspomnianym, pięknym polipem *Monocaulus imperator*, stanowią dwie najwspanialsze sztuki z całéj zdobyczy „Challengera".

Aby zakończyć niniejszy przegląd fauny głębinowéj, pozostaje nam jeszcze rozpatrzéć gromadę ryb. Już dawniejsi badacze, jak Rissio, R. T. Lowe (1847—60), J. Y. Johnson (1862—66) i inni zajmowali się badaniem ryb głębin morskich. Dzięki ich poszukiwaniom poznano aż trzydzieści gatunków ryb, zamieszkujących te ostatnie. Ale dopiéro wyprawy naukowe nowszych czasów pozwoliły ocenić należycie całe bogactwo i olbrzymią różnorodność form głębinowych téj grupy zwierząt. Sam „Challenger" dostarczył 177 gatunków, pomiędzy któremi 44 okazało się nowemi; „Talizman" dokonał również wielkich odkryć na polę ichtyologii, wydobywszy za pomocą dragi z otchłani morskich 4,000 osobników, należących do 140 gatunków! W niektórych miejscach dno morskie musi literalnie roić się rybami, albowiem Francuzom udawało się kilkakrotnie w ciągu jednego dnia złowić w pewnych okolicach przeszło tysiąc osobników ryb, należących do jednego gatunku, co stanowi liczbę bardzo poważną wobec tego, iż wogóle ryby trudno bardzo chwytać za pomocą sieci dragowych; nadzwyczajna ruchliwość i zwinność, siła, wielkość i niemała inteligencya pozwalają tym zwierzętom zręcznie wymijać sieci, wlokące się po dnie morskiém. W otchłaniach morskich przebywają nietylko formy ryb specyalnie głębinowe, ale i liczne inne, właściwe także płytkim okolicom, lecz odbywające wędrówki w głąb. Tak np. żarłacze są w stanie przepływać ogromne przestrzenie wodne w kierunku pionowym, jednym rzutem, bez wytchnienia, a według A. Agassiza włócznik (*Xiphias*), może bardzo szybko pogrążyć się na głębokość

500 do 1000 sążni, i to z taką siłą, iż mieczowate przedłużenie jego szczęki górnéj zagłębia się na całą długość w muł. Wiele gatunków ryb odbywa stałe, peryodyczne wędrówki w kierunku pionowym. Tak np. gatunki rodzaju *Scopelus* przebywają, zdaje się, dniem w znacznych głębokościach, a podczas spokojnych i ciemnych nocy udają się ku powierzchni. Inne znów gatunki ryb, żyjące w okolicach umiarkowanych, przy nastąpieniu chłodnéj pory roku udają się do głębszych warstw swego żywiołu. Jeszcze inne podczas tarła wypływają ku powierzchni morza, gdzie istnieją lepsze i odpowiedniejsze warunki dla rozwoju jaj. Tym sposobem jaja wielu form głębinowych rozwijają się na powierzchni wody; tutaj żyją pelagicznie przez pewien czas młode, z jaj się wylęgające, które niezadługo powracają znów do swych rodzinnych otchłani, by spędzić tam resztę żywota. Fakt to nadzwyczaj interesujący, a William Marshall bardzo trafnie twierdzi, że w fakcie tym przejawia się między innemi prawo biogenetyczne, według którego osobniki w swém życiu indywidualném powtarzają stadya rodowe. Ponieważ fauna głębinowa powstała w rodowym rozwoju z pelagicznéj, gatunki zatém głębinowe przedstawiają w najwcześniejszych stadyach swego osobnikowego rozwoju formy, pelagicznie żyjące.

Dziesięć głównie rodzin obecnie żyjących ryb dostarcza materyału faunie głębinowéj, a oprócz tego należy téż do niéj jeden gatunek żarłaczy, znaleziony w bliskości brzegów Japonii i przedstawiający cechy archaiczne, tj. właściwe dawniejszym rodzinom, które dotąd były znane tylko w stanie kopalnym. Gatunek ten (*Chlamydoselache anguinea*) posiada uzębienie, żywo przypominające zęby dawnych przodków żarłaczy z czasów dewońskich. Najniżéj uorganizowana ryba (lancetnik, pomrównica) nie żyje w otchłaniach, ryby kręgouste (*Cyclostomata*) są nader rzadkie, chrząstkowate stanowią tylko 4% ogólnéj sumy, a najwięcéj jest kościstych.

Ryby specyalnie głębinowe posiadają bardzo wiele charakterystycznych i swoistych cech w organizacyi swojéj, które stanowią przystosowanie do warunków ich środowiska.

Rozpatrzmy najprzód ubarwienie ryb otchłaniowych. Z góry już możnaby się spodziewać, że większość tych ryb, jako usuniętych z pod działania światła, posiadać powinna barwy ciemne, szare, brunatnawe. Z dotąd poznanych gatunków tylko 12% odznacza się takiemi barwami. Możnaby również przypuszczać na zasadzie tego, cośmy w początku pracy niniejszéj powiedzieli, że barwy ryb głębinowych powinny być dopełniające do zielonawego światła, panującego prawdopodobnie w otchłaniach—czyli czerwonawe; ale

otóż barwę taką posiada tylko 3,5% ryb. Największa zaś liczba tych zwierząt ma ubarwienie ciemnobrunatne do silnie czarnego. Barwa taka w zmroku otchłani morskich posiada także niewątpliwie znaczenie ochronne. Ryby plamiste lub prążkowane są stosunkowo rzadkie, a należy przypuszczać, że są one niedawnemi jeszcze potomkami gatunków pelagicznych. Ryby głębinowe są zwykle (wyjąwszy kilka wypadków) jednakowo ubarwione na górnéj i dolnéj powierzchni ciała, gdy tymczasem gatunki pelagiczne, lub blisko powierzchni żyjące, mają najczęściéj ciemniejsze ubarwienie na stronie grzbietowéj, jaśniéjsze zaś na spodniéj czyli brzusznéj, co stanowi doskonałe dla nich przystosowanie, albowiem ciemna barwa ich grzbietu, czyni je podobnemi do ciemnéj powierzchni morza, widzianéj z góry, a tém samém stają się one trudniéj dostrzegalne dla ptastwa morskiego. Jasna zaś barwa spodu zbliża je do jasnéj barwy powierzchni morza, widzianéj od dołu tj. z głębi wody, a tém samém umożliwia rybom tym ukrycie się przed wzrokiem drapieżnych ryb, czyhających na nie w głębszych warstwach wody.

Nadzwyczajnie interesującemi są u ryb głębinowych organy samoświecące. Te ostatnie znajdują się w ścisłym związku z t. zw. linią naboczną (*Seitenlinie*)—charakterystycznym organem ryb, który ma następujące położenie oraz budowę. Poniżéj gęby zaczyna się z każdéj strony kanał na skórze, ciągnący się w tył i łączący się z innym kanałem, otaczającym dokoła oko. Oba te koliste kanały (tj. kanał po prawéj i po lewéj stronie głowy) łączą się z sobą w tyle głowy i przechodzą w dwa długie, widzialne gołym okiem kanały, z których każdy ciągnie się z boku tułowia, aż do ogona. Kanały te, przedstawiające w największéj liczbie wypadków zamknięte rurki, opatrzone są jeszcze licznemi, w pewnych odstępach ułożonemi, pionowemi rureczkami, które są na wolnych (zewnętrznych) końcach otwarte, a przy podstawie zgrubiałe, w postaci banieczki, na któréj dnie mieszczą się komórki zmysłowe, opatrzone włoskami i połączone z włókienkami nerwowemi (na głowie włókienka te należą do nerwu trójdzielnego, *n. trigeminus*, we właściwéj zaś linii nabocznéj, do gałęzi nerwu błędnego, *n. vagus*); wnętrze rurek wypełnione jest specyalnym śluzowym płynem. Organ ten stanowi bardzo zagadkowy zmysł. Leydig nazwał go szóstym zmysłem, ale jakie wrażenia zwierzęta za pośrednictwem niego otrzymują — jest to dotąd nierozwiązane. Niektórzy przyrodnicy przypuszczali, że jest to modyfikacya zmysłu smaku lub węchu, inni sądzili, że to zmysł dotyku, jeszcze inni myśleli, że dzięki temu zmysłowi, ryba odczuwa wielkość ciśnienia zewnętrznego, a tém samém i głę-

bokość, na jakiéj w danéj chwili się znajduje i t. d.; ale wszystko to są hipotezy, a nic pewnego w tym względzie nie wiadomo. Otóż różne samoświecące punkta i plamki u ryb głębinowych znajdują się w związku z tą linią naboczną; u *Halosaurus* np. znajdujemy szereg samoświecących punktów, przypadających na linii nabocznéj, oraz na jéj rozgałęzieniach głowowych. W niektórych atoli razach organy samoświecące nie mają związku z linią naboczną; u *Centrophorus chalceus* świécą wielkie, zielone oczy, u *Bathypterois longipes*—długie, widłowato na końcach rozdwojone wyrostki głowowe, odgrywające zapewne rolę organów dotykowych i t. d.

Oczy ryb głębinowych bywają w różnym stopniu rozwinięte: to bywają wielkie i wyłupiaste, to drobne i głęboko osadzone; często jednak brak ich zupełnie. Oprócz oczu, ryby głębinowe posiadają pewne, szczególnego rodzaju przyrządy zmysłowe, zapewne dotykowe, które, podobnie jak wąsy u raków, pozwalają im oryentować się w zmroku otchłani morskich. Na szczególną uwagę zasługuje pod tym względem gatunek *Eustomias obscurus*, złowiony przez załogę „Talizmana“ w głębokości 1,500 sążni. U ryby téj pomiędzy gałęziami szczęki dolnéj wyrasta bardzo długa i cienka nić samoświecąca, opatrzona na wolnym końcu dwoma, jedno za drugiém ułożonemi, zgrubieniami, z których wierzchołkowe posiada jeszcze pewną ilość jakby włosków dotykowych, zakończonych guziczkami. Narzędziami temi ryby mogą sondować wszelkie szczeliny i zagłębienia, wyszukując sobie pożywienia.

Co się tyczy innych stron organizacyi, zauważymy, że ryby głębinowe mają blaszki skrzelowe krótsze, węższe i mniéj liczne, pęcherz pławny z silniejszym, regulującym aparatem mięśniowym, aniżeli gatunki pelagiczne. Większość ryb głębinowych jest bardzo żarłoczna; ich wielkie paszcze, straszne zęby, ogromne przełyki i żołądki pozwalają im prowadzić zbrodniczy żywot. Tkanki ryb tych są wogóle miękkie, kości ubogie w wapno i zawierające duże przestrzenie i jamistości, mięśnie słabe i nieco galaretowate. Ale takiemi wydają się te organy, gdy ryba zostaje wyciągniętą na powierzchnią wody; w otchłaniach, zaś przy wielkiem, panującém tam ciśnieniu, tkanki te posiadają niewątpliwie dostateczną moc i dosyć silnie są z sobą spojone. Ogólne kształty ciała ryb głębinowych bywają niekiedy bardzo fantastyczne: *Macrurus globiceps* (z głębokości 800—1,400) ma wielką owalną głowę, olbrzymie oko, a tułów wązki i wężowaty, *Melanocetus Johnstoni*—posiada wielką paszczę orazbrzuch w postaci ogromnego stosunkowo, wypukłego worka, a wreszcie nadzwyczajnie orginalnéj postaci ryba, zwana *Saccopharynx pelecanoides*—ma ciało długie i walcowate, jak wąż, a paszczę

olbrzymią i przypominającą dziób pelikana z jego wielkim skórzastym workiem dolnéj szczęki.

Oto zwięźle wyłożone rezultaty dotychczasowych zdobyczy na polu „baty-zoologii“, jak niektórzy nazywają naukę o faunie głębin morskich (*batys*—po grecku głęboki). Nauka ta powstała bardzo niedawno, prawie całkowicie rozwinęła się dopiéro za dni naszych, nie dziw więc, że tyle tu jeszcze braków, tyle domysłów i przypuszczeń. Życie w otchłaniach, wskutek nadspodziewanego swego bogactwa, tak silnie zainteresowało uczonych naszych czasów, że niewątpliwie niedługo przedsięwzięte zostaną nowe wyprawy, w celu dopełnienia i rozszerzenia rezultatów, osiągniętych dotychczas, oraz dorzucenia nowych faktów, dotyczących życia głębinowego.

Dr. Józef Nusbaum.





Z „WOJTKA SKIBY"

Z PIEŚNI DRUGIÉJ (1).

W szkole.

— — — — — — — — — —

A no, rzecz prosta! Gdy się już tak stało,
Że iść miał Wojtuś pomiędzy uczebne,
Więc zaopatrzył się w groszy niemało:
Surdut potrzebny i korty potrzebne;
„Czasy-ć dzisiejsze, prawda! mało chlebne,
Lecz jakoś pójdzie; człek uchowa bydlę,
Więc też", tak myślał, „to i owo zgrzebnę,
A i robota idzie, jak po mydle,
Powróci się ta strata na jastrzębiém skrzydle..."

Tylko z kupcami nie mógł przyjść do ładu,
Tu nie do gustu, tam znów trochę słono —
„A! panie kupiec, ino nie z pośladu,
Lecz coś lepszego; pogadałem z żoną,
I ona myśli, że się godzi pono
Wziąść w takim razie niby coś od święta;
Bo to mój chłopiec głowę ma uczoną,
Idzie we szkoły, pomiędzy panięta,
Sukmanka zawszeć nie jest podług tego cięta"...

A kupiec, gnąc się za czerwoną ławką,
Pięknéj wymowy sztukuje ostatki,
I swego ducha, co jest niby szafką
Od łokciowizny, otwiera szufladki,
Zachwala towar: „To nie żadne szmatki,
To sztof jak skóra; z Łęgu hrabia stary
Wziął sam dla syna z tego wej! w te kratki,
A zaś to ciemne wybrał ksiądz wikary,
Toć bierzcie, nie kosztuje was żadne talary"...

---

(1) Zob. „Ateneum" z. lipcowy str. 83—94.

„Lecz tak na d u b e l t niech téż kupiec rzeknie;
Łokieć pięć złotych, hm! to grosz jest duży,
A to nie grube, pewnie wnet przecieknie,
Jeśliby kiedy tak w czas jakiéj burzy—
I nitka rwie się i coś farba murzy,
Wyblaknie w słońcu... w palcach nie czuć tego—
Ej! panie kupiec, pewnieć nie posłuży
To nazbyt długo; ino kpy nie strzegą
Swéj pracy—ha! zhandluję się z waszym kolegą...“

I tak nareszcie, przeszedłszy z dziesięciu,
Wybrał kort niezły, w zielonkawe cętki—
„W tém, wiécie, Skiba, będzie mu, jak księciu,
A jak się świéci, a włos jaki miętki!!!.
No, i cóż, Wosiu? nie masz na to chętki?
Nie widzi ci się?“... „Dyć, że mi się widzi...“
„Ano to weźmiem... źle, jak człowiek prędki,
Lepiéj tak zwolna; targują się żydzi,
Więc każdy ma téż pieniądz i ze świata szydzi...“

I zapłaciwszy coś po złotych cztery
I groszy dziewięć za łokieć, pod pachy
Wziął m a t e r y j ą, aby świéże skwery
Miéć znów z krawcami. Toć nie żadne łachy,
Ino ubranie, że aż biją strachy
Na wsze sąsiady, ma być z tego kortu.
Wszystkie Marciny, Kuby, Jaśki, Wachy
Będą zazdrościć—ale daj ich czortu!—
Tak myśli i nareszcie zawinął do portu...

Stanął przed oknem, gdzie najświeższéj mody
Były e f f e k t y, znać dla „wyższych stanów“;
Wziął na odwagę, choć czuł, że mu wody
Ktoś niby krople sączy z tajnych dzbanów;
Wszędzie aż szkli się... zdjął czapkę z baranów,
Wszedł... „Pochwalony!“... „Co za czerń cygańska“,
Mruknie m i s t r z k r o j u... „my tylko dla panów...“
„Toć ja téż niby chciałbym tak od pańska,
Wej! synek w szkoły...“ „Idźcie! niech was mość szatańska...“

„Ha!... wiesz co, Wosiu? trza jeszcze sprobować—
Możeby tutaj... Iglikiewicz będzie
Dyć nie od tego... Jak mogłem zmiarkować,

To go z folwarku pisarz chwali wszędzie,
Że umie skrajać...“ „Witajcie... niech siędzie
Gospodarz trochę... ubranko?..“ „A juści..“
„Z tego tu niby? to w jakieś żołędzie,
Czy w jakieś groszki...“ „Niech téż majster spuści,
Człek w złoto nie opływa, w biédzie, jak w czeluści...“

„No, a powiedzcie, d o ś ć byście myśleli?“
„Toć niby Herszek, co mi wejl tę buchę
Robił przed laty—téż jest od niedzieli,
Na dzień powszedni lub na ciężką pluchę
Mam jeszcze w domu jakąś ci tam juchę,
Starą kireję....“ „Cóż mi tam do żyda!..“
„Nic.. tak się mówi...“ „Weźcie za pazuchę,
Więcéj robota, niż sam sztof...“ „Psia biéda!
Toć niby z najlepszego?!..“ „Zakpiła z was gnida....“

„I cóż tu czynić? Pewnieć, że nie zgorzéj
Zrobi i Herszek“... „Aj! jak się masz Bartek,
Widzę, spaniałeś... wszak się Iglik droży?..
Lepiéj u starych... To ten twój? jak chartek
Smagle ci rośnie... pokaż!.. z tych tu ćwiartek
Będą rękawy...“ „Ale téż tak fajnie,
A i na wyrost... wiesz, o kilka kwartek
Mléka-ci u mnie nie chodzi... zwyczajnie
We szkoły przecie idzie, a nie w żadne stajnie....“

Gdy się skończyły wszystkie tarapaty,
Herszek wyprężył całą moc swéj „sztuki“—
Wiedział, że Skiba nie był téż od straty,
Choć tak pracuje, jakby już na wnuki—
Wtedy mój Wojtuś wreszcie szedł w nauki;
Ojciec za rękę schwycił sam chłopczynę
I w gmach go powiódł, strojny w kręte łuki,
W gipsowe gzymsy, we figury sine,
I rzekł mu, wprowadziwszy: „Tu, złotko jedyne“...

Śmiechem młodego przyjął towarzysza
Chór małych paniąt... Gdy się lekcye poczną,
Gdy grzmi profesor: psyt! niech będzie cisza!
Jeszcze się wszystko zwraca w ławkę boczną,
Gdzie siedział Wojtek... Zrobiło się mroczno
W oczach malcowi i od razu cały

Spłonął jak burak; toć rzeczą widoczną,
Że to się z niego „te paniczki“ śmiały,
Aż świerszczki im jak krople w onych, „ślepkach“ drżały.

Cóż za dziwota? nowiutki mundurek
Jakoś nie bardzo przylegał do ciałka:
Wisiał po bokach nakształt onych skórek,
Które Jan święty, co gromił pyszałka,
Króla Heroda—zanim jeszcze śmiałka
Ściął miecz katowski—wokół biódr swych wieszał.
A takie dzieci zawszeć jak zapałka,
Łatwo się palą... Darmo się pocieszał
Mój Wojtuś, że się skończy: śmiech się z gwarem mieszał.

Przytém podbite miał ćwieczkami buty,
Bóg wie, na czyje przykrajane nogi,
Stąd malcy szepcą: „to jak koń podkuty“,
Ilekroć chłopak wszedł za szkolne progi.
Ojczysko myślał: dużyć kawał drogi,
Więc trzeba skorzni, niby nie ladaco;
I zima przyjdzie, mróz zawita srogi,
Włożyć wiechetek.... zresztą ludzie płacą—
Nikt darmo nic nie zrobi—trza téż wiedzieć, za co....

Prawda, do szkoły pewnie miał z pół mili
Lub może więcéj; anoć Bartosz biedny,
Więc na „p e n s y j e“ żadne się nie sili....
Matka co rano—chłopak nie wybredny
I biédy jeszcze zażyje nie jednéj—
Wetknie mu sera, ze trzy kromki chleba,
Czasem kiełbasy, smacznéj, „n i e o b r z e d n é j“,
Jak mówią ludzie, i jak tego trzeba,
Przeżegna go na drogę: „Biegaj w imię nieba“...

I Wojtuś śpieszy razem ze skowronkiem,
Szarym śpiewakiem, co nad gniazdkiem nuci
Z góry, w obłoczkach; razem z kraśném słonkiem,
Kiedy kraśniejszą jeszcze zorzę rzuci;
Razem z tą wierzbą, gdy się rankiem kłóci
Z dosłyszalnymi ledwie szepty wiewu,
Z tym swawolnikiem o miłośnéj chuci,
I—niby téż tak udaje, że z gniewu —
Rozkoszne roni łezki w takt ptasiego śpiewu.

I jemu nieraz poranek różowy,
Pełen melodyi i szeptów tajemnych,
Rozwiąże usta do dziwnéj rozmowy
Z szelestem trawy lub z dźwiękiem nadziemnych
Onych pieśniarzy, jak życie przyjemnych —
O śmiéchach wtedy zapomniał — jak życie,
Ach! bez téj troski i bez plam tych ciemnych:
„Kołysz się, trawko“! poszepnie coś skrycie,
Lub „kiedy ranne wstają“ utopi w błękicie...

Tak przejdzie lato... Zimą, kiedy spadną
Zaspy śnieżyste na uśpione łany;
Gdy nade drogą topole pobladną
I zżółkną one szmaragdów dywany,
Gdy zmilknie ptasząt chór, co był rozgrany
Niby tysiączne na niebie kapele,
Ojciec go nieraz bierze na „barany“
I na pół drogi, co się śniegiem ściele,
Poniesie, „by téż dziecku ulżyć małowiele“...

Czasem po szkole, gdy się niebo schmurzy,
Gdy się zbyt straszne sypią zawieruchy,
Trudno do domu wracać w takiéj burzy —
Jeszczeby zbłądził w wieczór ciemny, głuchy —
W czas ten przy „krzyżu“ nawet straszą duchy—
Więc na probostwo, jak się z bożym sługą
Umówił ojciec. Tu, między pastuchy,
W czeladnéj, łyknie łyżkę jednę, drugą,
A potém do owczarni, przespać nockę długą...

Staremu Skibie było coś markotnie,
Że synek w wérku; więc téż w pewnéj dobie
Tak do proboszcza: „Księżyczku! stokrotnie
Pan Bóg zapłaci i ja téż odrobię...
Aleć to jednak, umyśliłem sobie,
Niby w owczarni...“ „Wiecie, w Piśmie stoi,
Że i pan Jezus leżał także w żłobie,
Przytém ten wyziew niby piersi goi,
Doktory o tém piszą, i cóż wam się roi?...“

Nie będę zacnych czytelników nudził
Nazbyt szerokim rozwlekłym wywodem,
Jak się nad książką mój bohater trudził,

Walcząc w izdebce z półmrokiem i chłodem:
Kiedy sen spłynie słodkim, lepkim miodem
Na spracowane, wybiédzone kmiecie,
Gdy kury posną, naderszałe lodem,
Gdzieś na przypiecku; wtedy chłopskie dziecię
Zasnuwa się jak pająk w swéj nauki siecie...

Na stole kawał stłuczonéj skorupy,
A w niéj w okrasie barchanowy knotek
Miga, jak żywy, gdy w środek chałupy
Przemknie się czasem, snać w celu pustotek,
Mroźnawy wietrzyk; żeby, jak ów młotek,
Gdy chłop na „babce" w żniwa kosę klepie,
Prawie tak dzwonią: to nic! istny kotek,
Skuli się w kabłąk, lub jak ptak się strzepie
I pięścią patrz! rozkleja te „nieznośne ślepie".

To gramatyka, to miła algiebra
Nieraz do późnéj zajmują go nocy,
Aż krzyże wisną, aż go bolą żebra
Od wybiérania tych rajskich owocy;
Nieraz potrzeba „ducha" całéj mocy,
By z jakąś składni ukończyć zagadką,
Aż rozwiązanie, jako kula z procy,
Wystrzeli z głowy, co jest niby klatką
Przeróżnych ptaków „wiedzy" lub—starganą szmatką.

To znów z pomocą bakalarskich szczudeł
Pnie się, podrósłszy, na Parnasu szczyty,
Garstką z kastalskich czerpie napój źródeł,
Homerowymi olśnionych błękity;
Z Horacym stawia pomnik niespożyty,
Nad piramidy trwalszy i nad spiże,
Tylko lepczycą straszliwie owity,
Co go mądrości szkolnéj szczecią liże, —
Lub piersią wdycha wonie Wirgilego świéże.

Tak! co za zapach w onych pieśniach czysty!
Zazdrośćcie blasków tych starożytnikom!
Tutaj niezwykłe, patrzcie! aorysty,
Co się nie śniły żadnym prozaikom;
Tam znów dygamma bodaj eolikon,
Tu anakruzys, a tam dwa spondeje

Miast—Bóg wié, czego... W sporze z gramatyką
Tu zwrot się jakiś, niby satyr, śmieje —
Wyliczyć wszystkie cuda, próżne tu nadzieje!...

O pieśni dawne! o wspaniałe pieśni!
Dziś jeszcze kroczym śladem waszych wzorów,
Lecz bez téj śniedzi, bez grzybkowéj pleśni,
W którą was kryje mądrość profesorów!
Wy macie urok tych jasnych wieczorów,
Gdy nad krynicą tysiąc gwiazdek pała,
Lub blask południa, woń mirtowych borów
I kolor czysty ach! nagiego ciała
Dziewicy, co dopiéro z słodkich marzeń wstała...

Wy macie siłę onych wielkich męży —
Półbogów macie potężną wspaniałość,
Rykiem lwa grzmiącą w takt srebrnych oręży
Na przeniewierstwo i wroga zuchwałość;
Mądrość się kryje i rozumna dbałość
We waszém wnętrzu o skarby żywota;
Sentymentalna obcą wam ospałość,
Lecz jędrność jara, jak ta iskra złota,
Tu uczy: cnotą rozkosz a rozkoszą cnota!

Giętkie jesteście, jak ci zapaśnicy,
Co w świętych Delfach lub gajach Istmosu,
Z zapałem w piersi i z ogniem w źrenicy,
Którą rozpalił cud waszego głosu,
Czarują tłumy, zbite nakształt stosu,
Tęgością mięśni i zręcznymi członki.
I tłum, z szczęsnego zadowolon losu,
Co daje zdrową rozkosz bez osłonki,
W dłoń klaszcze, chwieje czoła, jak oliwne płonki.

Ileż barw tutaj! ileż we was życia!
Tam Zews grom rzuca; tu się Helios toczy
Na złotym wozie; z leśnego ukrycia,
Jakaś dryada wychyla tu oczy,
Tu się chór najad kąpie w wód przezroczy,
Tam z oczekiwań pobladła Selene;
Tu się Demeter skarży, tam ochoczy
Graniem swém leśną Pan wypełnia scenę;
Tam! patrzcie—ona wstaje, Anadyomene!...

O zbliż się do mnie w całym swym uroku,
Zbliż się o boska! ty, co z głębin morza
Wstajesz i w światła porannym potoku
Kąpiesz swe ciało i płoniesz, jak zorza.
O nieśmiertelna rozkoszą! o hoża
Swą dziewiczością wieczystą—rumieńcem,
Który nie gaśnie, choć się dotkniesz łoża:
O zbliż się! zbliż się! i swych ramion wieńcem
Przyciśnij mnie do piersi—jam dziś twoim jeńcem!...

Ale nie sądźcie, że i mój bohater
Marzył o cudu z srebrnych pian porodzie...
Nie! wówczas jeszcze ów miłosny krater,
Co młode serce rwie, pali i bodzie
Piekącą lawą, że tam już o wodzie
Ani pomyśléć—ratunek daremny!—
Nie miał w nim Etny. O głodzie i chłodzie,
O atomicznéj styczności wzajemnéj
Nie czytał Arystypa teoryi przyjemnéj...

Arystyp!... Boże!... lubię filozofy,
I te pieśniarze, co z babska nie płaczą,
Lecz z życia śliczne układają strofy,
Namiętne, zdrowe, wyblakłą rozpaczą
Nie zaprawione—bachantki, co skaczą,
Czcząc pijanego wpół Dyonizosa;
Strofy, co mlekiem i miodem nas raczą,
A tak się błyszczą, jak tysiączna rosa
Na polach, gdy się w słońce przystroją niebiosa...

Lecz może daję powód do obruszeń
Na tę „etykę materyalistyczną,
Która śliskością wężowych pokuszeń
Żądzę nam w łonie obudza dziedziczną,
Tę chuć zwierzęcą, hydrę stujęzyczną,
Wyciągającą lubieżne języki
Po onę słodycz, po tę krasę śliczną
Niedozwolonych owoców“, że krzyki
Tu płonne wszelkiéj „czystszéj, duchowéj“ etyki...

Mój Wojtuś nie był materyalistą...
Rósł, a z latami gdy i wiedza rosła,
Żądza mu duszę jęła kiełznać czystą,

Co marzeń cudnych czar za sobą niosła:
W łódź wchodził złotą, złote chwytał wiosła,
I tak szybował po bezmiernéj fali,
Olśnionéj blaskiem dziewiczego posła,
Co spłynął z nieba, co się słońcem pali
I nęci go za sobą wciąż daléj i daléj...

I wiatr się rusza i toń cała dźwięczy,
I brzmi powietrze i ziemia dokoła,
Że z niemi razem śpiéwa duch młodzieńczy,
Wpatrzon w oblicze jasnego anioła,
I zachwycony z głębi duszy woła:
„Posłańcze boży! promienisty Grachu
Z nieśmiertelności koroną u czoła!
Odurz mnie siłą, przepełną zapachu—
Tą siłą dumnéj skroni i tych ócz bez strachu!

O Winkelrydzie! o odważny Tellu!
Nad gór rodzimych niebotyczne wieże
Duch wasz, porwany wspaniałością celu,
Płomienne skrzydeł swych roztoczył pierze!
O ty posępnych cierpień bohaterze,
Wyrosły z wnętrza rozdartego ducha,
Anhelli! blady, jak śnieżyste leże
Onych skazańców, zrozpaczon, jak głucha
Wnętrz kopalń, gdzie młot tylko brzmi i szczęk łańcucha!"

To znów marmury dziejowego dłuta,
I niedościgłe twory wyobraźni,
Które tworzyła, nieraz jadem truta,
A jednak zdrowa—jadem łez i kaźni,
W całość się w bratniéj zléwały przyjaźni,
Owo z początku mglistą i niepewną,
Ale z dniem każdym patrzącą wyraźniéj
Natchnioną twarzą Chrystusa, pokrewną
Z niebieską tonią, słońca blaskami ulewną.

Patrzcie! wnet twarz się promieniąca chmurzy!
Patrzcie! wnet gibka ta się postać zgina
Pod ciężkiém jarzmem boleści w podróży
Za serc zdobyczą... Patrzajcie! godzina
Dla człowieczego już nadeszła Syna:
Jak chmur płachciska już się tłuszcza zbliża,

Nad ściek plugawsza, jadem złości sina —
Postać Judasza prowadzi ją ryża —
I krzyczy: „Hej! z zbrodniarzem do krzyża! do krzyża!...“

Kona Zbawiciel... Noc już dzień przyćmiewa;
Wieczorna gwiazda patrzy na konanie,
I Wojtuś patrzy... Z cedrowego drzewa
Spływa głos cichy, jak najcichsze granie:
„Wojciechu! słyszysz?...“ „Słyszę, Chryste Panie!“
„Widzisz tę gwiazdę na tém mglistém niebie?“
„Widzę!...“ „To prawda ma tak ciemne słanie;
Jak ja, idź za nią, o żebraczym chlebie;
Dla bliźnich żyj! cierp za nich! nie chciéj nic dla siebie!...“

Nic nie chciał Wojtuś dla siebie; tak za nic
Miał niby swoję osobę; dziwoty
Żadnéj w tém niéma, boć przecie od granic
Najpierwszych latek, aż do dziś, gdy złoty
Spłynął nań promień i brał go w swe sploty,
Uwite z wiedzy i marzeń, wokoło
Nikt jakoś w sobie nie uczuł ochoty,
By mu powiedziéć, że coś wart, że czoło
Powinien dumnie podnieść, spojrzéć w świat wesoło...

Miłość rodziców była tą miłością,
Jaką otacza suka swe szczenięta,
Jak szpik, co chłopskim właściwy jest kościom,
Silna, choć kryła ją cisza, poczęta
W trosk legowisku... Miłość owa, święta
W swojéj zwierzęcéj prostocie, powoli,
Jak ta pszenica ku ziemi nagięta,
Gdy grad ją zbije na przepulchnej roli,
Chyliła się w ten smutek, co do głębi boli.

Ojciec się starzał; przed rokiem mniéj więcéj
Miał nawet ciężki przypadek, co w łoże
Na kilka czasów go rzucił... „Tysięcy
Chciał się dorobić, niestworzenie boże,
Harał, jak bydlak, na kogo? czy może
Na tego synka? To jak wesz na szewku
Tak dmie się owo; toć mówią we dworze,
Że taki na nic; i u księdza w chlewku
Téż z łaski... no, a patrzta, w jakim przyodziewku...“

Był Wojtuś trochę obdarty. Od chwili,
Gdy stary krzyży nałamał w fabryce,
Robota nie szła, jak dawniéj... Mówili:
„Skiba kireję nosi nie na lice,
Jeno na ręby: oszczędza... Kłonicę
Pewnieby połknął, gdyby mógł, grasuje
Taka tam biéda... Ej! głupi rodzice,
Wszystko na tego k l o r y k a, a-ć czuje
To każdy, że to siebie i starych zmarnuje..."

„Pewnie, że mają racyą!" w przystępie
Żalu i troski, rzekł raz Bartosz żonie;
„Człek tutaj siedzi, jak dyabeł na kępie—
Boże mi przebacz! ale w każdéj stronie,
Gdzie ino spojrzéć, to ci nic!... Na łonie
To się chuchało, sądziło, pociechy
Dożyć się kiedyś... lepiéj, że utonie
Wszystko... trza skończyć... Bóg daruje grzechy—
A grzechem było piąć się—i ustaną śmiechy..."

Ale kobiecku żal się było rozstać
Z myślą, co w sercu wypieściła na dnie:
„Nie wiem-ci, za co Bóg-by miał nas chłostać?
Biéda bo biéda! jak komu wypadnie;
A że się ludzie tak jak koń na zadnie
Stawiają nogi i szydzą w swéj pysze —
Na świecie różnieć się dzieje: Któż zgadnie,
Co onych czeka?... toć to książka pisze:
Pocięte jutro żyto, co się dziś kołysze...

„Nie idzie dobrze... jesteś niby chory,
Ale jać jeszcze zdrowa, Bogu dzięki,
I krowyś jeszcze nie sprzedał z obory—
A zresztą człowiek stworzony na męki:
Będę harała... Każdy dąb ma sęki,
Nie dziw, że żywot téż-ci nie jest gładki
I że nie wszystko tak idzie od ręki:
Coś począł, dokończ; porzuć one gadki,
Pracujmy, aż ostatnie będą wisiéć szmatki...

„A przecie chłopak o nas nie zabaczy,
Gdy z bożą wolą dojdzie raz do chleba...
Wszak prawda, Wosiu?... Człowiek ci się raczy

Ową nadzieją, jak kawałkiem nieba,
Którego Bóg nam użyczy... nie trzeba
Znowu rozpaczać; toć garnki nie święci,
Mówi się, lepią; nic nie rodzi gleba,
Gdy nic nie robisz; gdy się człek pokręci,
Jak rośnie wtedy żyto, jakim kłosem nęci!.."

I tak harali... Ale jakoś trudno:
Wszystko im niby szło tak, jak z kamienia;
Chłopiec raz po raz miał koszulę brudną—
Jak się zdarzyło... Matka bez wytchnienia
W pracy za domem, więc względem odzienia
Niezawsze mogła zdążyć na godzinę:
Przecież u chłopów nikt się nie rozlenia,
To też nie były w tém winy matczyne,
Że Wojtek miał rozprutą nieraz surducinę..

On to rozumiał... Więc choć nań panicze,
Z którymi razem dzielił szkolną ławę,
Patrzą z ukosa; choć nieraz oblicze
Zleją rumieńce, jak rubiny, krwawe,
Na śmiech i szepty, na miłą zabawę,
Która ztąd kwitła między paniętami:
Był dla rodziców wylany; szorstkawe
Całował dłonie ojczyska ze łzami
I matce ściskał nogi drżącemi rękami...

Ale to wiedział, że tęczowych skrzydeł,
Co w ciszy dumań niosły go nad ziemię,
Nie da rodzicom; że nie porwie sideł,
W które ich dusza uwikłana drzemie;
Myśli, co jemu rozsadzały ciemię,
Wiedział, że duch ich biedny nie podziela,
Bo skąd się na to zdobyłoby plemię,
Chowane w nocy, w trosce, bez wesela?—
Więc szukał powiernika, szukał przyjaciela...

A wszak to przyjaźń, co ożywia sfery—
Tak sobie szeptał słowami poety (1)—,
Bez niéj nauka to martwe litery,

(1) Schiller.

I ludzie bez niéj pożółkłe szkielety...
Lecz kto téj zaznał płomiennéj podniety,
Staje się słońca przejasnym okruchem;
Przyjaźń ma postać przeczystéj kobiety,
Co obsypuje rajskich kwiatów puchem,
Że człekiem już nie jesteś, ale jesteś duchem...

Zdawało mu się, że swych myśli brata
Odnalazł w jakiéjś figurze sąsiedzkiéj:
Był to młodzieniec znać z wyższego świata,
Lecz dobrze nie wiem, czy to syn szlachecki,
Czy fabrykancki lub bankierski... Grecki
Prawie miał profil; był nadzwyczaj grzeczny,
Chłopskiéj-by nawet nie obraził kiecki,
Więc z jego strony był Wojtek bezpieczny,
I stąd też się poczuwał do wdzięczności wiecznéj.

Gadał z nim nieraz, zwłaszcza, gdy chodziło
O koleżeńskie zwyczajne przysługi:
Dać coś odpisać, jak Wojtkowi miło,
Coś podpowiedziéć; gdy zawinił drugi,
Znieść nawet karę.... Na słoneczne smugi
Myślał więc z sobą wziąć tego młodzieńca
Gdzie serca ludzkie krają idej pługi,
Złocone blaskiem jutrznianego wieńca,
I czynią z człeka dążeń bohaterskich jeńca...

I raz skończywszy właśnie „Irydiona"
Czy bodaj „Dziady", przed dobrym sąsiadem
Z przepełnionego jął wylewać łona,
Co czuł, co myślał; z brylantów dyadem
Uplatał wieszczych; rzekł, że trza iść śladem
Tych mężów z pieśni; niczém wszystkie straty
Przy wielkich celach: aż na licu bladem,
Kiedy tak mówił, róż spłonęły kwiaty—
Wtém sąsiad rzekł: „ja nie wiem, lecz się spytam taty"..

Coś w dzień następny mój panicz słóweczkiem
Przywita Wojtka ponad zwyczaj skorem—
Wszak, mówię, zawsze był grzecznym—: „Z tateczkiem
O wszystkiém zaraz mówiłem wieczorem;
Lecz tatko na to: zostaniesz doktorem,
A reszta mrzonki.. Daléj też powiadał,

Że niby dobrym nie posłużę wzorem,
Gdy będę z tobą tak brat za brat siadał...
Że jesteś niby-chłopem; lecz w tém się przegadał...

Czy się przegadał lub nie, od tėj chwili
Wojtek dobrego unikał koleżki;
Już téż nikogo więcéj się nie sili
Prowadzić z sobą na słoneczne ścieżki:
Stroni od wszystkich... Jak te głogów kierzki,
Co gdzieś w samotnéj rozkwitły ustroni,
Którą zielone pokrywają meszki,
Tak jego myśli, kąpiące się w toni
Niebieskiéj, kwitną zdala, pełne dzikiéj woni...

Lecz człowiek, wiécie, to nie żadne głogi,
Które od lasu stronią nazbyt dumnie,
Taką naturę dały nam już bogi,
Że choćbyś, bracie, działając rozumnie,
Zamknął się w sobie, niby w ciasnéj trumnie,
To jeszcze widmo, jak ten mgły obłoczek,
Wciska się z zewnątrz i szepce: „chodź ku mnie",
I ty—posłuchasz, palisz się jak stoczek,
Jeżeliś zwłaszcza „skończył siedemnasty roczek"...

Tak i mój Wojtek... Od pewnego czasu
Jakoś zbyt często zachodził do księdza.
Pewnie sprzykrzyły mu się garnki kwasu
I ona w domu rodzicielskim nędza.
Pewnie go „żerna" namiętność popędza,
W czwartek lub wtorek zjeść razem z czeladką
Kawałek mięsa... Anoć niby jędza,
Ale z twarzyczką powabną i gładką
Jest owa chuć, co rwie nas ku dobrym obiadkom...

Zwłaszcza od chwili—z rok ci może temu—,
Gdy ksiądz do siebie nową wziął gosposię.
Częstsze wizyty Wojtkowi mojemu
Nie wyszły na złe: „kochany młokosie"—
Tak nieraz z dźwiękiem na wskroś srebnym w głosie,
Rzecze do niego pani Marcelina—
„Człek ci, co prawda, nie jest żadne prosię,'
Ale na jadło téż mu idzie ślina,
A cóż, gdy jeszcze plecy nad książkami zginał"..

Więc mu też nieraz, jak mówią, podmaśli;
Z księżego stołu przyniesie pieczeni,
Że aż parobcy, na kluchach wypaśli,
Mlaskają wargą, a gdy są już w sieni—
„Ta! n a u c z a ł y m zawsze coś p l e n i
Szczęście na świecie“ poszepcą zazdrośnie;
To znów piérożek, co tak się się rumieni,
Jak „krasawica w słodkiéj życia wiośnie“,
Podłoży i „jédz, Wosiu“, poszepnie miłośnie.

I Wosio zjadał... choć nieraz bywało,
Jakoś mu w gardle kąseczek utyka,
Gdy ku gosposi spogląda nieśmiało,
By jéj dziękować... Nieraz i języka
Zapomni nawet: słówko gdzieś mu znika
Razem z piérogiem do wnętrza, a lice
Nakształt burego palą się płomyka,
I pod powieki tulą się źrenice,
Jak gdyby chciały ukryć jakąś tajemnicę...

Pewnego razu—lecz wprzód, moi drodzy,
Nim jeszcze dalszym pofolguję słowom,
Zanim popuszczę swemu pióru wodzy,
Aby was z dolą zapoznać Wojtkową,
Księdza gosposię przedstawię wam nową—
Owóż stosowną chwileczkę upatrzę
I powiem naprzód, że już była wdową
Po „filozofie“—tak! po Dyzmie Wiatrze,
I że ją „odziedziczył“ ksiądz po swym konfratrze...

. . . .

Jan Kasprowicz.





SPRAWA O BLUŹNIERSTWO
ZA CZASÓW SASKICH.

Dzięki uprzejmości autora, możemy podzielić się z czytelnikami „Ateneum“ treścią bardzo interesującéj książki, która jeszcze do handlu księgarskiego nie przeszła.

Autorem jest p. Aleksander Kraushar, mający zamiłowanie i szczęście w odkrywaniu ciekawych materyałów dziejowych, a książką dwutomowe dzieło p. n. „Sprawa Zygmunta Unruga, epizod historyczny z czasów saskich 1715—1740“.

Napotkawszy w broszurce z zeszłego wieku; „*Das betrübte Thorn*“ przygodną wzmiankę o *Casus Unrugianus*, zapalił się p. Kraushar do przedmiotu i póty nie spoczął w poszukiwaniach, dopóki nie znalazł wielkiéj obfitości zabytków rękopiśmiennych i rzadkich druków, które mu nietylko owę, przygodną wzmiankę rozjaśniły, ale zarazem dały możność skreślenia szerokiego obrazu stosunków politycznych, umysłowych i religijnych z najsmutniejszéj doby dziejów naszych.

Po zapoznaniu się zarówno z témi nowoodkrytemi źródłami, jak i ze szczegółowém rozwinięciem saméj sprawy na tle historyi kraju odesłać oczywiście musimy czytelników do dzieła; tu zamierzamy jedynie w głównych, najistotniejszych rysach ją przedstawić.

Zygmunt Unrug pochodził z rodziny, która gniazdo swe najdawniejsze widziała w Alzacyi, przeniosła się następnie na Szląsk, a w XVI wieku przyjąwszy protestantyzm do Wielkopolski, i liczne tu włości (Międzychód, Poniec, Zawady, Wschowę, Skoki, Zduny, Pożarowo, Lubowo, Piotrkowice i Borowo) zajmowała.

Był jednym z 5-ciu synów Krzysztofa, starosty gnieźnieńskiego i wałeckiego. Urodził się w Międzychodzie r. 1676, kształcił się zaś, naprzód w Lesznie, a potém, według zwyczaju rodzin dysyden-

ckich, w uniwersytecie protestanckim w Frankfurcie nad Odrą, gdzie profesorowie składali się naówczas w połowie z wyznawców konfesyi augsburskiéj, a w połowie z kalwinów, staczając z sobą nieustannie walki o przewagę. Ten wyznaniowy charakter studyów oddziałał, jak się zdaje, na młody umysł w ten sposób, iż go do sporów religijnych zniechęcił i uczynił go jeżeli nie sceptykiem, to przynajmniéj wyrozumiałym na sprawy konfesyjne. Bądźcobądź, nabrawszy gruntownéj znajomości języków klasycznych i nowszych, po skończeniu uniwersytetu, nie mając jeszcze lat dwudziestu, udał się r. 1695 w podróż do dolnych Niemiec, Holandyi, Anglii i Francyi, gdzie uzupełniał swoje ukształcenie, skrzętnie notował wrażenia i pilnie spisywał wyciągi z dzieł przez siebie czytanych, wchłaniając te wolnomyślniejsze prądy, jakie się w drugiéj połowie XVII wieku w Anglii rozwinęły, a już i do Francyi przenikać zaczęły.

W dwa lata potém uczestniczył Unrug w elekcyi Augusta II. Zachowanie się podczas wojny szwedzkiéj było dwuznaczne; pozornie stał po jego stronie Sasa, ale równocześnie wdał się w stosunki z obozem szwedzkim, wszedł r. 1703 jako konsyliarz do konfederacyi województwa kaliskiego i poznańskiego, wymierzonéj przeciwko Augustowi, w jéj imieniu posłował wraz z Rafałem Tomickim do króla, celem przedłożenia obłudnéj „supliki“, zapewniającéj słownie o posłuszeństwie, lecz pocichu grożącéj rokoszem, wypowiedział wobec niego mowę naszpikowaną, jak wszystkie ówczesne oracye, łacińskiemi zwrotami, stając „*ad invidiam* żarliwości prawdziwych starodawnych Polaków“, przy prawach i swobodach i wolnościach szlacheckich. W sprawie detronizacyi Augusta II odegrał także pewną rolę; on-to bowiem na posiedzeniu konfederacyi, która już wtedy gieneralną się stała, dnia 12 lutego 1704 r. odczytał wydane przez Horna, a przez siebie i Lasockiego na język polski przetłómaczone listy Aurory Königsmarck, kompromitujące króla wobec narodu.

Kiedy Stanisław Leszczyński został królem, Unrug odprawia kilka poselstw dyplomatycznych to do Fryderyka I, wtedy już króla pruskiego, to do Karola XII, naturalnie w interesie nowego panowania. A gdy w kilka lat potém, szczęście znów posłużyło Augustowi, był on jednym z pierwszych (r. 1709), co się ukorzył przed odnowionym majestatem, za co otrzymał nietylko przebaczenie, ale i tytuł szambelana królewskiego. Wówczas też wstępuje do regimentu księcia Weissenfelsa w charakterze pułkownika wojsk królewskich i liczy się do „najzagorzalszych“ stronników Augusta.

Trzeba się teraz było zająć podniesieniem z ruiny zniszczonego pochodami wojsk nieprzyjacielskich i koronnych majątku, ażeby dzieciom los zabezpieczyć. Ożeniwszy się bowiem w r. 1706 z Karoliną Gorzeńską, miał już w owym czasie czterech synów. Niedługo jednakże mógł się cieszyć pokojem domowym i oddawać się pracy, bo niebawem spadł na niego grom niespodziéwany a straszny.

W r. 1715, podczas sejmiku wojewódzkiego w Środzie zginął Unrugowi ów rękopism, w którym od lat młodzieńczych przywykł był podawać wyciągi ze wszystkiego, co czytał, a z którym nigdy się nie rozstawał. Niewątpliwie o rękopiśmie tym chodziły już dawniéj jakieś wieści wśród szlachty, przedstawiające go może jako zbiór zdań uwłaczających religii katolickiéj, ponieważ należał do dysydenta. Wzbudzał zapewne niejaką ciekawość i stał się bezpośrednią przyczyną nieszczęść, które dotknąć miały jego właściciela.

Niewiadomo, czy prostym przypadkiem, czy téż umyślném przywłaszczeniem, dostał się do rąk gospodyni domu, u któréj Unrug w czasie sejmiku przemieszkiwał. Od gospodyni powędrował do jakiegoś księdza katolickiego, a ten wręczył go Andrzejowi Potockiemu, pisarzowi grodowemu gnieźnieńskiemu.

O tym człowieku, który tak stanowczą odegrał rolę w losach Unruga, nadzwyczaj skąpe tylko posiadamy wiadomości. Wiemy jedynie, że był szlachcicem miernéj fortuny w województwie poznańskiém, że stale się trzymał strony Augusta II i był jednym z konsyliarzy konfederacyi sandomierskiéj, że jako przeciwnik domu Leszczyńskich, podburzał szlachtę przeciwko przyszłemu elektowi. O charakterze jego moralnym informuje nas tylko strona mu przeciwna, przedstawiają go jako człowieka, posiadającego więcéj złośliwości, niż rozumu, lub innych dobrych przymiotów, i przyzwyczajonego do wyciskania z ludzi pieniędzy, jeżeli miał na nich jakiego kruczka. Zdaje się, że ta charakterystyka, lubo od przeciwników pochodząca, jest ugruntowana na prawdzie i że w postępowaniu Potockiego względem Unruga, nie można się dopatrzéć żadnych wyższych pobudek religijnych lub politycznych, lecz widziéć musimy tylko prostą chciwość grosza. Czy działał sam, czy téż z namowy innych potężniejszych, lecz nie chcących jawnie występować ludzi, rzecz-to jak nateraz niemożliwa do rozstrzygnięcia, lubo podrzędne stanowisko zajmowane w narodzie przez Andrzeja Potockiego w porównaniu z nadzwyczajną łatwością, z jaką mu sprawę przeprowadzić się udało, skłania raczéj do przypuszczenia, iż po za sobą miał jakieś silniejsze plecy.

Bądźcobądź, dostawszy do rąk rękopism Unruga i znalazłszy tam mniemane bluźnierstwa przeciw religii katolickiéj, oraz słowa,

jakoby ubliżające majestatowi królewskiemu, postanowił użyć tego kruczka do zgarnięcia nie swoich pieniędzy. Zjawił się tedy naprzód u Unruga z propozycyą wydania mu manuskryptu za grubą opłatę, grożąc, w przeciwnym razie, że złoży go w sądzie. Napastanowany odrzucił z oburzeniem propozycyą, a mając przeświadczenie, że rękopism jego, jako obejmujący same tylko ekscerpta z pism obcych, nie może posłużyć za materyał do oskarżenia go o bezbożność, nie chciał zgoła wejść w żadne z napastnikiem rokowania.

Wtedy-to dopiéro Potocki innego chwycił się środka. Dnia 15 maja 1715 r. udał się na sejmik średzki w liczném gronie zebranych przez siebie adherentów i tu podczas nieobecności Unruga, złożonego chorobą, w jaskrawych barwach skréślił przed zgromadzoną szlachtą treść książki, obejmującéj jakoby gwałtowne napaści na panującą wiarę, kapłanów i majestat królewski. Autora téj książki nie wymienił po nazwisku, powiadając tylko, że pisał ją jakiś nieznany dysydent. Żarliwość o wiarę, okazana przez Potockiego, znalazła na sejmiku gorące uznanie; podziękowano mu i polecono zachować rękopism u siebie, aż do czasu, kiedy właściwy sąd o nim rozstrzygnie.

Chociaż *laudum* średzkie nie wymieniło autora rękopismu, prywatnie jednak wiedziano niewątpliwie, że rzecz dotyczyła Unruga. Zaniepokoili się tém dysydenci wogóle, a Unrugowie w szczególności. Użyto wszystkich sprężyn, ażeby grożącemu nieszczęściu zapobiedz. Znamienną cechą téj sprawy jest, że dysydenci zwracają się o pomoc i opiekę do władzy duchownéj katolickiéj i że ta władza staje wytrwale po stronie obwinionego o bluźnierstwo. Na takie postępowanie duchowieństwa wpłynęły tu dwa głównie czynniki: osobiste, przyjazne stosunki Unrugów z możnymi panami katolickimi, duchownymi i świeckimi, a powtóre dbałość władzy duchownéj o zachowanie swojéj powagi, którą naruszyć mogło wtrącanie się władzy świeckiéj do spraw dotyczących religii.

Zainteresował się przedewszystkiem przygodą Unruga konsystorz poznański, dotknięty tém, że Potocki nie do niego, lecz na sejmik wniósł swe oskarżenie; doniósł więc zaraz biskupowi co się stało. A gdy biskup Michał Bartłomiéj Tarło, bawiący wtedy w Warszawie i skądinąd, mianowicie od wpływowego w Wielkopolsce Jędrzeja Radomickiego, wojewody poznańskiego, otrzymał instancyę za Unrugiem; polecił zatém sufraganowi swemu, by się tą kwestyą zajął, manuskrypt od Potockiego odebrał i rozpatrzył. Nie poszło to jednakże gładko. Na kilkakrotne wezwania sufragana okazał się Potocki upornym, a nawet gdy mu zagrożono klą-

twą, rękopismu nie złożył. Po groźbie musiało nastąpić jéj wykonanie. Potocki dotknięty został wielką klątwą kościelną. I to wszelako nie powstrzymało go na drodze intrygi 'przeciwko Unrugowi; następstw klątwy wcale się nie uląkł i—co dziwniejsza—wśród ówczesnego społeczeństwa a nawet duchowieństwa, które sobie tak żarliwém pod względem form religijnych wystawiamy, obracał się zupełnie swobodnie, jakby klątwa owa pustém tylko była brzmieniem.

Sufragan poznański widział się zniewolonym do przedstawiania sejmikowi średzkiemu w dniu 8 września 1715 r. w bardzo łagodnych słowach, iż zajmowanie się sądzeniem występków przeciw wierze przez władzę świecką jest pogwałceniem praw kościoła; przyczém chwaląc gorliwość deputatów o religią i zapewniając o niezłomném postanowieniu bezzwłocznego rozpatrzenia rękopismu i wydania o nim sądu, domagał się, ażeby tenże był w konsystorzu złożony. Odezwa ta jednak nie była nawet na sejmiku czytana.

Był tam obecny i Unrug i przez przyjaciół swoich starał się wyjednać rezolucyą w duchu odezwy sufragana, lecz partya Potockiego była widocznie silniejsza i zakrzyczała pojednawczo usposobionych członków zebrania.

Z pominięciem sądu konsystorskiego, rzecz poszła do trybunału.

Jakoż pod koniec września otrzymał Unrug pierwszy zapozew do stawienia się przed forum trybunału Piotrkowskiego z wyłuszczeniem treści zarzutów w tych słowach: iż „z jawném pogwałceniem prawa, nie wiadomo jakiemi zuchwałemi pobudkami kierowany, z nienawiści ku świętéj wierze rzymsko-katolickiéj i z obrazą tejże wiary“ poważył się „zuchwale nie tylko czytać księgi autorów heretyckich, przez Stolicę Apostolską oddawna już wyklętych, lecz nawet objaśnienia ich i fałsze przeciw świętéj wierze naszéj zwrócone, zebrać i ku zgorszeniu całego chrześciaństwa, własną ręką swoją przepisać i w księdze zamieścić“; wreszcie ze się poważył „umieścić tam wierszyki jakieś, obrażające majestat Najjaśniejszego Augusta II, króla polskiego, i spełnić inne występki, bliżéj przed obliczem sądu wyszczególnić się mające“.

I teraz jeszcze zarówno sufragan poznański jak i wojewoda Radomicki usiłowali zwrócić sprawę do konsystorza, lecz starania ich spełzły na niczém. Również nieskutecznemi były zabiegi i odroczenie sprawy, gdyż Unrug nie potrafił zebrać dostatecznych dowodów do obrony. W dniu 24 października przywołaną została z rejestru *arianismi* sprawa Potockiego przeciw Urugowi. Potocki

stawił się osobiście, ze strony Unruga zaś patron Chybiński, który wniósł ekscepcyą odroczenia sprawy aż do komunikacyi wszelkich dowodów delatora na piśmie. Trybunał tę ekscepcyą oddalił i nakazał bezzwłocznie zakomunikować Chybińskiemu wyciągi zaskarżonego manuskryptu. Ten, po takiéj decyzyi trybunału, uznał za stosowne posiedzenie sądu opuścić, co trybunał poczytując za postępek zuchwały, skazał pozwanego na grzywny, a książkę „obejmującą w sobie bluźnierstwa przez deputatów duchownych i świeckich przejrzaną i rozebraną“, polecił „opieczętować pieczęcią województwa sieradzkiego i wydać ją tymczasowo Potockiemu do dalszego przebiegu sprawy“—i przystąpić do postępowania zaocznego. Woźny tedy przywołał głośno na cztery strony, wedle obyczaju, raz jeszcze Unruga do sprawy, i oznajmił, że pozwany nie staje. Trybunał wówczas pozwolił Potockiemu pozyskać kondemnatę, mocą któréj Zygmunt Unrug uznany został za infamisa i banitę, mogącego być w jakiémbądź miejscu schwytanym i ukaranym śmiercią, dobra zaś jego ruchome i nieruchome w połowie delatorowi, w połowie skarbowi przysądzono.

Natychmiast po zapadłéj kondemnacie pierwszéj, zażądał Potocki przyzwolenia na immisyę tj. na wprowadzenie siebie w posiadanie dóbr Unruga, jakkolwiek, w zwykłym porządku prawa, immisya dopiero po trzeciéj kondemnacie nastąpić mogła. Trybunał zgodził się na prośbę. Na gruncie dóbr Poniec, Kawcze i Szelejewo zjawili się tedy burgrabia grodu brzesko-kujawskiego wraz z instygatorem trybunału i ustanowili swoję jurysdykcyą głośném odczytaniem wyroku trybunalskiego. Ze strony osób interesowanych atoli zaszła opozycya. W trzech owych majętnościach znaleźli się wierzyciele, którzy sprzeciwili się zajęciu dóbr w posiadanie Potockiego. Wykonawcy wyroku, zaprotestowawszy przeciw opozycyi wierzycieli i nie chcąc użyć przemocy, odstąpili od immisyi i postanowili odesłać strony po osądzenie sporu egzekucyjnego do trybunału z zastrzeżeniem terminu peremtoryjnego z rejestru *arianismi.*

Cóż robił przez ten czas Unrug. Nie czując się bezpiecznym, bo Potocki nań czyhał, by go pochwycić, musiał się ukrywać i w tajemnicy naradzać z patronami nad środkiem obrony. Ponieważ Chybiński uchylił się, jak widzieliśmy, od rozpoznania ustępów rękopismu, na których trybunał oparł motywa swego wyroku, trzeba było postarać się Unrugowi o informacyą, jakie mianowicie ustępy najsilniejszym podległy zarzutom, ażeby zebrać odpowiednie argumenty do ich odparcia. Nie mając atoli swego manuskryptu, nie mógł z pamięci wskazać, z jakich autorów brał swe wypisy i musiał się ograniczyć do zbijania twierdzeń ogólnych. Z dochowanych

dowodzeń Unruga widzimy, że się czuł czystym w sumieniu, że jasno i trzeźwo zapatrywał się na rzeczy, że był oczytany i w piśmie świętém i w literaturze swojskiéj i obcéj. Na obronę swoję zużytkować pragnął głównie dwie okoliczności: 1° że jeżeli wolno dysydentom w Polsce wyznawać swoję religią, to musi im być również wolno czytać książki dysydenckie i robić z nich wypisy, a 2° że robił wypisy tylko dla prywatnego swego użytku, nie zaś dla ich ogłaszania drukiem.

Na drugi peremptoryjny termin, 27 listopada, również nie stawił się Unrug osobiście, uprosiwszy tylko brata swego Bogusława, starostę obornickiego, do przemawiania w jego imieniu. Na posiedzeniu trybunału jako najważniejsze miejsce w rękopiśmie Unruga, dowodzące bluźnierstwa, uznano następne:

La Vérité salutaire n'est-elle donc descendue du Ciel que pour être aux habitans de notre globe une occasion perpetuelle d'erreur, de guerre, de haine et de division—

które na język łaciński przetłómaczono w formie twierdzącéj a nie pytającéj, jak było w oryginale, tym sposobem:

Veritas salutaris, quae Deus est, proinde e Coelis in terras venit, ut rixas populo, errores, bella et dissensiones moveret.

Dziwna rzecz, że ani sam Unrug, ani patronowie jego nie zwrócili uwagi na opaczne tłómaczenie zdania francuskiego, które bynajmniéj nie zawierało w sobie twierdzenia, jakoby wiara objawiona była przyczyną rozsterek na ziemi, lecz ubolewanie, w formie pytającéj wyrażone: Czyż na to tylko zeszła prawda z nieba, żeby była powodem do niezgody?.. Co więcéj, Zygmunt Unrug, biorąc owo zdanie w oderwaniu, sądził, że znajduje ono potwierdzenie w Piśmie ś. i przytaczał takie np. z tegoż ustępy: „Bom przyszedł, abym rozerwanie uczynił między synem a ojcem jego, między córką a matką jéj, także między synową a świekrą jéj. I nieprzyjaciołmi będą człowiekowi domownicy jego... Mniemacie, abym przyszedł pokój dawać na ziemię? Bynajmniéj, powiadam wam, ale rozerwanie“ (Ewang. Mat. X, 35, 36; Łuk. XII, 51).

W trybunale jednak Bogusław Unrug, w zastępstwie brata, przytoczeń tych nie powtarzał, dowodził tylko w gorących słowach niewinności oskarżonego, „jako tenże bez żadnéj ku wierze rzymsko-katolickiéj nienawiści, a jedynie z prostéj ciekawości i bez zamiaru wydrukowania manuskryptu zebrał z rozmaitych autorów luźne notatki i dla pamięci w książce swéj prywatnéj zamieścił.“

Trybunał atoli nie przyjął tego tłómaczenia i uznając, że delator bliższym jest dowodu, mogącego stwierdzić fakt zbrodni przez Unruga spełnionéj, zadekretował, ażeby Potocki w asystencyi sze-

ściu świadków wykonał natychmiast wobec sądu uroczystą przysięgę: „jako urodzony Unrug książkę bluźnierczą przeciw Bogu i wierze katolickiéj z rozmysłem ułożył (*animo deliberato compillavit*), majestat boski i wiarę katolicką obraził i na karę śmierci zasługuje.“ Potocki przysięgę tę złożył. Rzecz zaiste niezrozumiała: sąd w połowie z duchownych złożony przyjmuje przysięgę od człowieka wielką klątwą kościelną obłożonego, w któréj powiedziano: „niechaj będzie wymazany z ksiąg żywiących i z sprawiedliwymi niechaj nie będzie pisany i pamiątka jego na wieki niechaj zaginie“!... Musiała być jakaś siła, co parła potężnie na myśli i uczucia trybunału:

Wyrok ostateczny skazywał przedewszystkiém winowajcę na spalenie ręki, „która się poważyła skreślić tak wielkie bluźnierstwa“, na wyrwanie języka, na ścięcie głowy mieczem. Rękopism zaś Unruga polecił natychmiast spalić na rynku piotrkowskim, na stosie, pod szubienicą, przy odgłosie trąb.

Spalenia manuskryptu dokonano, ale Unruga nie ujęto, bo ten pośpieszył za granicę, uprzedzony przez umyślnych posłańców o nie przychylnym wyniku sądu. Na téjże posiedzeniu rozstrzygnął także trybunał spór pomiędzy wierzycielami dóbr Unruga a delatorem, nakazując eksdywizyą majątku skazanego, z zastrzeżeniem praw żony i wierzycieli.

Unrug udał się do Saksonii, gdzie przez brata swego Karola, podał Augustowi II suplikę w języku francuskim, ze szczegółowym opisem całego przebiegu sprawy i z prośbą o łaskawe wstawiennictwo. Przy pomocy posła francuskiego Rottenbourga udało się widzićć Karolowi z królem i rzecz przedstawić. Król się zainteresował, kazał sobie przetłómaczyć dekret na język francuski i okazał oburzenie zwłaszcza na przysięgę Potockiego, mówiąc: „Jakże to być może, żeby człowiek drugiego myśli wiedzieć i na nie przysiądz miał; tylkoż to samemu Bogu są wiadome myśli ludzkie!“ Pozwolił wreszcie Zygmuntowi przed sobą się stawić i co mógł to zrobił, darowując połowę dóbr jego, przyznaną sobie wyrokiem, Karolowi Unrugowi, w tym naturalnie widoku, ażeby dochody z téj połowy obracane były na potrzeby rodziny skazanego.

Nie żałował Zygmunt ani zachodu, ani pieniędzy, ażeby wyjść z tego przygnębiającego położenia, w jakie go wtrącił wyrok trybunału. Pukał wszędzie i do sufragana poznańskiego, który się poprzednio tak gorąco sprawą jego interesował, i do prymasa Stanisława Szembeka i do sejmiku wojewódzkiego, prosząc, zaklinając, błagając, aby przez wzgląd na całe jego życie, na miłość jego dla kraju, zajęli się jego losem i ulżyli nieszczęściom. Zewsząd prawie otrzymywał zapewnienia spółczucia, lecz pomocy skutecznéj nie

doznał, zwłaszcza że ogólne położenie dysydentów w Polsce pogorszało się niemal z rokiem każdym, a więc i sprawa Unruga, jako kalwina, nie mogła liczyć na pobłażanie.

Okazało się to bardzo dobitnie w r. 1717.

Unrug sądził, że gdyby mu się udało wynaleźć książkę, z któréj wypisał ów potępiony przez trybunał ustęp o prawdzie objawionéj, to mógłby nanowo rozpocząwszy proces, wygrać go przez naoczne wykazanie, iż ustęp ów nie wypowiadał jego myśli. Patronowie nawet radzili, ażeby tajemnie kazał wydrukować książkę francuską, w którąby można było „wrazić" ów ustęp, ale Unrug radę tę odrzucił, gdyż chciał postępować drogą prostą, nie wdając się w żadne wybiegi. Zabrał się tedy do wertowania książek i szczęśliwym trafem odnalazł dzieło, z którego wypis ów zrobił. Był-to dwutygodnik polityczny wydawany w Hadze od r. 1699 przez Mikołaja Guedeville p. n. „*Esprit des cours de l'Europe*". Otóż w r. 1709 pomieszczone tam były uwagi nad jednym z artykułów traktatu ryświckiego, dotyczącym wyznawania religii. Uwagi te nacechowane były duchem tolerancyi i dążyły do wykazania, że wojny religijne są przeciwne moralności chrześciańskiéj. „Dlaczegóż wiara—pytał autor tych uwag—zamiast krępować namiętności, opinią, przesądy, dumę, hipokryzyą, jest ich źródłem, wprawdzie najniewinniejszém, lecz także najzwyklejszém i najobfitszém? Prawda zbawienna czyż na to zestąpiła z nieba, aby być dla mieszkańców naszéj kuli ziemskiéj wiekuistym powodem błędów, wojen, nienawiści i rozdwojenia? Ze wszystkich objawionych tajemnic nie znam nad tę niezrozumialszéj, bardziéj podniecającéj rozum ludzki! Stwórca, ojciec nasz, rad udziela się człowiekowi, na obraz jego stworzonemu; a jednakże dozwala, aby boskie jego światło stawało się powodem niedoli wszystkich prawie ludzi... Z tém wszystkiém, niepodobna się wstrzymać od wykrzyku: rodzie ludzki! tyś sam jest powodem własnéj zguby! Nam należy ubóstwiać nieprzeniknioną tajemnicę Stwórcy, kierownika naszego rodu, i milczéć."

Przetłómaczywszy cały ustęp na łacinę i przedstawiwszy to tłómaczenie wraz z oryginałem przyjaciołom swoim i prawnikom, Unrug z ich porady postanowił udać się do trybunału *de noviter repertis documentis*. Pod protekcyą jednego z generałów wojsk „auxyliarnych" ruskich, konstytujących natenczas w Polsce, przybył do grodu kościańskiego i tu 14 lutego 1717 r. po szczegółowém opisaniu stanu sprawy, zadyktował przeciw swemu delatorowi protestacyą, w któréj zastrzegł sobie akcyą z żądaniem restytucyi i pociągnięcia Potockiego do odpowiedzialności za zamach na życie, honor i majątek skazanego, gdy „nie znając zupełnie francuskiego,

języka, poważył się, głównie co do punktu odnoszącego się do p r a w d y z b a w i e n n é j, w złéj wierze, w fałszywy i niezgodny z duchem oryginału sposób, wytłómaczyć trybunałowi znaczenie tychże słów, o całe niebo różniących się do istotnego ich znaczenia.“ Tamże w grodzie kościańskim zeznał plenipotencyą dla patronów wyznających „wiarę rzymsko-katolicką“ i wyprawił przyjaciół swych do Piotrkowa. Otrzymał atoli od nich wiadomość, że tym razem sprawa do osądzenia nie przyjdzie, „bo to jest—pisali— *actus personalis*, przy któréj sprawie aktor być *in parsona sua* powinien, a WPanu nie byłoby bezpiecznie samemu stawać.“ Kazano mu więc czekać. Tę długą chwilę oczekiwania zapełnił Unrug spisaniem i wydrukowaniem książeczki, w któréj wyspowiadał się, nieraz w bardzo pięknych i rozumnie ułożonych zwrotach, ze swych uczuć i przekonań, chcąc ażeby nie tylko sąd ale i całe społeczeństwa polskie poznało go z gruntu. Książeczka ta z r. 1717 ma napis „Relacya dyskretna żałosnéj i nieszczęśliwéj sprawy Jegomości Pana Zygmunta Unruga, starościca wałeckiego“.

Równocześnie z ogłoszeniem téj broszury, gorliwy protektor Unruga hr. Rottenbourg sprawę jego przedstawił do rozpoznania Sorbonie, zapewne w przekonaniu, że rozgłos nadany temu przedmiotowi zwrócić może uwagę i wpłynąć na większą oględność trybunału w Polsce. Sorbona rozpatrzyła kwestyą i w d. 24 lipca 1717 roku wydała swoję opinią całkiem dla Unruga przychylną; rozbiérając szczegółowo punkt ów o prawdzie objawionéj, wyraziła zdanie, iż w nim niéma bynajmniéj bluźnierstwa, a gdyby w niém ono się kryło, to nie należałoby potępiać tego, kto je przepisał, gdyż mogło to przytoczenie być uczynioném w celu skrytykowania go lub w innéj niekarygodnéj intencyi; stąd w konkluzyi poczytała wyrok na Unruga za pogwałcający wszelkie boskie i ludzkie prawa.

Jednakże ani odwołanie się do narodu, ani opinia Sorbony, nic Unrugowi nie pomogły; gdy w drugiéj połowie r. 1717 przyszła na stół trybunału skarga przez skazanego przeciwko Potockiemu wytoczona, a sam skarżący osobiście nie stanął, trybunał pretensye jego oddalił, nowowykryte przezeń dokumenta zniósł i unieważnił, skazanie poprzednie, jako ważne i prawnie pozyskane, zatwierdził i wydał ponownie rozkaz pochwycenia infamisa i wykonania na nim wyroku. Oprócz tego nakazał trybunał usunąć z ksiąg grodzkich kościańskich protestatyą Unruga, a z ksiąg poznańskich jego pozew przeciw Potockiemu oblatowany; wyciągi zaś z tych akt spalić na stosie przez kata na rynkach Kościana i Poznania.

Pozostawało jeszcze nieszczęśliwemu odwołanie się do sejmu. Ale i tu długo spotykały go zawody. Na sejmie grodzieńskim 1718

wyrzucono posła Piotrowskiego z sali obrad jako kalwina, a suplikę dysydentów wydrwiono i odrzucono. Pojawiło się kilka zjadliwych broszur przeciwko dysydentom; wspomniano w nich o Unrugu i opinii Sorbony z przekąsem. Unrug odpowiedział na tę zaczepkę broszurą: „*Casus inauditus Unrugianus*“ i zwrócił się do Rzymu z prośbą o bezstronne osądzenie jego sprawy, ufny, jak powiadał, w sprawiedliwość kuryi. Rzym rotrząsnąwszy kwestyę, uznał Unruga za niewinnego i wyrok trybunału piotrkowskiego uchylił, polecając nuncyuszowi Santiniemu wprowadzenie w czyn tego postanowienia. Santini zajął się dość gorliwie tym interesem, ale pomimo jego usiłowań, kierowanych chęcią podniesienia władzy duchowieństwa, pomyślnych wyników nie było. Szlachta przeciwko Santiniemu powstała hucznie; a tymczasem sprawa dysydentów wogóle pogarszała się; nastąpiła głośna w całéj Europie katastrofa toruńska.

Gdy się zebrał sejsm r. 1726 w Grodnie, oburzenie przeciwko dysydentom, uciekającym się pod opiekę obcych mocarstw było nadzwyczaj krzykliwe, ale jednocześnie podniesiono także zarzuty ciężkie przeciwko trybunałowi, które skłoniły do korektury tegoż. Otóż czy-to przyjaciele Unruga skorzystali z téj niechęci sejmu do trybunału, czy téż potrafili wyzyskać przychylne opinie Sorbony i Rzymu, dość, że przeprowadzili uchwałę, zabezpieczającą życie i swobodne zamieszkanie w kraju Zygmuntowi Unrugowi, z pozostawieniem nateraz w swojéj mocy konfiskaty jego dóbr, przez dekret trybunalski wyrzeczonéj.

Uzyskawszy tyle, zaczął Unrug zabiegać o przywrócenie do majątku. Straty w ciągu lat 14 poniesione wraz z wydatkami na popieranie sprawy obliczał on na 644033 złp. Oczywiście więc bardzo mu chodziło o to, ażeby mógł dobra swe odzyskać. Szlachta wielkopolska, która poprzednio swojém *laudum* ułatwiła nieprzyjaciołom Unruga zamiar pchnięcia go w odmęt nieszczęść, starała się krzywdę naprawić i postanowiła domagać zupełnéj dla niego restytucyi. Ale nie tak to było łatwo dokonać tego. Sejm z r. 1729, na który posłowie wielkopolscy przywieźli instrukcye domagające się restytucyi, został zerwany, takiegoż losu doznały sejmy z r. 1730 i 1732.

Unrug musiał się zgodzić ze smutném położeniem i odkupić dobra zabrane, które po śmierci Potockiego, jego sukcesorowie przedali już byli Ludwikowi Szołdrskiemu za 90 tysięcy złotych. Szołdrski zażądał za nie 248,963 złote, które mu w r. 1730 r. wypłacone zostały. Jako nabywcy majątku figurują w kontrakcie synowie Zygmunta Unruga.

On sam życie zakończył w niespełna dwa lata, 1 maja 1732.

Nawet po jego śmierci jeszcze się odezwali Potoccy z pretensyami i starali się uchylić tranzakcye między Szołdrskim a Unrugami, pod pretekstem, iż konfiskowane dobra nie mogły wracać w ręce dysydentów. Nie udało się to jednak. Trybunał piotrkowski wyrokiem z 9 marca 1741, uznawszy bezzasadność skarg sukcesorów Potockich, powodów na luity skazał, wszelkie zaś spory, pretensye, skazania, jako dobréj sławie pozwanych szkodzić nie mające, zniósł, skasował i unieważnił, zalecając stronom wiekuiste o całéj téj sprawie milczenie.

I rzeczywiście od owego czasu o Zygmuncie Unrugu i jego nieszczęściach było głucho u nas i dopiéro p. Kraushar w interesującéj swéj pracy wiekuiste owe milczenie przerwał i szczegółowo rzecz całą przedstawił.

P. Chmielowski.





Z PRZESZŁOŚCI I TERAŹNIEJSZOŚCI ŁUŻYC.

(Dokończenie).

Jak dalece pożytecznèm było dla Łużycan, towarzystwo Macierzy, przekonywa nas jego rozwój. Z kolei, powstawała jedna sekcya za drugą. Po lingwistycznéj, historyczna, przyrodnicza, belletrystyczna, wreszcie 1868 r. pedagogiczna, zajmująca się wydawnictwem książek szkolnych i elementarnych. Ukazujące się corocznie, począwszy od r. 1848, zeszyty czasopisma powołały do współudziału w piśmiennictwie ludzi nauki. Czytając owe zeszyty, widzimy ile tam pracy sumiennéj i wytrwałéj złożyła garstka inteligencyi. Dział lingwistyczny, bogato opracowany, wiele także cennych przyczynków z ogólnéj slawistyki i filologii przedstawiają rozprawy ks. Hornika, Pfula i Smolera.

Założenie Macierzy, podobnie jak i cały ruch, wywołany działalnością Smolera, rozgrzał wszystkie serca i umysły. Duch narodowy i ruch intelektualny budzi się wszędzie; nawet w Dreznie mieszkający Serbowie, dzięki staraniom pastora Jakoba, posłyszeli na kazalnicy dźwięki ojczystéj mowy (1). Młodzież serbska w Pradze zakłada stowarzyszenie „Serbówką“ zwane. Powodzenie „Tygodniowych Nowin“ zachęca literata Bartka, do założenia wspólnie z Piekarem gazetki „Serbski nowinkarz“, księża Jacsławsk i Kućauk redagują katolicki organ „Jutrzenkę“. Lecz oba te pisma nie wielu miały prenumeratorów, redaktorowie złożyli wkrótce broń, oddając swe usługi na rzecz „Czasopisma Macierzy“ i „Tygodniowych Nowin“, redakcyę których w r. 1848 objął Smoler. Była to epoka brzemienna wypadkami. Od umiejętnego pokierowania umysłami Łużycan zależała cała przyszłość kraju, Smoler jako redak-

(1) Cztery razy do roku odprawiają się serbskie nabożeństwa w Dreznie.

tor tygodniowych „Nowin“, stanowiących wyraz przekonań i dążeń narodowych, w ręku swoim trzymał losy krainy łużyckiéj. W konserwatywnym duchu redagowany organ sprawił, iż rewolucyjne prądy r. 1848 nie ogarnęły po nad Szprewią mieszkających Słowian. Daremne były namowy demokratów niemieckich i Bakunina. Mieszkając podówczas w Dreznie, szeroką na Łużycach starał się rozwinąć agitacyą. Smoler i jego towarzysze, w rewolucyi żadnych dla swéj ojczyzny nie widzieli korzyści, zostali wiernymi dynastyi Wettinów, i to ich ocaliło. Po uśmierzeniu wybuchu, król saski pomny, iż na ulicach Drezna tylko pułk z Serbów złożony nie wymierzył przeciw niemu bagnetów, na przedstawioną r. 1849 przez Smolera w imieniu narodu petycyą o równouprawnienie języka serbskiego, przychylną dał odpowiedź.

Polityka Smolera przywróciła język łużycki nie tylko szkołom elementarnym i kościołowi, lecz odtąd jeszcze dozwoloném było w biurach i sądach przemawiać ojczystą mową. Smoler w témże samém gimnazyum, w którém dzieckiem uczył kolegów po łużycku, po dziewiętnastu latach zamianowany nauczycielem, rozpoczął systematyczne, chociaż nie objęte programem szkolnym, wykłady ojczystéj mowy.

Nadzieja wstąpiła w serca wszystkich. Mając przywrócony język i wolność obsadzenia parafii dobrymi patryotami, dalsze kierownictwo losem, moralnie odbudowanéj krainy, złożono w ręce Towarzystwa Macierzy. Przywrócenie praw narodowości serbskiéj, korzystnie oddziaływało na ludność wiejską. Uczucia jéj przygniatane zawsze cywilizacyą niemiecką, spotęgował fakt, gdy bawiący w 1850 r. z wojskiem w Budyszynie, dzisiejszy król saski uczył się po serbsku od Smolera. Poczęli więcéj cenić i szanować ojców swoich mowę. Dla Smolera była to chwila najżywszéj radości, nagroda za wszystkie trudy i starania. Objaw ten do nowéj zachęcał go działalności, obchodził pieszo wsie, namawiając wieśniaków do zakładania różnych stowarzyszeń i do rozpoznawania swoich praw, mowy i przeszłości. Szczególniéj téż, jako redaktor serbskich „Nowin“, wielką na tém polu rozwinął działalność. W r. 1848, objąwszy redakcyę „Tygodniowych nowin“, w 1845 zamienił je na „Serbskie“, polityczną, ulubioną gazetę Łużycan. Umiejętność przemawiania do serc i przekonań czytelników maluje się najlepiéj w redaktorskiéj pracy Smolera. W r. 1849, na 90,000 tysięcy Serbów łużyckich, „Nowiny“ liczyły 1200 prenumeratorów. Przy najszczuplejszych środkach materyalnych, w jednym małym pokoiku, stanowiącym drukarnię, redakcyę i ekspedycyę pisma, sam drukarz, redaktor, korektor i wydawca, Smoler drukuje gazetę, od pierwsze-

go numeru przykuwającą tak dalece uwagę czytelnika, iż staje się jego codziennym niezbędnym pokarmem. Te same zdolności okazał również na stanowisku redaktora „Czasopisma Macierzy“ i „Łużyczana.“

Obok narodowych i ogólno słowiańskie cele budziły interes gorliwego Serba. Bawiąc w 1846 w Lipsku wspólnie z Jordanem, redagował „*Slavischen Jahrbücher*“, gdy zaś upadły między 1852 a 1858, podjął w Budyszynie nową ich seryę. Niezrażony powtórnėm niepowodzeniem od r. 1862—1865 redaguje znów „*Zeitschrift für slavische Literatur, Kunst und Wissenschaft*“, w których, między innemi, drukował opis bytności Mickiewicza i Odyńca u Goethego, oraz niektóre ustępy z Szajnochy i Mosbacha. W obec mało rozwiniętéj idei wzajemności słowiańskiéj *Zeitschrift* chromało mocno, aby je ożywić, zamienił na „*Slavische Centralblatt*“ (1865—1868), traktujące nie kwestye naukowe ale raczéj bieżące chwile z życia Słowian. Lecz i na tém polu spotkał go zawód podobnie jak na założonéj w 1863 w Budyszynie wspólnie z Pjechem księgarni.

Zadaniem jéj było skoncentrowanie słowiańskiego ruchu wydawniczego. Powodzenie jéj było wątpliwe; w 1870 przenieśli księgarnię do Lipska, lecz i ta zamiana miejscowości nie wpłynęła na rozwój słabo kiełkujących idei.

Niemieckie kalendarze, zalegające pułki chat wieśniaczych, Smoler wyrugował z Łużyc, wydając pierwszy kalendarz serbski „*Přeďženak*“ 1854 roku, w tysiącu egzemplarzach, kosztem towarzystwa Macierzy. Obecnie wychodzi corocznie pod redakcyą pastora Röda, tylko że liczba prenumeratorów wzrosła do poważnéj cyfry pięciu tysięcy (1).

Na pozór nic nie znacząca, codzienna literatura ludu przyczynia się nie mało do rozwijania zdrowych wśród czytelników pojęć.

Oprócz wyżéj wymienionych prac literackich i naukowych w r. 1841 Smoler wydał „Małego Serba“, rozmowy przeznaczone dla uczących się po serbsku, daléj niemiecki słownik, w r. 1850, gramatykę łużycką tłómaczył także, „O d g ł o s p i e ś n i r u s k i c h“ Czelakowskiego i zakwestyonowany dzisiaj rękopis królodworski. Był przytém współpracownikiem wszystkich pism łużyckich, w kwestyach zaś związanych z historyą i literaturą Łużyc pisał do niemieckich dzienników, na niemiecki tłómaczył Hilferdynga „Pomniki Słowiańszczyzny połabskiéj.“

---

(1) Od r. 1868 wychodzi dla katolików „*Krajan*“ i w Hoyerswerda (Wojerecy) „*Holan a Polan*“.

Uboga, nieszczęśliwa kraina posiadała i posiada wielu pracowników gotowych życie całe oddać jéj w ofierze, lecz co do ducha inicyatywy wytrwałości w przeprowadzeniu najtrudniejszych zamiarów i dążeń, nikt nie dorównał Smolerowi. Z imieniem jego zlała się historya odrodzenia Łużyc. Nic dziwnego, iż wdzięczny naród w sercu swém na wieki pomnik wielkiemu patryocie wystawił (1). Obok téj wzniosłéj, posągowéj postaci grupuje się cały szereg ludzi zasłużonych pracowników pierwszéj epoki odrodzenia.

Dr. Jan Piotr Jordan, założyciel „Jutrzenki", po jéj upadku, osiadł w Lipsku, redagując wspólnie z Smolerem „*Jahrbücher*". Powołany na katedrę slawistyki, długo jednak z powodu swych przekonań na tém stanowisku nie mógł pozostać. W r. 1848 przeniósł się do Pragi, pisał także po czesku, jako członek „słowiańskiéj Lipy", gorliwie się zajmował jéj rozwojem oraz wydawnictwem „*Slavische Centralblatt*". Pracował nad ulepszeniem pisowni łużyckiéj, w 1841 wydał gramatykę łużycką, historyę Czech po niemiecku.

Gorący patryota, niegdyś ruchliwy dziennikarz, dziś stale mieszka w Wiedniu, zasilając od czasu do czasu niemieckie dzienniki artykułami z dziedziny slawistyki. Gdy o dr. Jordanie jako o towarzyszu pracy Smolera mowa, wychyla się zaraz z pamięci postać Fryderyka Imisza, pastora z Hodzija (Göda). Założyciel stowarzyszenia „*Societas slavica budysinensis*", jeden z najczynniejszych członków przy zbieraniu w r. 1848 petycyi serbskiéj oraz towarzysz agitatorskich prac Smolera, dziś jest nader wpływowy w kole protestanckich Serbów łużyckich, „papież łużycki" jak go nazywają przez ironią Niemcy. Ponieważ statuta Macierzy zabraniają wydawnictwa dzieł religijnéj treści, ks. Imisz wspólnie z innymi duchownymi założył „Serbskie luterskie stowarzyszenie księgarskie", które od chwili zawiązania się kilkadziesiąt książek treści religijnéj wydało swoim kosztem. Niemi-to chroni Łużycan od zalewu niemieckich książek i modlitewników. Obok dzieł treści religijnéj, broszur i licznych artykułów, pastor Imisz pomieszcza także niektóre swoje rozprawy w Czasopiśmie Macierzy, czas jakiś redagował protestanckie pismo „*Žernički*" a w 1881 wspólnie z pastorami Jenczem i Sikorą wykończył wzorowy przekład Biblii, który podobnie jak wszystkie tego rodzaju wydawnictwa, wielkiéj dla sprawy odrodzenia ludu jest doniosłości. Pełną obywatelskich zasług jest również działalność, jaką rozwija kierując założoném przez siebie seminaryum. Młodzież duchowna podczas kilku letnich mie-

(1) Smoler zmarł w Budyszynie 13 czerwca 1884 r.

sięcy kształci się w domu pastora Imisza na dobrych kaznodziei serbskich.

Do téjże saméj epoki odrodzenia, chociaż młodszy latami (ur. 1825), należy Krystyan Bohuwier Pful, b. wyższy nauczyciel w Dreznie, zasłużony autor słownika serbskiego i pierwszéj naukowo w języku łużyckim traktowanéj rozprawy o formach i zgłoskach. Pful pierwszy także opracował porównawczo gramatykę łużycką a podane przez niego pomniki połabskiéj Słowiańszczyzny o wiele treściwiéj i obszerniéj od tychże Hilferdynga zebrane. Między innemi, zamieścił w nich zabytek XVI wieku „Ojcze nasz", według Westfalena zabytek meklemburski, a który Pful stanowczo za łotyski uważa. Zajmował się także przekładami klasyków greckich i rzymskich, pisał do niemieckich, lingwistyce poświęconych czasopism i jak wszyscy patryoci łużyccy, w danym razie zasila różnéj treści artykułami dzienniki ojczyste. Zbiérał pieśni, podania i przypowieści ludowe, niektóre z nich w ostatnich czasach przybrał w szatę poezyi. Jednocześnie, gdy w Budyszynie Smoler dokładał starań, aby projekt założenia „Macierzy" doszedł do skutku, kształcąca się w Pradze młodzież zakłada stowarzyszenie „Serbowką" zwane, mające na celu wzajemną pracę dla języka i literatury ojczystéj. Pierwszym przewodniczącym w Serbowce od 1846—1847 r. był Jakób Buk, teolog (ur. 1825), późniejszy redaktor i bibliotekarz C. Macierzy oraz dworski kapelan w Dreznie. Wielce szanowany, obdarzony zaufaniem dworu saskiego, ks. Buk nie przestał być wiernym i gorliwym Serbem. Jego rozprawa o dźwiękach (1) przyczyniła się niemało do utrwalenia analogicznéj, poprawnéj pisowni łużyckiéj.

Do pierwszych jego utworów literackich należą nie bez talentu pisane poezye oryginalne i przekłady Czelakowskiego. W czasopiśmie „Macierzy" drukował bogaty zbiór przysłów górnołużyckich.

Potrącając o poezyę łużycką, musimy przedewszystkiem cofnąć się wstecz i wymienić nazwisko Andrzeja Seilera, poety, którego imię, dzięki działalności Smolera, przedarło się do wszystkich chat i wiosek łużyckich. W pieśniach jego Łużycanie odnajdują siebie, Seiler to poeta *par excelence* narodowy, wierny malarz uczuć, marzeń i cierpień swego ludu. Umié tak grać na strunach jego duszy, iż czytając poezye Seilera Serb łużycki zdala od *„wotčiny"*, ogłuszony hukiem karczujących lasy nowego świata fermerów, po-

(1) C. M. 1849—1852 r.

słyszy szmery odwiecznych nadszprewiańskich lasów. Seiler zna lud, o którym śpiéwa, zna go osobiście nie z książek i nie z opowieści trzecich osób. Swoich bohaterów i bohaterek nie stroi w salonowe suknie, jego Hanki kochają, cierpią i czarują po swojemu. Uczucia ich, skreślone w formie prostéj a wdzięcznéj, nie rażą jaskrawością, nic w nich sztucznego i naciąganego, chociaż forma odpowiada wszelkim wymaganiom poezyi. Taka w nich śpiéwność i potoczystość wiersza, iż pomimowoli dobiéra się w myśli melodyę. Pisane były przeważnie pod muzykę, poecie szło o rozbudzenie w ludzie wiejskim zamiłowanie do muzyki. Do niektórych sam podkładał melodyę, przeważnie zaś znany na Łyżycach muzyk Kocor. Spopularyzowały się tak dalece, iż dziś śpiéwa je każdy, uczony doktór filozofii, rolnik za pługiem i dziéwczę tańczące na „schkadzowankach" reję. Rozrzucone w pismach łużyckich, dopiéro w r. 1883 ukazały się w zbiorowém wydaniu d-ra Ernesta Muki. Jak dotąd wyszło ich dwa tomy, trzeci w druku (1). Muka układał je porządkiem tak, jak poeta tworzył, tym sposobem czytelnik może najlepiéj ocenić stopniowy rozwój talentu wieszcza łużyckiego. Tom pierwszy obejmuje utwory okolicznościowe, pisane za dni studenckich, gdy duszę poety przepełniały złote sny młodości. Są tam powitania nowo przybywających kolegów, elegie na śmierć niektórych, opisy zjazdów, rocznic narodowych, wreszcie różnéj treści pieśni. Jedna z nich, *Wjesołe spěwančko*, brzmi na ustach gimnazyalnéj i uniwersyteckiéj młodzieży. Objęte tymże samym tomem balady, satyry i w heksametrach klasycznym duchem owiane wiersze okolicznościowe, mniejszéj już są wartości... Odgłosy pieśni ludowych, drobne perełki, tchnące świeżością pól i lasów, zamykają pierwszy tom wydawnictwa. Drugi obejmuje poezye liryczne większych rozmiarów, a mianowicie „Pory roku", utwór długi czas uważany za naśladownictwo poematu angielskiego poety Thomsona. Wprawdzie tytuły zeszły się z sobą, poeta Albionu był ulubieńcem Seilera, być może że często wczytywał się w niego, lecz duch poezyi słowiańskiéj drga w każdym słowie pieśni łużyckiéj. Śpiéwność, melodyjność i ta wieczna tęsknota za tém, co być powinno a czego losy odmówiły poecie i jego braciom, stanowi odrębną cechę utworu Seilera. Malowniczością celuje obszerniejszy poemat „Wesele serbskie", opisujący zwyczaje i obyczaje ludu. W obrazach tego rodzaju Seiler jest mistrzem. Piękne są również „Pieśni z gór",

---

(1) Ernest Muka podjął się redaktorskiéj pracy, fundusze składają wszyscy, przeważnie młodzież gimnazyalna i uniwersytecka zbiéra składki.

mniéj już udatne większe libreta do muzyki Kocora, daléj satyry: *Hanc Wučb*, *Jakob a Katha*, oraz łabędzi śpiew poety *So zvoni měr*, pisany na rok przed śmiercią 1871 r. Seiler należy do najpłodniejszych poetów i pisarzów łużyckich. Oprócz pieśni lirycznych, fragmentów, balad i satyr pisał także i wydawał książki religijne. Obywatelska i społeczna jego działalność znana nam jest z poprzednich o Smolerze ustępów; czas jakiś redagował organ religijny „Misjonskie powieści". Różnorodność zajęć i ciężkie warunki życia nie zawsze pozwalały poecie piętnem swego talentu znaczyć wszystkie utwory. W każdym razie, jako liryk, jako poeta ludowy, Seiler jest chlubą swego narodu. Kiedy opisuje uroki wiosny lub mroźne miriadami gwiazd rozjaśnione nocy, kiedy kreśli cnoty, wesołą rubaszność rolnika lub łzawą dolę siéroty, zawsze i wszędzie zna i kocha swoich braci. Nawet słabe strony Serbów, ich wady i cześć dla cywilizacyi niemieckiéj, ujął w ramy poezyi. Znają go téż wszyscy i żaden z poetów słowiańskich nie doczekał się u swoich téj, co Andrzéj Seiler, popularności. W ślady jego wstępuje szereg mniéj lub więcéj uzdolnionych poetów. Współpracownik „Tygodniowych Nowin" Kulman, przyjaciel Seilera, autor powieści i opowiadań dla ludu, wydał w r. 1861 zbiór satyr p. t. „Pszczoły, osy i szerszenie". W zbiorze tym pomieścił także i niektóre satyry Seilera. Zdolniejszym już i płodnym poetą starszego pokolenia, jest Jan Wjela (ur. 1822), nauczyciel z Židowa, piszący pod pseudonimem Żarina i Radyserba. Szczególniéj piękne są jego balady drukowane w „C M." i w dawniejszym „Łużyczanie", mniéj już udatny poemat *Trojniki* (3). Zasługuje téż na wzmiankę poemat epiczny Cześli „Król Przybysław", w którym bochaterska postać władcy Serbów rysuje się na tle krwawych stosunków ówczesnych.

Poezya łużycka ma jeszcze przedstawiciela w utalentowanym liryku, Karolu Auguście Fiedlerze. Fiedler, nauczyciel ewangelickiego seminaryum w Budyszynie, czas jakiś redagował „Łużyczana". Staraniem jego założone towarzystwo śpiewackie przyczynia się niemało do łączenia z sobą młodzieży różnych warstw i stanów.

Jako tłómacze, zasługują na wzmiankę: Piotr Duczman doktor w Budyszynie, który przekładał Schillera, Jan Bartko znany pisarz ludowy, tłómacz Körnera, wreszcie Jan z Lipy autor nie wy-

(1) Na konkursie ogłoszonym przez T. M. z powodu rocznicy odsieczy wiedeńskiéj, powieść jego „Półksiężyc" została uwieńczoną.

danéj dotąd tragedyi „Juliusz Cezar", który przełożył sonety Szekspira. Od czasu do czasu przypominają się jeszcze pieśniami Warzko, Rola i dwie literatki Herta Wiciazowa i Emilia P. żona pastora Imisza a siostra znanego lingwisty Pfula.

Jak widzimy, poezya licznych ma na Łużycach przedstawicieli. Cała inteligencya z epoki odrodzenia, filary drobnéj narodowości, wytrawni pisarze i początkujący autorowie, każdy z nich wdziéra się na Parnas.

Tragiczność dziejowa rozmarzała i rozmarza serca skutéj w zaraniu ludności. Najzdolniejszy pisarz łużycki, ksiądz Hornik, od poezyi rozpoczyna pracę literacką. Twórca odrodzenia Łużyc Smoler, badacz przeszłości Jencz, sprawom kościoła oddany ks. Buk, słowem wszyscy ci ludzie zasłużeni dla literatury i sprawy narodowéj, z różnem szczęściem pisali mową wiązaną. Piękny, pełen uczucia wiersz lingwisty Pfula *Hory modre ja was znaju*, brzmi na ustach wszystkich. Poezya jednak łużycka nie dotyka wszechludzkich uczuć i namiętności. Wrzawa ścierających się na ogólnéj arenie świata poglądów nie znajduje przystępu do uczuć i natchnień poetów. Każda piosenka, wierszyk ulotny pisany jest z myślą rozbudzenia w czytelniku uczuć narodowych. Jeśli nawet taki wyższy talent jak Ciszińskiego, potęgą wyobraźni szersze obejmuje horyzonty, sam nakłada sobie pęta powracając do pól i uczuć rodzinnych. Taki sam stosunek zachodzi i z powieścią. Fabuła jéj zawsze prosta; nawrócony przez miłość lub wzgardę swego otoczenia, zniemczony Łużycanin, staje się typem łużyckiéj powieści. Psychologiczne prawdy, subtelne rozbiory uczuć na drugim stoją planie, w właściwém nawet tego słowa znaczeniu powieści nie ma, tylko szkice i opowiadania. Poetą jednak na Łużycach jest każdy uczony i literat, podobnie jak uczonymi literatami są wszyscy poeci, których imiona związały się z historyą odrodzenia Łużyc. Nawet prosty samouk, Piotr Młonk (ur. 1805), pisze wierszem pieśni religijne.

Pozbawione politycznego życia, Łużyce z postępem czasu idą jednak naprzód. Każda gałąź wiedzy posiada swoich pracowników. Wydawnictwa religijne i popularne dla ludu odznaczają się głębokiém zrozumieniem swego celu i zadania. Z dziedziny nauk przyrodniczych zwracają uwagę rozprawy Michała Rostoka, autora łużyckiéj terminologii botanicznéj. Historykiem, badającym dzieje niewielkiéj krainy, jest pastor Karol August Jencz, autor cennéj rozprawy *Stawizny serbskeje ryće a narodnošt*. Jencz zebrał także prawie wszystkie dumki łużyckie, pisał wiele rozpraw o przeszłości łużyckiéj, z których cenniejsza „o pisarzach ewangielickiego

wyznania". Ciekawą bardzo jest jego opowieść „o serbskich królach" (1), z których jeden Przybysław, Krescentiuszem przez niemieckich kronikarzy zwany, uciekając, jak podanie niesie, przed srogością Niemców na Błota Szprewii, własnemi rękami usypał wały obronne i założył gród, nowéj ojczyzny siedlisko (2).

Jencz znany jest także z prac na polu religijném, podobnie jak i pastorowie Röda, Sikora i Domaszka, piszący pod pseudonimem Szimana rzewne, pełne talentu pieśni liryczne.

Do téjże jeszcze epoki odrodzenia należy Bohuwier Pjech, wspominany wyżéj księgarz (3), gorący patryota, tłómacz Hawliczka i Turgeniewa. W ostatnich czasach przetłómaczył na niemiecki język literatury słowiańskie Pypina i Spasowicza, w którym to przekładzie łużycka doprowadzona jest aż do chwili bieżącéj.

W gronie przedstawicieli pierwszego pokolenia, spotykamy jeszcze nazwisko Edwarda Wjelana proboszcza w Ślepem pod Mużakowem. Rówiennik i kolega gimnazyalny Smolera, zwiedziwszy całą Słowiańszczyznę, czas jakiś jako nauczyciel domowy przebywał w Polsce. Początkowo udatne przekłady z bratnich poetów umieszczał w „Łużyczanie" i innych pismach; z dziedziny dyalektologii znaną jest jego rozprawa „O pogranicznėm narzeczu mużakowskiem" (4).

Młodszym od poprzedzających, ale zawsze współpracownikiem téj pierwszéj świetlanéj epoki odrodzenia, jest ksiądz Andrzéj Duczman proboszcz z Radworja; w 1869 wydał bibliografią Serbów katolickich, oraz żywoty świętych, wielce wśród ludu rozpowszechnione wydawnictwo. Pisał także rozprawy z leksykografii, zbiérał legendy i podania ludu, znany jest również w dziale literatury ludowéj.

Rozpoczynając rys epoki odrodzenia, skreśliliśmy działalność jednego z najznakomitszych patryotów łużyckich, zamykając dzieje owych dni, staje nam również przed oczyma cicha, pełna ofiarności i poświęceń postać drugiego patryoty, znanego w całéj Słowiańszczyźnie księdza Michała Hornika (5). Ukończywszy gimnazyum w Budyszynie, a następnie wyższe studya w seminaryum i uniwersytecie praskim, Hornik powrócił do Budyszyna i odtąd już stale tam przebywa. Młodziutkim uczniem gimnazyum będąc,

---

(1) C. M. 1849—1850. — (2) Największe w Słowiańszczyźnie grodzisko, koło wsi Borkowéj usypane, dotąd jeszcze grodem zwane, miało być właśnie ostatnich królów schronieniem.— (3) Pjech, jako współpracownik firmy Brockhausa, mieszka stale w Lipsku. — (4) Czasopismo „Macierzy" 1869 r. — (5) Urodził się w Worklecach, pod Budyszynem, 1833.

zwrócił na siebie uwagę patryotów dojrzałością umysłu i znajomością języków słowiańskich. Utwory jego poetyczne, proste, rzewne a w piękną ujęte formę, należéć mogą do prawdziwych perełek literatury łużyckiéj (1). Jako tłómacz poetów słowiańskich, pod względem czystości i piękności stylu nie ma naśladowcy. Nie na tém jednak polu zdobył sobie uznanie i wielką miłość całego narodu proboszcz budyszyński. Bez zaprzeczenia jest on najzdolniéjszym publicystą, etnografem, lingwistą i historykiem łużyckim. Pierwsza jego praca lingwistyczna, „gdzie należy pisać *o*“, stanowi ważny przyczynek do ulepszenia ortografii łużyckiéj. Z chwilą otwarcia sekcyi lingwistycznéj (przy towarzystwie „Macierzy“), prace, dotyczące reform językowych lub ogólnéj filologii, stale zamieszcza prawie w każdym zeszycie czasopisma. Dość wymienić cenniejsze z nich, jak: „Imiona biblijne w serbskich katolickich książkach“ (1865), o „Abrahamie Branclu“ (1868), „Rękopiśmienna Agenda z 1667“ (1869), „w jakiém podrzeczu pisał Tharaeus“, „o ortografii Michała Brancla“ i wiele innych, np. „rozprawa o dolno-łużyckich wyrazach w słowniku Megisera“, „o Jakóbie Tycinie i jego gramatyce“, „o serbskich wyrazach w magdeburskim rękopiśmie“ (2), wogóle wiele cennych rozpraw dyalektologicznych i gramatycznych wyszło z pod pióra Hornika. Znawca wyborny historyi swego kraju, pracował i pracuje usilnie nietylko nad ustaleniem i zlaniem rozdzielonéj religijném wyznaniem pisowni, lecz jeszcze nad utworzeniem wspólnéj dla obu rozdartych polityką Łużyc. Gdyby myśl jego znalazła urzeczywistnienie, tak dla narodowego jak i umysłowego rozwoju Łużyc byłoby to z niemałą korzyścią. Patrząc na działalność Hornika, podziwiać należy wytrwałość i umiejętność, z jaką spełnia rozliczne swoje obowiązki.

Gdy w r. 1858 założył przy serbskich „Nowinach“ „Dodatek miesięczny“ treści beletrystycznéj, piszących było niewielu, a Smoler, oddany „Nowinom“, z pomocą przyjść nie mógł, literalnie cały numer zapełniał ks. Hornik swemi artykułami; podobnież się działo z „Łużyczanem“, który on w r. 1860 powołał do życia. Poważniejszéj już treści pismo obok literackich słowiańskim poświęcone kwestyom, redagując lat kilka, własną wyłącznie podtrzymywał pracą. Niemało zasługi położył także, zakładając związek Ś-go Cyryla i Metodego, który na wzór stowarzyszenia ewangielickiego, kilkadziesiąt książek religijnych wydał swoim nakładem.

(1) Podpisywał poezye pseudonimem Horczańskiego. — (2) W. C. M. za r. 1875, drukował rotę przysiąg w języku serbskim, zabytek 15 wieku, wyjęty z ksiąg miejskich budyszyńskich.

W r. 1868 powołany na redaktora czasopisma „Macierzy“, z wytrwałością prowadzi pełną mozołów pracę. Czas jakiś redagował „Katolickiego Posła“, współpracownik wszystkich górno i dolnołużyckich pism, Hornik pisuje także do słowiańskich i niemieckich czasopism. Wyborny znawca języków romańskich, tłómaczy z włoskich i francuskich poetów.

Różnolitość zajęć i prac nie wpływa jednak na zaniedbanie obowiązków swego zawodu. Rok rocznie z okazyi różnych świąt kościelnych, ksiądz Hornik pisze i wydaje drobne artykuły, broszurki religijne i moralne dla ludu, znacząc je zawsze piętnem szlachetnych dążeń i przekonań. Obznajmiony z ruchem i literaturą pobratymców, jest dla Łużyc łącznikiem z resztą słowiańskiego świata. W ostatnich czasach przetłómaczył i krytycznym poglądem opatrzył „Rys dziejów Serbów łużyckich“ Bogusławskiego oraz „Nowy Testament“ (1).

Wzorowy kapłan, którego cnoty oceniają nawet niechętni Niemcy, gdy idzie o sprawę wielkiéj dla Łużycan doniosłości, nie waha się redagować przez lat kilka protestancki dla Dolno-Łużycan kalendarz „*Pratję*“. Nie ma literackiéj pracy, nie ma patryotycznego czynu, nie ma wzniosłéj idei, do któréjby Hornik, dzisiaj najpopularniejsza osobistość na Łużycach, nie przyłożył swéj ręki, nie wlał cząstki swego ducha (2).

Wszyscy pisarze z epoki odrodzenia, którzy na świt jéj z obawą w sercu spoglądali, pracą swoją i wytrwałością utorowali drogę młodszemu pokoleniu. Nowe pokolenie, młodoserbami zwane, nie tworzy żadnéj opozycyi, nie pragnie usunąć się z pod wpływu starszych, lecz inicyatywą swoją pragnie powołać do czynów nowe nie zużyte jeszcze w walce z przeciwnościami siły. Program zakreślony przez przywódzców, jest dalszym ciągiem zbiorowéj pracy, jedna myśl i jeden cel ożywia wszystkich. Podobnie jak za czasów Seilera tak i w ostatnich latach kształcąca się w Lipsku młodzież, założyła w r. 1876 swój organ, rękopiśmienną gazetę „Serbską lipę“. Za jéj pomocą łączyli się słuchacze lipscy z gronem studyujących w Pradze Serbów i znowu jak niegdyś nowe, pełne szlachetnych przejawów życie, ukazało się na literackim i społecznym horyzoncie. Po niejakim czasie przeniesiona do Budyszyna redakcya „Serbskiéj Lipy“ otrzymała nominalną opiekę Smolera, chociaż właściwym jéj redaktorem był Jakób Bart młody teolog, uczeń

(1) W ostatnich miesiącach r. 1888 wydał zbiór pieśni kościelnych. — (2) Robotnicy polscy, mieszkający w Budyszynie znajdują w nim w danym razie prawdziwego opiekuna.

serbskiego seminaryum w Pradze. Dwa pokrewnéj natury pisma jak „Łużyczan“ i „Lipa“ istnieć obok siebie nie mogły; redaktorowie, dobro czytelników przedewszystkiém mając na celu, zgodzili się na zlanie dwóch pism w jedno beletrystyczne „Łużycę“, od r. 1882 pod redakcyą d-ra Muki wychodzące.

Ernest Muka wybitne w gronie młodoserbów zajmuje stanowisko. Filolog, do niedawna wyższy nauczyciel w Budyszynie, wstępując w ślady Smolera jeszcze jako uczeń gimnazyum zbiérał pieśni i podania ludu. W r. 1880 wspólnie z Alfonsem Parczewskim zwiedził Muka pieszo całe Dolne Łużyce, ku czemu obu podróżnych wiodła myśl zebrania dokładnych cyfr statystycznych ludności serbskiéj. W podróży zebrał Muka ciekawy materyał do etnografii ludu z okolic dotąd całkiem za zniemczone uważanych. Bogaty zbiór jego pieśni dolnołużyckich w r. 1877 wydał swoim nakładem ks. Hornik; w pogranicznėm narzeczu zebrane, wyszły jako odbitka z „Macierzy“ górnołużyckie w C. M. za r. 1883. Przed dwoma laty, na konkursie ogłoszonym przez towarzystwo Jabłonowskiego w Lipsku, otrzymał nagrodę za gramatykę dolnołużycką. Najcenniejszą zaś pracą, jak dotąd, jest właśnie owoc owéj wspólnie z Parczewskim odbytéj podróży a mianowicie „statystyka Dolnych i Górnych Łużyc“. Nader starannie opracowana, prostuje fałszywie podane przez Andree (1) cyfry i fakta. Statystyka Górnych wyszła w C. M. za r. 1885, Dolnych za r. 1886. Pojedyncze a bardzo zajmujące opisy owéj podróży pomieścił w „Łużycy“ za rok 1883. Objąwszy redakcyę „Łużycy“, z całém poświęceniem i energią kieruje jedynėm beletrystycznėm i literackiém na Łużycach pismem. Warunki pracy są nader ciężkie, gdyż ze szkodą dla ogólnéj sprawy dr. Muka przeniesiony z Budyszyna do Kamjenicy (Chemnitz), następnie do Frejburga, zdala tylko nad „Łużycą“ czuwać może.

Były redaktor „Lipy serbskiéj“ ks. Jakób Bart, kapelan dworski w Dreźnie, świetny poetycki talent w gronie młodoserbów tęskni i cierpi wspólnie z swoim ludem. Ogólno ludzkie uczucia nie budzą jego natchnienia; niedola wieków, wspomnienia jaśniejszéj przeszłości, burze wstrząsające maleńką krainą — oto skarbnica dla bujnéj, poetycznéj fantazyi Barta. Poezya jego nie zna nuty grobowéj: ból i rany, zadane ręką stuleci, łagodzi wiara w jaśniejsze jutro. W r. 1884 wydana pod pseudonimem Ciszińskiego „Księga Sonetów“, to jedna, wyrzeźbiona natchnieniem pieśń, opisująca święte gaje, grodziska lub zabarwione krwią bohaterów cichéj Szprewii wody. Wzorowe [przekłady Mickiewicza, Vrchlickiego

(1) Wendische Wanderstudien.

i Kollara zamykają księgę łużyckiego poety. W ubiegłym znów roku ukazało się zbiorowe wydanie poetycznych utworów Barta. W zbiorze tym zatytułowanym „Formy", obok rzewnych elegii, nutą ironii zaprawnych satyr, na wzór prowansalskich madrygałów kreślonéj zwrotki, spotykamy poważne balady, tkliwe, koronkowéj rzeźby romanse i słodkie pieśni liryczne. Forma w nich rozmaita, od wszystkich ludów i krain zapożyczona, lecz duch jeden, zrodzony i wychowany nad brzegami Szprewii. Talent Ciszińskiego pokrewny Vrchlickiemu, chwilami przypomina genialnego czeskiego poetę. Ksiądz Bart pisze także obrazki i opowiadania, nacechowane szlachetną tendencyą i miłością ojczyczny. W pracy téj dopomagają mu Jakób Nowak Kaszeczański, zmarły przed kilku miesiącami Szołta, Rencz, Lapsyk, Kapler i inni. W dziale prac religijnych obok Hornika, Łuszczańskiego, Duczmana i innych, do starszego pokolenia należących, w gronie młodoserbów zasługują na uwagę księża: Bart, Libsz i Żur.

Libsz, uczeń Hattali, jest znanym łużyckim lingwistą, którego rzecz „o składni" należy do gruntowniejszych prac w tym kierunku. Pieśni i podania ludu, wspólnie z Muką i Jordanem zbiérają studenci uniwersytetu Golcz, Rencz i Mateusz Haudrik. Filip Rezek tłómaczy „Babunię" Niemcowéj, Laras „psalmy" z hebrajskiego, humoreskami rozśmiesza Bjedrich, Ernest Hollan drukuje w „Łużycy" szkice z podróży, poeta Szewnik śpiéwa liryczne piosenki, utalentowany muzyk Krawc przygrywa w takt narodowych melodyi, słowem i to pokolenie, podobnie jak starsze, pracuje z zapałem dla dobra swego narodu.

Młodzież łużycka czas wakacyjny spędza nie na czczych i bezcelowych zabawach, lecz urządzając teatry i koncerty amatorskie po wsiach, wzbogaca umysł i serca łużyckich *hospodario*. Staraniom téj młodzieży zawdzięcza literatura wydawaną pod redakcyą Muki i Barta bibliotekę teatralną, złożoną z oryginalnych sztuk i przekładów; dotąd wyszło jéj pięć zeszytów. Obecne warunki nie sprzyjają rozwojowi literatury dramatycznéj. Teatr narodowy poprzestawać musi wyłącznie na przedstawieniach amatorskich, z których pierwsze, urządzone w r. 1862 staraniem d-ra Duczmana, zelektryzowało wszystkich. Naturalnie, iż sztuki pisane dla amatorów łatwym odznaczają się stylem, Jedynym poważniejszym utworem jest dramat Jakóba Barta „Na grodziszczu". Jak wszystkie utwory poety, tak i ten nosi znamię wyższego talentu, treść zaczerpnięta z bohaterskiéj epoki Miliducha, opisuje ścieranie się uczuć narodowych z nadciągającém wraz z zastępami Franków chrześciaństwem.

Gdy tak na Górnych Łużycach, dzięki wysiłkom jednostek, duch narodowy zbudził się z długiego uśpienia, Dolne w coraz głębszą staczały się mogiłę.

O ile w XVI i w XVII wieku zastęp duchownych na Dolnych był tak liczny, iż wielu z nich przybywało nawet i na Górne, o tyle znów rządy Fryderyka Wilhelma I wytężając wszelkie środki ucisku z każdym dniem, zmniejszały liczbę serbskich pastorów (1). Na Górnych, młodzież kształcąca się w Pradze lub w Lipsku nie zapominała o swoich względem narodowości obowiązkach; na Dolnych ludność, pozbawiona przewodników, niemczała i obojętniała stopniowo. Jeśli który z zamożniejszych wieśniaków posłał syna na uniwersytet, po kilku latach wracał zniemczonym i straconym na zawsze. Agitacya germanizacyjna z latami coraz szerzéj się rozwijała. Nie daléj, jak przed 20 laty, w Skierbojscu był nauczyciel, który nakładał kary pieniężne i cielesne na dzieci, mówiące po łużycku. Podobne zasady wyznawał pastor z Maliny Blütchen (2). Cóż dziwnego, iż w takich warunkach wegetując, jedna parafia za drugą ginęły w zalewie germanizacyi. Od 1750—1850, pięćdziesiąt parafii straconych zostało na zawsze. Z jak nadzwyczajną siłą posuwa się germanizacya, widzimy z tego, iż przed 1830 w Kalawie mówiono jeszcze po serbsku, obecnie chyba tylko przejeżdżający Serb odezwie się w ojców swoich mowie.

Gdyby jeszcze był na początku b. stulecia istniał jakikolwiek związek między przedstawicielami ducha narodowego na Łużycach Górnych, a bracią z Dolnych, co najmniéj kilkadziesiąt parafii byłoby ocalonych. Chociebuż, stolica Dolnych, dziś całkiem już jest zniemczony, kilka zaledwie łużyckich szyldów zawieszonych nad sklepami dawne przypominają czasy.

W podobnych warunkach bytu rozwój piśmiennictwa jest i był niemożebnym. Dawni jego piastunowie duchowni, jeśli nie wynaradawiali parafian, to z obojętnością spoglądali na posuwającą się germanizacyę. Nieszczęściem bardzo ważnném dla Dolnych jest i był rozdział językowy, nad zniwelowaniem którego pracują dziśiaj Górno-łużycanie. Gdyby nie w Budyszynie lecz w okolicach Mużakowa rozwinął się był duch odrodzenia, to jak słusznie twierdzi autor „Wspomnień z Dolnych Łużyc", narzecze mużakowskie stanowiące przejście od górno do dolno-łużyckiego, stałoby się wspólnym dla obu Łużyc literackim językiem. Przygnębieni, pozbawieni od wieków jaśniejszéj doli, Łużycanie mają jednak w swéj

(1) Na Dolnych ludność jest wyłącznie protestancką. — (2) Patrz, „Wspomnienia z Dolnych Łużyc" A. Parczewskiego.

piersi drzemiące poczucia narodowe. Gdy w chwilach nader dla nich ciężkich, nauczyciel wiejski Dawid Bohuwier Głowan w 1809 wydał w Wojerecach „pieśń o wojnach pruskich“, pięć tysięcy, egzemplarzy rozeszło się wśród ludu (1). Głowan wydał następnie w dwóch edycyach mowy pogrzebowe, jednocześnie z nim kilku jeszcze innych pastorów podjęło pracę dla piśmiennictwa dolnołużyckiego. Jan Zygmunt Schindler wydał w 1813 r. niemiecko-łużycko-rosyjsko-polski słownik, do czego pobudkę dały autorowi wstrząsające Europą wojny Napoleona. W kilkanaście lat późniéj wyszedł jego całkowity przekład Biblii oraz podniosłym stylem pisane kazania. Krystyan Wilhelm Bronisz (ur. 1778 † 1881), pastor, badał mowę, pieśni i zwyczaje Dolnołużycan, pisząc o nich do *Lausitzisches Magazin*. Wydał także broszurę *Familienamen in Niederlausitz* i wspólnie z bratem swoim Augustem, dopomagał niegdyś Smolerowi przy zbieraniu pieśni. Spisywaniem ich zajmował się także Post, Komor, najliczniejszy jednak zbiór zostawił ks. Bogumił Markus, po jego śmierci (1880) nakładem Hornika wydany. J. Zwar napisał małéj wartości słownik, staraniem syna J. C. Zwara w 1847 drukowany. Krystyan Fryderyk Stempel, ostatni serbski pastor w Lubujowie, napisał epopeę, która zaginęła, wiele téż pieśni zostawił w rękopiśmie. Tłómaczył ustępy z Teokryta i bajki Fedra, ciekawe ze względu na język, jakiego tłómacz użył w przekładzie; w r. 1854 Smoler wydał je i wstępem opatrzył. Skromna ta wiązanka prac piśmienniczych na lud żadnego wpływu miéć nie mogła.

Ruch wywołany na Górnych działalnością Smolera nie przedarł się po nad Błota Szprewii. Młodzież górnołużycka bolała nad osamotnieniem swoich braci, lecz zajęta sobą, skrępowana politycznemi stosunkami i językowym rozdziałem, nie mogła przyjść im z pomocą. Górnołużyckie pisma, u siebie taki wpływ wywierające na lud, tu żadnego nie miały znaczenia. Dolnołużycanin nie rozumiał ich wcale. Coraz rzadziéj można było słyszéć kazania serbskie. W r. 1848 na całe Dolne Łużyce tylko 33 parafie były serbskie. I tym koniec zapowiadano bliski, lecz igraszką losów, podobnie jak za reformacyi na Górnych, tak i tu przesadzony szowinizm pruski wykrzesał iskrę narodowego dla Dolnych Łużyc życia. Junkrzy brandeburscy w obawie, aby szeroko rozwinięta na Dolnych agitacya stronnictwa demokratycznego nie rozpowszechniła się i wśród słowiańskiéj ludności, założyli celem kontragitacyi w konserwatywnym duchu redagowany dziennik. Ponieważ Łuży-

(1) W 1860, już na kilka lat przed śmiercią dopomagał jeszcze pastorowi Jenczowi w opracowaniu przekładu Biblii.

canie rozumieli tylko ojczystą mowę, pismo w serbskim musiało wychodzić języku. Takim okolicznościom *Bramborski Serbski Časnik*, redagowany początkowo przez Nowkę, zawdzięczał swoje istnienie. W 1852 redakcye jego objął pastor Pank, obecnie zamieniony na „Bramborskie Nowiny“, które wychodzą pod kierunkiem Szwieli. Założone przez Niemców w celach politycznych, dziś, jakkolwiek wiele w nich jest niezależnych od redaktora braków, stanowią jedyną i dość poczytną gazetę dolnołużycką.

Gdy pierwszy numer Časnika ukazał się drukiem, młodzież szkolna nie znając nawet dobrze mowy ojczystéj, zapaliła się nowém dla siebie uczuciem. Pod jego wpływem uorganizowała na prędce stowarzyszenie, na czele którego stanął student Fryderyk Tesznar. Związek młodzieży dolnołużyckiéj istniał, niestety! krótko, po roku został rozwiązany a spuściznę jaką przekazał społeczeństwu, stanowi kilka wydanych staraniem młodzieży książek. Były to zarazem jedyne błyski narodowego życia z epoki, gdy na Górnych Łużycach wrzało ono w całéj pełni. Nie mogły zatém ani wstrząsnąć do głębi ogłuszonéj ludności, ani uchronić jéj od zalewu germanizacyi. Wprawdzie dzięki humanitarnym poglądom ówczesnego dyrektora gimnazyum w Chociebużu, dra Jana Tschirnera, w 1857 przywrócono naukę języka serbskiego w szkołach. Ministeryum oświaty początkowo tylko na rok jeden dało pozwolenie, lecz że na wykłady uczęszczali i Niemcy, powtórzyła się odwieczna polityka i rząd pruski przypuszczając, iż pastorowie mówiący po łużycku łatwiéj zgermanizują ludność, nadal potwierdził swoje postanowienie. Zapatrywania były mylne: kółko młodzieży, poznawszy bliżéj mowę rodzinną, ukochało ją gorąco. Fryderyk Tesznar studyując w Halli i Berlinie, nie zapomina pierwszych wstrząsających duszą wrażeń. Powróciwszy na stałe jako pastor do Chociebuża, literackiéj i obywatelskiéj oddaje się pracy. Przedewszystkiém reformuje wadliwą, skażoną pisownię dolnołużycką. Wydaje kazania, książki do nabożeństwa i śpiewniki. Tytuły tych ostatnich jak dotąd drukowane były zawsze po niemiecku, Tesznar pierwszy przybrał je w narodową szatę. Ogłosił także drukiem postyllę Lutra, a w 1860 r. przygotował nowy przekład Biblii Fabryciusza w 5000 egzemplarzy, wydany nakładem angielskiego towarzystwa biblijnego. Była to swego czasu bardzo na Dolnych Łużycach wpływowa osobistość; gorący patryota, umiał oddziaływać na swoje otoczenie, z téj téż przyczyny z rozkazu władzy duchownéj w inne okolice przeniesiony, dziś mniéj dla sprawy narodowéj może być czynnym. Jednocześnie z Tesznarem pastor z Gołkojc Haussig Niemiec, z pomocą pastorów Albina Szadowa, Panka i Pawła Bronisza, przygotował podług po-

prawnéj Tesznara pisowni przekład Biblii, do któréj ten ostatni napisał przedmowę. Przekład wyszedł w Halli 1868 r. nakładem towarzystwa biblijnego.

Po wyjeździe Tesznara zaciemnił się i tak już ponury horyzont Dolnych Łużyc. Opróżnione po nim miejsce zajmuje dzisiaj Henryk Jordan, skromny nauczyciel wiejski i kantor w Popojcach. Urodzony w 1841 r. około Mużakowa, początkowo mieszkał na Górnych Ł., osiedliwszy się następnie na Dolnych Ł., poznał tak dobrze miejscowe narzecze, iż dziś jest najpłodniejszym pisarzem dolnołużyckim a przytém popularną i nader wpływową wśród otaczających go osobistością. Pisze książki religijne, opowiadania i powieści dla ludu (1). Współpracownik „Bramborskich Nowin", górnołużyckie pisma zasila swemi artykułami, zbiera dolnołużyckie pieśni, podania i legendy. Na konkursie ogłoszonym przez Parczewskiego 1883 r. otrzymał nagrodę za „Czytankę", przeznaczoną dla użytku tych, którzy bez szkolnych wykładów uczą się po łużycku. Obecny redaktor „Bramborskich Nowin", Szwiela, pisze powieści i poezye ludowe; zmarły niedawno Gryss, nauczyciel elementarny, w chwilach wolnych od zajęć w wiązanéj mowie wylewał swoje skargi, tęsknoty i żale. Prawdziwa jednak iskra poezyi zbudziła się tylko na Dolnych Ł., w piersi Mateusza Kosyka, Serba, lecz któremu lata młodzieńcze zbiegły w otoczeniu niemieckiém. Kosyk, syn wieśniaka z Wierbna, po ukończeniu gimnazyum Chociebuskiego jako urzędnik kolejowy mieszkał stale w Lipsku. W towarzystwie Niemców zapomniał, iż w domu rodziców tylko serbskim mówiono językiem. Dopiero pod wpływem przeczytanych „Starożytności słowiańskich" Szafarzyka (w przekładzie Kłosopolskiego), wrażliwa dusza Kosyka zbudziła się z letargu. Z obojętnego został gorącym i dobrym Serbem. Porzucił służbę rządową, czas jakiś przebywał na Górnych Łużycach a powróciwszy późniéj na wieś do rodziny, wsłuchany w gwarę swoich ziomków pisze przepiękny na tle życia ludu wiejskiego osnuty poemat „Serbska swaźba w Błotach" (2) (serbskie wesele). Uczucia narodowe nową natchnęły go pieśnią. W ślad za Serbskiém weselem ukazała się epopea „Zdrada margrafa Gero", w któréj okrutna postać wroga Słowiańszczyzny mordującego sproszonych na ucztę Słowian, w całéj przedstawiona ohydzie. Udatnym także jest mniejszy a pierwszy poemat Kosyka, z epoki odrodzenia zatytułowany „Najmniejszy naród Słowiański",

---

(1) Jedna z nich przetłómaczona na język polski przez Niklota, przeznaczona dla polskich ewangielików na Górnym Szląsku, p. t. „Bogumił", wyszła w Wrocławiu 1884 r. nakładem redakcyi „Nowin szląskich". — (2) Wyszedł w r. 1880 w Wojerecach.

rzewna skarga na losy biednéj opuszczonéj krainy. Mieszkając w Lipsku, Kosyk pisał po niemiecku, lecz zostawszy Serbem, zerwał z tryumfami w literaturze niemieckiéj. Szkoda tylko, iż ruchliwa, gorąca wyobraźnia i usposobienie poety zmusiło go do porzucenia ojczyzny. Z Ameryki, gdzie w stanie Ilinois jako pastor przebywa, od czasu do czasu poetyczne dowody swéj pamięci o Łużycach nadsyła.

Wobec wstrętnéj nienawiści i wzgardy, jaką Niemcy okazują Łużycanom, na tle najciemniejszych obrazów germanizacyi, dziwném światłem odbija postać niemca Jerzego Sauerweina. Hanowerczyk, urodzony w Gronowie, przybywszy jako korektor towarzystwa biblijnego na Łużyce, pokochał je tak, iż odtąd za drugą ojczyznę uważa. Zwiedziwszy całą Europę od północnych krańców Skandynawii aż do kraju cytryn i pomarańcz, najchętniéj przebywa na Łużycach. Ciche, otoczone lasami wioski nęcą go ku sobie. Znawca prawie wszystkich europejskich i niektórych azyatyckich języków, mówi i pisze tak dobrze po dolnołużycku, iż poezye jego *Serbskě štučki* (1) napisane tak poprawnie, iż trudno uwierzyć, że pisał je dobry patryota niemiecki. Niedola Łużyczan przykuwa Sauerweina do siebie; wzruszony nią, z każdéj korzysta sposobności, aby za ukochaną przemówić krainą. Nawet na sedańskich uroczystościach nie zapomina o Łużycach. W poezyach swoich zachęca lud do ukochania mowy rodzinnéj, każde święto narodowe Łużyc musi być przez niego uczczone wierszem, z najdalszych krańców nadsyła swoje poezye i telegramy. Charakterystyczną cechą Sauerweina jest zesłowiańszczenie swego nazwiska na *Surowina*, którém podpisuje poetyczne utwory swoje.

Nad leksykografią dolnołużycką pracuje Jordan, Nyczka, polski lingwista Aleksander Petrow bada język i gramatykę dolnołużycką, przedewszystkiém zaś jako najczynniejszych pisarzów dolnołużyckich musimy wymienić ks. Hornika, dra Mukę, Jordana i pastora Jencza. Ceniony czeski autor Adolf Czerny pisze także po dolnołużycku, na górnołużycki tłómaczy Vrchlickiego oraz udatne oryginalne poezye drukuje w „Łużycy“. Łączność, istniejąca dziś między przedstawicielami obu Łużyc, wpływa na korzyść stosunków literackich. Górnołużyckie pisma drukują poezye i artykuły dolnołużyckie. Inteligencya wpatrzona w jeden sztandar wspólną idzie drogą, lecz lud nie rozumié jeszcze wiążącéj go nici. Dolnołużycanin nie uważa za brata mieszkającego w Budyszynie Serba. Lata łez i niedoli zgotowały mu takie a nie inne poglądy. Nad wykrzesaniem właśnie tych uczuć pracują dzisiaj patryoci łużyccy.

---

(1) 1877. C. M.

W r. 1880 jaśniejsza dla nieszczęśliwéj krainy uśmiechnęła się przyszłość. Utworzony na wniosek Alfonsa Parczewskiego na walnem zgromadzeniu Macierzy, oddział dolnołużycki zajmuje się gorliwie wydawnictwem ludowych książek i śpiewników. Pojawienie się *Pratii*, pierwszego na Dolnych Ł. kalendarza serbskiego, ważnym jest faktem w życiu drobnéj krainy.

Trzy pierwsze lata wydawany przez A. Parczewskiego, obecnie wychodzi nakładem dolnołużyckiego oddziału. W pierwszym roku istnienia mimo usilnéj agitacyi niemieckich pastorów, osiemset egzemplarzy rozeszło się w samym Chociebużu. Początkowo redaktorem był ks. Hornik, współpracownikami podobnie jak obecnie Jordań, Nyczka, Kosyk i Kołoziej. Gdyby Towarzystwo Pomocy naukowéj, założone przed kilku laty staraniem Alf. Parczewskiego, większe niż obecnie posiadało fundusze, rok rocznie pewien procent młodzieży w narodowym wykształconéj duchu z korzyścią pracowałby dla kraju. Lecz w obecnych stosunkach jeden pastor kończący kosztem towarzystwa studya, czyż jest w możności ocalić od germanizacyi lud, na wynarodowienie którego czyha pieniądz, prawo i pikelhauba pruska. Dzisiaj jeszcze tylko duchowni i książki odpowiednie mogą choć w części położyć tamę dalszemu wynaradawianiu. Niestety! liczba pastorów zmniejsza się gwałtownie. Jedyny dolnołużycki organ, drukowany szwabachą, chociaż posiada dość znaczną ilość prenumeratorów, nie może jednak iść w porównanie z gazetą Górnych Łużyc. Dolnołużycka musi być o wiele uważniejszą w swoich sądach i wyrażeniach. Redagowanie jéj tysiączne przedstawia trudności. Mimo najlepszych chęci i poświęceń kierowników narodowego odrodzenia Łużyc, brak środków materyalnych i ucisk władzy uniemożliwia ich starania. Podziwiać i tak należy siłę i wytrwałość ludu, który od wieków pokryty żałobnym całunem, dotąd nie skonał jeszcze.

Wzruszającą jest przeszłość Łużyc, przed teraźniejszością schyla się z poszanowaniem czoło. Łużyce nie posiadają uczonych i literatów z profesyi. Świat literacki ciężko na chléb pracuje a tém trudniéj płynie mu życie, im gorącéj ukochał kraj i społeczeństwo swoje.

Wyjątkowy to kraj i wyjątkowi ludzie, którzy go zamieszkują. Społeczeństwo górnołużyckie na 100,059 mieszkańców (na Dolnych 75,910) (1) posiada sześć pism specyalnym poświęcone gałę-

(1) Patrz Statystyka Górnych I Dolnych Łużyc Ernesta Mukl. C. M. 1885—1886.

ziom (1). Wszystkie te pisma redaktorom przynoszą tylko moralne korzyści, współpracownicy piszą także bezinteresownie. Redaktorowie w skromnych żyjąc warunkach, czyn obywatelski spełniają bez rozgłosu i chluby.

Zdolności redagowania i umiejętności wtajemniczania się w ducha i potrzeby czytelników zawdzięczają Łużyce okoliczność, iż Górnołużycanin jakkolwiek uznaje wyższość cywilizacyi niemieckiéj i przyzwyczajony do swéj doli, nie ma siły zerwać całkowicie z tradycyą w rodzinie, mówi tylko po łużycku, czyta łużyckie książki i gazety, na wyborach, mimo usilnéj agitacyi dzienników niemieckich, głosuje za Serbem a zakupy żywności robi tylko tam, gdzie ojczystym przemówią doń językiem.

Ludność, na demoralizacyą któréj składało się dziesięć wieków niewoli, według obliczeń statystycznych jest o wiele moralniejszą od niemieckiéj. Pracowita, oszczędna i przywiązana do ziemi rodzinnéj, nie chętnie ją opuszcza, nawet w widokach najświetniejszych zysków.

Przy ocenianiu tych wszystkich faktów dodatnich, musimy wziąć jeszcze pod uwagę, że Łużyce to kraik, w którym odegranie pierwszego teatru amatorskiego, pojawienie się kalendarza dla ludu lub zaśpiewana na koncercie narodowa piosenka, wstrząsa wszystkie umysły i serca, że wieść o niéj staje się świętem narodowém. Położenie obu Łużyc dzisiaj w niewesołych przedstawia się barwach. Nie mówiąc już o Dolnych, których losy od wieków smutniejszą mają w historyi kartę, sympatycznie dla Górnych usposobiona dynastya Wettinów idealną ich tylko dzisiaj otacza opieką. Na skinienie żelaznego księcia formująca się dzisiaj, polityka tłumi oddech słowiańskiéj, ponad Szprewią rozrzuconéj ludności. Przodownicy narodowego i umysłowego ruchu nie schodzą jednak z raz obranéj drogi. Potykają się co krok, ranią o coraz nowe ciernie i szkopuły, lecz nie łamią i nie upadają nigdy. Tacy ludzie, jak zmarły Smoler, ksiądz Hornik i inni zacni Serbowie, dla ogólnéj sprawy zapominają o celach osobistych. Życie patryotów łużyckich, to jedna ofiara, jeden cel wzniosły i szlachetny. Praca organiczna zbudziła naród z uśpienia i pracy téj rozumnie a z całém poświęceniem podjętéj, zawdzięczają Serbołużycanie swoją literaturę. Wprawdzie nie bogata ona w arcydzieła wstrząsające umysła-

(1) „Czasop. M." naukowe redaguje ks. Hornik, polityczny organ „Serbskie Nowiny"—drukarz Marko Smoler, belletrystyczne „Łużyce"—nauczyciel gimnazyalny Muka, „Katolicki Posel" religijne—ks. Skala, „Missjonski Posel" protestancki organ—pastor Domaszka i „Serbski gospodarz" rolniczy—nauczyciel wiejski Kubasa. Trzy ostatnie drukowane szwabachą.

mi ludzkości, nowych dróg nie toruje światu lecz podnosi moralnie i umysłowo społeczeństwo własne (1).

Pisarze obu Łużyc, dobro swéj ojczyzny przedewszystkiém mając na celu, bronią od duchowéj śmierci naród, skazany przez sąsiada od wieków na zagładę.

(1) Żywotność Łużycan obudza dzisiaj ciekawość Niemców; pomijając już tendencyjną pracę Andree, Weckenstaedt w pracy „*Wendische Sagen, Märchen und aberglaubische Gebrauche*, oraz Schulenburg w *Wendische Volksthum in Sage, Brauche und Sitte*, badają pieśni, zwyczaje i podania nadsprewiańskich Słowian.

Melania Parczewska.





KILKA SŁÓW O ORYENTALIZMIE ADAMA MICKIEWICZA.

Dzisiaj, gdy epoka romantyzmu już minęła stanowczo i gdy ledwo gdzieniegdzie słyszymy jéj spóźnione odgłosy, możemy śmiało orzec, czém był romantyzm i jakie jest jego historyczne znaczenie. Oto był on reakcyą w najrozleglejszém znaczeniu tego wyrazu, reakcyą przeciw suchemu racyonalizmowi zeszłego stulecia. Gdy zimny rozsądek królował niepodzielnie, inne władze duszy przytłumione milczały, ale tylko czas jakiś, ażeby późniéj z tém większą siłą zaznaczyć swe prawa. Odezwało się serce, skrępowane dotąd więzami konwenansu, błysnęła fantazya, trzymana na wodzy stałemi regułami, i oto dzięki temu buntowi dwóch potężnych sił ducha ludzkiego, ukazało się na widnokręgu życia i literatury przepiękne słońce romantyzmu, rozsiewając dokoła żar i czar tajemniczy. Poeci odwrócili się od świata klasycznego, coprawda pięknego, ale zimnego jak posąg z marmuru, i poczęli szukać skarbów uczucia i fantazyi w poezyi ludowéj, oraz w téj epoce, kiedy wpływ świata starożytnego na ludzkość był najmniejszy, tj. w średniowieczczyźnie. Ale tego nie dosyć! Starając się oddalić od Greków i Rzymian, zwrócono się także ku Wschodowi, który dotąd jakoś był lekceważony. Fryderyk Schlegel wprowadza studya nad sanskrytem i wydaje dzieło p. t. „*Ueber die Sprache und Weisheit der Indier*" w r. 1808, starszy brat jego August Wilhelm— „*Indische Bibliothek*" w latach 1820—26, a jeden z największych geniuszów poetyckich, Goethe—„*West oestlicher Divan*".

Brandes powiada, iż kierunek ku Wschodowi jest kierunkiem powszechnym romantycznym (1), i na dowód przytacza imiona

(1) Główne prądy literatury XIX stulecia. Tom IV, str. 115.

Southey'a, Oehlenschlägera, W. Hugo, Tomasza Moor'a, ale nie mówi, gdzie leży zagadka tego zjawiska. Mickiewicz znów w jednym ze swoich odczytów w Lozannie nazwał bardzo trafnie zwolenników oryentalizmu hufcem posiłkowym opozycyi antyklasycznéj. Wszystko to prawda, ale co ma wspólnego romantyzm ze Wschodem? Bardzo wiele i to tak dalece, iż A. W. Schlęgel nie zawahał się powiedziéć o Sankutali, jedném z największych arcydzieł dramatu indyjskiego, iż jest napisaną w rodzaju romantycznym.

Nie wdając się w dłuższe wywody i roztrząsania, zwracamy tu tylko uwagę na to, iż powinowactwo romantyzmu z oryentalizmem tłómaczy się bliżéj w ten sposób, iż oba muszą miéć to samo podścielisko psychiczne. Rzeczywiście to, co stanowi istotę romantyzmu, przewaga uczucia i fantazyi, na Wschodzie istnieje od wieków. Te dwie władze duszy człowieka są tam, że tak powiem, podniesione do wyższéj potęgi. Poetyckie płody Greków i Rzymian wydają się zimnemi i blademi wobec utworów wschodnich poetów; pałających żarem uczucia i iskrzących się wszystkiemi barwami bogatéj, nieokiełznanéj fantazyi. Z drugiéj znów strony utworom oryentalnym brakuje téj miary artystycznéj, którą podziwiamy w muzie klasycznéj, brakuje harmonii linii i kształtów, a tén brak spotykamy także u poetów romantycznych. Wydobywając wspólne cechy, nie utożsamiamy bynajmniéj romantyzmu z oryentalizmem, lecz tylko wyjaśniamy zaznaczony wyżéj fakt historyczny powszechnego zwrotu romantyków ku odległemu Wschodowi.

A nasz Mickiewicz czy także poszedł za tym ogólnym prądem? Nie inaczéj, i oto w obecnéj skromnéj pracy próbujemy wyświetlić, o ile ten prąd ku Wschodowi odbił się w twórczości poetyckiéj Mickiewicza.

W uniwersytecie wileńskim, gdzie Mickiewicz odbywał studya, katedry języków i literatury wschodniéj nie było. Zachęty natomiast do zapoznawania się ze Wschodem nie brakło. Profesor filologii klasycznéj Godfryd Ernest Grodek w wykładach swych ciągle na Wschód wskazywał i zachęcał do badania jego obyczajów, pojęć i literatur, powtarzając, iż przezeń tylko dokładniéj zrozumiéć można Grecyą starożytną. Joachim Lelewel, od r. 1815 do 1818 zastępujący w Wilnie profesora historyi, nie mógł nie zwracać uwagi swoich słuchaczy na dzieje Wschodu, zwłaszcza jeśli sobie przypomnimy, iż tenże Lelewel we dwa lata późniéj (tj. w r. 1820) wydał w Warszawie znakomite dzieło p. t. „Dzieje starożytne Indyi“. Zresztą jest to tylko nasz domysł, którego słabe stwierdzenie znajdujemy w znanym wierszu „Do Joachima Lelewela“, gdzie Mickiewicz, ogarniając dzieje ludzkości jednym rzutem oka, zaczy-

na naturalnie od Wschodu, ale, niestety! napomyka tylko o ziemiach leżących między łożyskiem Eufratu a wieżami Libanu. Daléj nie możemy pominąć milczeniem téj okoliczności, iż młodziutki student Józef Sękowski ogłasza w latach 1817, 1818 i 1819 pierwsze swoje prace poświęcone Wschodowi w „Dzienniku“ i „Tygodniku Wileńskim“, a następnie 1 września 1819 roku, dzięki ofiarności współobywateli, do których odezwę ogłosił adjunkt uniwersytetu Kazimierz Kontrym, udaje się na Wschód w celu naukowym. Oczywiście chciano w nim pozyskać profesora języków wschodnich dla Wilna. W r. 1820 Sękowski przysyła ze Stambułu dla „Dziennika Wileńskiego“ przegląd „Dywanu“, to jest „Zbioru poezyi“ znakomitego perskiego liryka Hafiza z tłómaczeniem niektórych jego utworów.

O ile pomienione czynniki oddziałały na Mickiewicza w kierunku zainteresowania się Wschodem, nie wiemy. Wiadomo tylko z „Uwag nad Jagielonidą Tomaszewskiego“, że przed rokiem 1819 czytał powieści perskie p. t. „Tysiąc i jeden dzień“.

Gdy romantyzm zawitał do nas, to wywarłszy wpływ stanowczy na twórczość poetycką Mickiewicza, z początku ku Wschodowi nie zwrócił jego umysłu.

Przeglądając atoli pierwsze dwa tomiki poezyi Mickiewicza, spotykamy w nich jeden utwór, w którym można odnaleźć pewien pierwiastek oryentalny. Mamy tu na myśli „Hymn na dzień Zwiastowania N. P. Maryi“, a jeśli ośmielamy się zaliczyć ten wiersz religijny w poczet utworów przypominających nam Wschód, to na mocy słów samego Mickiewicza, który w swéj drugiéj prelekcyi, mianéj w Akademii lozańskiéj, zaznaczył, iż poezya religijna Wschodu przeszła do Europy wraz z Księgą Hebrajczyków (1). Zresztą, jakby na potwierdzenie téj myśli, znajdujemy we wspomnianym Hymnie nawet trzy wyrazy hebrajskie: Jehowa, Cherub i Syon.

Dopiéro od daty zapoznania się Mickiewicza z Byronem, widoczna jest dla nas, iż Wschód musiał żywo zająć jego uwagę. Nie mogło być inaczéj, kiedy w końcu roku 1822 Mickiewicz był już całkiem opanowany przez lorda-poetę, który od lat dziecinnych tęsknił ciągle do Wschodu, a po zwiedzeniu części świata muzułmańskiego dał nam na tle oryentalném kilka wspaniałych powieściowych fragmentów. Podejmuje się wtedy Mickiewicz wytłómaczyć „Giaura“, ułamki powieści tureckiéj, którego wykończa coprawda w dziesięć dopiéro lat potém. W każdym razie nie ulega

(1) „Odczyty w Lozannie“ opracowane przez P. Chmielowskiego. Warsz. 1885, str. 57.

najmniejszéj wątpliwości, że Byron, upodobawszy i ukochawszy dziki Wschód, leżący po za obrębem cywilizacyi europejskiéj, uczynił i serce naszego wieszcza nieobojętném dla jego oryginalnéj krasy.

Drugą po Hymnie daniną, złożoną oryentalizmowi przez muzę Mickiewicza, była ballada turecka „Basza“, dziś bardziéj znana szerszemu ogółowi pod nagłówkiem „Renegat“. Powstała ona przygodnie w r. 1824 w Wilnie, jako płód improwizatorskiego talentu poety. Wtedy poeta stworzył romantyczny obrazek, ujęty w formę ballady, któréj tło oryentalne było organicznie związane z podanym przez kolegę tematem. Coprawda w pierwotnéj redakcyi ballady nie widać bynajmniéj mistrzowstwa w malowidle wschodniego kolorytu, co i sam twórca musiał czuć doskonale, gdyż w pięć lat potém zmienił jéj formę do gruntu (1). Dodał nawet jednę zwrotkę, która sama przez się stanowi drobną perełkę. Przytaczamy ją tu jako przykład przesady, obrazowości i piękności porównania, cechujących właśnie styl wschodni.

„Efendy!
Którego jasność takiéj jest mocy
Między gwiazdami dywanu,
Jak śród brylantów na szatach nocy
Ognisko Aldebaranu!“

Oryentalizm, zaszczepiony w umyśle Mickiewicza przez Byrona, spotęgować się musiał i zasilić w Petersburgu wskutek zetknięcia się z ludźmi, którzy dzięki studyom, podróżom, lub nawet pochodzeniu doskonale byli obeznani ze Wschodem, jego historyą, językami i literaturą. Mówimy tu o wzmiankowanym wyżéj Józefie Sękowskim, który od r. 1822 był już profesorem zwyczajnym języka arabskiego w uniwersytecie petersburskim i towarzystwie, które się zbiérało u tego uczonego oryentalisty. Tam téż Mickiewicz poznał uczonego Persa Mirzę Dżafar Topczy-Baszy.

Było to w końcu r. 1824.

Najpotężniejszym nakoniec czynnikiem, co wprowadził muzę Mickiewicza w zaczarowany świat Wschodu, była wycieczka do Krymu, owéj Małéj Tartaryi, gdzie spędził dwa miesiące jesienne r. 1825 (od 17 sierpnia do 16 Października). Zrobił ją poeta, rzec można, jeszcze w młodości, bo mając tylko dwudziesty siódmy rok życia, tj. wtedy, gdy dusza była zupełnie świéża, a serce pełne zapału dla

---

(1) Improwizacya A. Mickiewicza p. t. „Basza“ przez dra Henryka Biegeleisena w „Kłosach“ Nr. 1008 i 1010 r. 1884.

wspaniałych widoków natury. Coprawda widział tylko Wschód w miniaturze (jak sam pisze w liście do Lelewela), ale zawsze bezpośrednie zetknięcie się z tém, o czém dotąd mógł tylko czytać lub słyszéć, miało olbrzymie znaczenie. Oglądał przecież własnemi oczyma dawną chanów krymskich stolicę, noszącą po dziś dzień charakter wschodni, a w niéj meczety, minarety, szemrzące w cienistych ogrodach fontanny i t. d., sypiał na sofach Girajów, w laurowym gaiku grał w szachy z klucznikiem nieboszczyka chana Szahin-Giraja, daléj deptał chmury na Czatyrdachu, mającym 5110 stóp wysokości, a oprócz tego mógł oddychać wonią drzew figowych, migdałowych i oliwnych, podziwiać turbany i strój fałdzisty rosłych i pięknych Tatarów szczepu kaukaskiego, oraz zachwycać się zwinnemi jak gazele i powabnemi jak róże Szyrazu Ormiankami, Karaimkami i Greczynkami, słowem miał możność poznać osobiście jeden z najpiękniejszych skrawków Wschodu muzułmańskiego. Ten raj krymski nie mógł téż nie zachwycić naszego pielgrzyma-poety, przybyłego z północy i już nie obojętnego na urok krajów wschodnich.

Owocem podróży krymskiéj Mickiewicza były nieśmiertelne sonety. Nie mamy zamiaru wdawać się tym razem w całkowity rozbiór i ocenę tego cudownego poematu, lecz chcemy tylko zwrócić uwagę przyszłego krytyka na tę stronę sonetów, która przez dotychczasowych nie była dostatecznie podkreślona i uwydatniona, a mianowicie na ich koloryt i styl. Coprawda jeden z pierwszych recenzentów, Franciszek Salezy Dmochowski, oceniając „Sonety krymskie“ w „Bibliotece polskiéj“ (t. III za r. 1826), mówi o ich stylu wschodnim, ale dodaje, iż jest on niezręcznie naśladowany, stanowiąc parodyę wyrażeń i pomysłów wschodnich. Inny krytyk, Teodozy Sierociński, w swoich obszernych uwagach zamieszczonych w „Dzienniku Warszawskim“ (t. IX, r. 1827, zeszyt lipcowy) ani słówkiem nie napomyka ani o kolorycie, ani o stylu oryentalnym sonetów. Maurycy Mochnacki, pisząc o sonetach Adama Mickiewicza w „Gazecie Polskiéj“ (Nr. 80 i 82, r. 1827), zaznaczył tylko przepych wschodniéj imaginacyi oraz dopatrzył wdzięków południowéj poezyi arabskiéj, ale swego twierdzenia bliżéj nie uzasadnił. Artur Leist (Lubrański), nie kusząc się bynajmniéj o rolę krytyka, podał nam w „Gazecie Polskiéj“ (r. 1881, N. 159, 161, 182, 183, 209, 210, 221 i w r. 1882, Nr. 56) swoje wrażenia, zebrane „W ojczyźnie sonetów“. Wreszcie cytujemy „Zarys biograficzno-literacki o Adamie Mickiewiczu“ Piotra Chmielowskiego, gdzie mamy pięć stronic poświęconych ocenie sonetów krymskich (t. I. str. 355—360).

Forma wersyfikacyjna sonetów, zapożyczona przez Mickiewicza od włoskiego poety Petrarki, zawiera treść nową dla siebie, bo opisową ze sporą domieszką liryzmu. Możemy śmiało zaznaczyć, iż dwa te pierwiastki, acz wszędzie nierozłączne, znajdują się w pojedyńczych sonetach nie w jednakowym do siebie stosunku, gdyż w jednych przeważa opisowość, a w innych liryzm. Poeta nasz, zwiedzając nowe dla siebie strony, nie może jeszcze się otrząść ze wspomnień, bólów i trosk sercowych, i mówi o nich tym samym językiem, jakim dotąd zwykł to był czynić; z drugiéj znów strony oglądane krajobrazy budzą w nim nowe wrażenia, a przez to działają na duszę poety kojąco. Dla utrwalenia tych nowych wrażeń, poeta dobiera barw żywych, o ile można jaskrawych, i maluje nam świetne obrazki jaśniejące całym przepychem wschodu. Stąd, zdaniem naszém, tylko te z sonetów krymskich, w których przeważa pierwiastek opisowy, zaprawne są kolorytem oryentalnym, a takich jest połowa. Nie wszystkie więc osiemnaście sonetów napisane są we wzorzystym stylu wschodnim, lecz tylko dziewięć, do których ośmielamy się zaliczyć następne:

V. Widok gór ze stepów Kozłowa. VI. Bakczysaraj. VII. Bakczysaraj w nocy. IX. Mogiły haremu. XI. Ałuszta w dzień. XII. Ałuszta w nocy. XIII. Czatyrdach. XV. Droga nad przepaścią w Czufut-Kale. XVI. Góra Kikineis.

Nie czujemy potrzeby szczegółowo uzasadniać naszego twierdzenia, gdyż każdy, pamiętając o tém, cośmy zaznaczyli powyżéj, łatwo to może sam sprawdzić, jeśli zechce wymienione sonety zestawić i porównać z pozostałemi. Jednakże, aby nie pozostawało żadnéj co do tego wątpliwości, zaznaczymy jeszcze ogólnie, co właściwie nadaje cechę oryentalną tym zacytowanym przez nas dziewięciu sonetom. Już napomknęliśmy o żywości i jaskrawości barw, ale tego nie dosyć. Poeci wschodni, chcąc wzbogacić koloryt, ponieważ wedle ich przekonania tego co piękne nigdy nie jest zawiele, gromadzą w swych utworach obficie moc porównań, metafor i hyperbol. Głównym ich celem jest zadziwić, olśnić, nawet oszołomić słuchacza czy czytelnika. Mickiewicz naturalnie pamięta o tym warunku. Oprócz tego wiadomo, iż Wschód, zarówno muzułmański jak i buddyjski, ma swoje własne wierzenia, poglądy, zwyczaje, które poeta oryentalny musi uwzględnić. Przeto jak dawni pseudoklasycy starali się patrzéć na świat oczyma Greków i Rzymian, wierzących w Zeusa, Herę, Boreasza, nimfy itd., tak i poeta, chcący naśladować swych braci po lutni ze Wschodu, musi przedzierzgnąć się w prawowiernego wyznawcę Koranu lub téż buddystę. Wskutek tego Mickiewicz, odtwarzający w sonetach krymskich piękny

kraik muzułmański, posługuje się całym aparatem wyrazów i wyobrażeń, zaczerpniętych ze Wschodu mahometańskiego. I oto przed olśnionemi oczyma czytelnika przesuwają się: Allah, wielki Prorok, Eblis, giaur, farys, chalif, basza, dżamid, minaret, izan, namaz, harem, turban itd. Jednakże, ażeby uniknąć fałszywéj nuty, która razi nas w niefortunnych naśladowcach Greków i Rzymian, poeta nasz przemawia w swoich sonetach oryentalnych najczęściéj ustami mirzy i przeto pozostaje w zgodzie z prawdą. A jeżeli odzywa się czasem i pielgrzym, to wschodni styl jego mowy wydaje się nam zupełnie naturalnym ze względu na osobę, do któréj przemawia. Co prawda Mickiewicz nie wszędzie potrafił wiernie oddać sposób mówienia ludów wschodnich, gdyż taki wytrawny oryentalista jak Sękowski robi mu pod tym względem zarzuty ostre, dowcipne a słuszne, jak twierdzi Malinowski w swym niewydanym dotąd pamiętniku (1). My atoli, jako nieposiadający specyalnéj wiedzy oryentalnéj, nie możemy wytknąć błędów, jakich Mickiewicz pod tym względem się dopuścił, i pozostawiamy to niespełnione przez nas zadanie krytykowi bardziéj kompetentnemu. Zresztą sam Mickiewicz musiał czuć jeszcze przed krytyką Sękowskiego, że nie wszędzie zdołał szczęśliwie pokonać nastręczające się trudności, gdyż 9 czerwca 1827 r. pisał z Moskwy do Józefa Kowalewskiego w Kazaniu, który, jak wiadomo, oddał się tam studyom nad językami wschodniemi: „Spodziewam się, Józiu, że ty nad sonetami mojemi oryentalne popiszesz uwagi, a przynajmniéj ponotujesz, coby w technicznych mahometańskich wyrazach poodmieniać lub lepiéj objaśnić należało.“

Na czas pobytu w Moskwie przypada wierzchołkowy punkt nastroju oryentalnego Mickiewicza, co widać najlepiéj z jego korespondencyi. Nasamprzód lubi używać wtedy zwrotów wschodnich, już-to donosząc Odyńcowi, że żył w Odesie jak basza, a tu w Moskwie żyje jak ostatni janczar, już tytułując Kowalewskiego swoim Chadża Effendi, już klécąc z litewska frazes oryentalny w liście do tegoż Józefa Kowalewskiego, aby w pośladki zamiarów Jana Wiernikowskiego (co do przekładu perskiego poety Hafiza) pruł go ostrym kijem przymuszania. W Moskwie zabiera się Mickiewicz na dobre do studyów teoretycznych nad Wschodem. Czyta tam historyę literatury wschodniéj, zakopuje się w głośnym wówczas oryentaliście niemieckim Hammerze (zapewne w jego sześciotomowém dziele, wydaném przy pomocy Wacława hr. Rzewuskiego *„Die Fundgru-*

(1) „Sękowski w korespondencyi z Lelewelem“. Studyum A. Jabłonowskiego. „Echo“ r. 1878.

ben des Orients", Wiedeń, 1810—19), gotuje się atakować Indye Schlegla (zapewne Wilhelma Augusta „*Indische Bibliothek*"). Ma nawet w ręku gramatykę arabską de Sacy'ego (*Grammaire arabe*, 2 t. Paryż 1810), lecz widać niezbyt wiele łamał sobie nad nią głowę, bo niebawem udziela jéj Kowalewskiemu w Kazaniu. Do tegoż swego druha i kolegi z czasów wileńskich pisze, iż ciekaw jest szczegółów o jego dykcyonarzu tatarskim, donosi mu, iż widział dawniejszy dykcyonarz tataro-ruski, podobno w Kazaniu wydany, a także chwali się sam, iż nawet sześć wierszy historyi Mirhondy (1) z perskiego już wytłómaczył, dodając n. b. iż to uczynił z oryginału.

Sonety krymskie, które wydał w Moskwie z dołączeniem przekładu na język perski piątego sonetu, dokonanego przez wspomnianego już przez nas Persa Mirzę Dżafar Topczy-Baszy, były przez Mickiewicza, że tak powiem jego własnemi słowy, „puszczone na zwiady." Chciał on zbadać opinią świata literackiego i smak publiczności, o ile utwory w stylu oryentalnym mogą liczyć na powodzenie, gdyż nosił się z myślą uprawiania tego rodzaju poezyi i nadal i już na większą skalę. Przegląda to aż nadto wyraźnie z jego listów, pisanych podówczas do przyjaciół i znajomych, gdzie wypytuje o wrażenie, jakie na nich zrobiły jego sonety wschodnie. Śmiało rzec można, iż żadnym utworem Mickiewicz tak się nie interesował, żaden poemat nie uczynił go tak czułym na zdanie świata, jak owe sonety krymskie. Ba! nawet był zdecydowany pisać, gdyby się i zawiódł, co wypowiedział w liście pisanym 7 stycznia 1827 r. do Lelewela: „Puściłem sonety na zwiady. Jak po owych piosnkach gminnych odważyłem się pokazać potworne Dziady, tak i teraz jeżeli sonety znajdą przyjęcie dobre, mam zamiar coś obszerniejszego w guście oryentalnym wypracować; jeżeli zaś owe minarety, namazy, imany i tym podobne barbarzyńskie dźwięki w delikatnym uchu klasyków łaski nie znajdą, jeżeli.... powiem z Krasickim, że zasmucę się, ale będę pisał".

Zamiarom tym czyny jakoś nie sprostały, a przynajmniej nie w tym stopniu, w jakim mielibyśmy się ochotę spodziewać.

Ze względu na porządek chronologiczny, musimy teraz wspomnieć o Hymnie do świętego Ducha, znajdującym się w „Konradzie" Wallenrodzie". Ta krótka pieśń błagalna do Gołąbka Syonu pomimowoli nasuwa nam na myśl hebrajską lirykę religijną.

---

(1) Mirchund, historyk perski z XV wieku, napisał historyę powszechną p. n. „Rausalos-safa" czyli „Ogród czystości".

Żywa chęć Mickiewicza pisania dalej w guście oryentalnym uwieńczyła się niezbyt co prawda obfitym owocem dopiero w Petersburgu. Tam powstały trzy kasydy arabskie: z nich dwie tłómaczone, a jedna oryginalna.

Poezya arabska, jak wiadomo, obfituje w kasydy. Osnowy dostarcza im zwykle życie koczujących Beduinów, a co do rodzaju poezyi, to trudno kasydę kategorycznie do któregokolwiek zaliczyć, gdyż treść jej bywa najrozmaitszą. Aleksander Chodźko w przedmowie do swojéj powieści wschodniéj p. t. „Derar“ składającéj się z dwóch kasyd, dowodzi, iż kasyda wzięta w dzisiejszém znaczeniu odpowiada naszéj elegii, idylli, panegirykowi i powieści, stosownie do tego, jakie opiewa zdarzenie. Profesor insbruckiego uniwersytetu Wenig utrzymuje także, iż kasyda jest tkaniną z różnobarwnych materyi. Sama zaś nazwa „kasyda“ ma na względzie formę, nie treść, gdyż wedle Chodźki znaczy: poemat zupełny, w którym żadnego wiersza nie braknie, kasyda albowiem zawierała początkowo trzydzieści dystychów, czego późniéj poeci arabscy nie zawsze się pilnowali.

Mickiewicz dał nam przekład dwóch kasyd arabskich: „Szanfarego“ i „Almotenabbiego“, przekład dokonany nie z oryginałów, gdyż nietylko arabskiego, lecz żadnego wogóle języka wschodniego pomimo dobrych chęci wyuczyć się nie zdołał. Przy „Szanfarym“ posiłkował się tłómaczeniem francuskiem de Sacy'ego, (umieszczoném w jego „*Chrestomathie arabe*“, 3 t. Paryż 1806, 2-ie wyd. 1826—27) a także korzystał z dosłownego przekładu polskiego, który umyślnie dla Mickiewicza sporządził Sękowski dodawszy obszerny uczony komentarz. Tę kasydę sam Mickiewicz nazywa w przypisku powieścią, na co można się zgodzić dodając, iż brzmi w niéj nuta skargi. W literaturze arabskiéj p. Juliana Adolfa Święcickiego spotykamy ciekawą wzmiankę, iż piękna kasyda, przypisywana Szanfaremu, jest podług najnowszéj krytyki, płodem późniejszym; tymczasem wszyscy jéj tłómacze, a w ich liczbie Mickiewicz, byli tego przekonania, iż kasyda jest starym, przedmahometowym poematem (1).

„Almotenabbiego“ wytłómaczył Mickiewicz wedle przekładu francuskiego de Lagrange (w „*Anthologie arabe*“, 1828 r.). Ten utwór lepsze niż „Szanfary“ daje nam wyobrażenie, czém była pierwotna kasyda arabska, gdyż napisany jest dystychami, aczkolwiek ilość ich przechodzi cyfrę trzydzieści.

(1) Dzieje lit. powszechnej. Warszawa. 1887. Tom II, księga trzecia, str. 366.

Co do treści, „Almotenabbi“ zbliża się do naszéj elegii, gdyż jest wzniosłą skargą poety na niesprawiedliwość ludzką i ten świat głuchy a pusty. O samym poecie czytamy u p. Święcickiego, iż Motenebbi, urodzny w Kufie w 915 r., na Wschodzie miał miano „sułtana i ojca poezyi“, chociaż w rezultacie, osięgając zbyt wysoko i podając się za proroka swego ludu, zdobył tylko ironiczny przydomek „Motenebbi“ co znaczy „chcący być prorokiem.“ W poezyach Motenebbiego razi podobno przesada, a najpoprawniejsze są jego epigramaty oraz sentencye filozoficzne (1).

Teraz z kolei wypada nam rzec słówko o oryginalnéj kasydzie Mickiewicza „Farysie“. Wedle dra Piotra Chmielowskiego, przekład „Szanfarego“ i Almotenabbiego“ był przygotowaniem do stworzenia téj świetnéj kasydy, całym przepychem kolorytu wschodniego jaśniejącéj. Można przystać na to z tém zastrzeżeniem, że „Farys“ o całe niebo przewyższa dwie wspomniane kasydy artyzmem i jednolitością przewodniéj myśli. Taka harmonia pomiędzy pojedynczemi ustępami poematu, jaka pomimo pozornéj dowolności formy istnieje w „Farysie“, obcą jest w ogóle poetom wschodnim i trudno jéj téż dopatrzéć się w „Szanfarym“ lub „Almotenabbim“. Znać, że ten cudny poemat w stylu wschodnim stworzył umysł europejczyka, wykształcony na dziełach klasycznych. A obok tego z jakim ogniem fantazyi odtworzony ten szalony Arab, przebiegający pustynne obszary swojéj ojczyzny, któremu całe powietrze w Arabistanie ledwo na oddech stanie. Uczynić to mógł tylko prawdziwy geniusz poetycki, dla którego nietylko refleksyjny Zachód, lecz także ognisty i fantastyczny Wschód stał otworem.

Mickiewicz, jak mówi Lucyan Siemieński, nie lubił między niebem a ziemią wieszać swoich kreacyi, a wszystkiemu, co wychodziło z pod jego pióra, zwykł był dawać grunt rzeczywisty. Takim gruntem, na którym się opiera „Farys“, jest postać Emira Tadż-Ul-Fechra (Wieńczysława). Nie mogąc wytrwać w dusznéj atmosferze ówczesnych europejskich stosunków a będąc z natury wielbicielem bezwzględnéj wolności, Wacław hr. Rzewuski szukał jéj na piaszczystych pustyniach Arabii. Taki poeta jak Mickiewicz, którego duch wzbijał się nad poziomy, nie mógł nie pojąć téj bujnéj natury, téj wyjątkowéj indywidualności, dla któréj w ciasnéj Europie brakło przestrzeni i powietrza. Odczuł ją i przeniknął swym lotnym umysłem, zespolił ze swemi własnemi porywami do czynu, do ideału, do lotu w otchłanie błękitu i oto jest cała geneza „Farysa“

---

(1) Tamże, str. 418.

w duszy naszego poety. Chcąc sprawiedliwie ocenić ten genialny poemat Mickiewicza, trzeba koniecznie wyjść z tego punktu widzenia.

Ponieważ krytyczny rozbiór „Farysa“ nie jest naszém zadaniem, należy nam w tém miejscu postawić kropkę. Musimy atoli jeszcze zaznaczyć, że cztery są wybitniejsze oceny „Farysa“: Bolesława Prusa w „Kraju“ (Nr. 46, r. 1885), Piotra Chmielowskiego w jego „Zarysie biograficzno-literackim“ o Mickiewiczu, Franciszka Próchnickiego w „Muzeum lwowskiém i nareszcie Bronisława Czarnika w „Ateneum“ (r. 1888, maj). Zapewne jeszcze niejeden krytyk (1) pokusi się dać nam nowe wyjaśnienie „Farysa“, przeto ośmielamy się dorzucić drobne swe spostrzeżenie, w nadziei, że i ono zostanie spożytkowane. Oto „Farys“ z „Szanfarym“ i „Almotenabbim“ ma jeden rys wspólny, którego nie można pomijać, a mianowicie we wszystkich tych trzech kasydach, poeta i bohater zlewają się w jedną osobę. W oryginalnéj jednak kasydzie Mickiewicza oba pierwiastki, podmiotowy i przedmiotowy, zlane są z sobą tak umiejętnie, tak szczęśliwie w jednę zgodną całość, iż doprawdy niepodobna powiedzieć, który z nich przeważa. Jeśli Mickiewicz w „Sonetach krymskich“ był tylko opisowym poetą wschodnim, to w „Farysie“ jest jednocześnie lirycznym i opisowym. A „Farys“ ten i owe „Sonety krymskie“—to perły przedziwnéj piękności, błyszczące nieśmiertelnym blaskiem w dyademie Mickiewicza.

Po „Farysie“ Mickiewicz nic już nie stworzył wierszem w stylu wschodnim, chociaż Wschód nie przestaje go wabić. W liście pisanym z Moskwy 3 kwietnia 1828 roku, zwierza się Tomaszowi Zanowi, iż ma projekt zrobić latem wycieczkę na Kaukaz lub do Krymu, co jednak nie doszło do skutku. Po wyjeździe za granicę, Mickiewicz nie zapomina w Wschodzie i kilkakrotnie zwraca tęsknie swe oko ku niemu. 6 lutego 1830 roku pisze z Rzymu do Lelewela: „Jeśli mi się uda coś napisać, na czembym mógł oprzéć nadzieje zasilenia funduszów, wtenczas puściłbym się daléj ku Wschodowi“. W liście znów do Aleksandra Chodźki w Persyi, którego żartobliwie nazwał niegdyś w Petersburgu kandydatem Wschodu i pierwszym aspirantem do haremu, pisze 9 października 1830 roku: „Kochany mój Derwiszu... kędyś wędrował? Niestety, tak jesteśmy ciemne niedowiarki, że nawet o tamtych prawowiernych krajach

(1) Najświeższą pracą, wykazującą okoliczności, wśród których powstał „Farys“, jest artykuł p. Romana Pilata p. n. „Geneza Farysa“, zamieszczony w II-m tomie. „Pamięt. Tow. lit. Mick. we Lwowie“, 1880. Przyp. Red.

wyobrażenia nie mamy!... Nam trudno wystawić i sposób i rodzaj wschodniéj włóczęgi". A pocieszając go w końcu tegoż listu cytuje: *Allah ekbir* (Bóg jest wielki). Myśl udania się na Wschód nie odstępuje naszego poety i w r. 1833, kiedy z Paryża 6 maja donosi Stefanowi Garczyńskiemu w Dreźnie: „Ja miałem projekta na Wschód: powierzam *tibi soli* i Edwardowi; ale pokój z Ibrahimem podobno mnie odejmie sposobność puszczenia się w tamte strony".

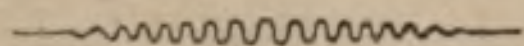
Ostatecznie skończyło się wtedy na projektach; poeta na Wschód się nie wybrał.

Do dwóch przekładów Mickiewicza rzeczy wschodnich, w r. 1830 w Rzymie przybył trzeci: mianowicie z świętéj księgi mazdeizmu irańskiego „Zend-Awesty" wytłómaczył niewielki ustęp p. t. Aryman i Oromaz", który daje wcale niezłe wyobrażenie, na czém się zasadza nauka perskiego proroka. Z czego dokonał tego przekładu, nie wiemy.

Gdy w kolei faz swego psychicznego rozwoju wszedł Mickiewicz w epokę nastroju religijnego, występuje w nim prawdziwy mąż wschodni, żywo przypominający proroków hebrajskich. Twórca dwóch hymnów, do Panny Maryi i świętego Ducha, w r. 1832 pisze stylem biblijnym. Ach! nietylko pisze, lecz w okresie swego duchowego przeistoczenia, gdy mistycyzm niby chmura czarna zawisł nad tym jasnym i trzeźwym niegdyś umysłem, Mickiewicz także przemawiał, wedle świadectwa Lenartowicza, stylem biblijnym, przypowieściami, nie nastrajając się sztucznie do téj formy. Słuchający go wtedy mazowiecki poeta przenosił się myślą na palestyńskie wybrzeża i na pustynię, którą przechodził lud wybrany.

Pomijając kwestyę dowodów znajomości Wschodu, złożonych przez Mickiewicza jako uczonego w kursach literatury słowiańskiéj, zaznaczymy tu jeszcze, iż ostatnie dni swego żywota spędził na Wschodzie. Ziściło się wtedy jego gorące pragnienie przyjrzenia się zbliska prawowiernym krajom wyznawców Koranu, ale ziściło się nie wydawszy żadnego owocu. Zresztą nasz Mickiewicz był już wówczas niepodobny do tego Mickiewicza, co deptał chmury na minarecie świata, wielkim Czatyrdachu. W Stambule lubił tylko odbywać samotne przechadzki na cmentarzach tureckich pod cieniem cyprysów, które jak w perskiéj elegii Chodźki, smutno wznosiły do góry kształty swych kolumn grobowych.

Gerard Uziębło.





MAREK CIUPAŁA.

(Dokończenie)

IV.

Uderzyły dzwony żałobnie—wypożyczony koń od Szymona powiózł sosnową trumnę na cmentarz wiejski. Ksiądz grób poświęcił, wpuszczono trumnę, grudki ziemi życzliwą ręką rzucone uderzyły o jéj wieko i zaczerniała nowa mogiłka na starym cmentarzu. A no—każdego taki koniec!

Wracał do dom ludek gromadnie a śpieszył, bo słońce chmurą się przykryło i drobny zaczął deszcz padać. Milczeli wszyscy, wychodząc z cmentarza; lecz gdy się znaleźli na drodze do wioski prowadzącéj, odezwał się jeden i drugi, coraz żywsza zawiązywała się rozmowa, tam i tam śmiéch zabrzmiał i gdy do wioskowych wrót dochodzili, gwarzono i śmiano się na dobre. Jeden tylko Marek szedł ponuro jak noc, koło niego stąpała Kaśka, rzuciła parę razy pytanie jakieś, ale mrukliwą otrzymała odpowiedź. Szymon jednak z siostrą nie odstępowali go tego wieczora na chwilę i uradzili, pomówiwszy z księdzem, że wesele choć ciche ale odbędzie się, bo chata potrzebuje gospodyni a Marek w żonie podpory. Odłożono ślub tylko na drugą niedzielę.

Późnym wieczorem, choć Szymon nie chciał puszczać, Marek wyszedł od narzeczonéj. Przeszedłszy próg swojéj chaty, wyciągnął się, ziewnął—parę razy wąs pokręcił i rzucił się całym ciężarem na ławę. Ognia nie zapalił, bo słabe światło księżyca przedzierało się przez lekkie chmury i oświecało izbę. Marek patrzył w to światło i cóś miarkował. Czasem mruknął: a no—tak! to znowu: nie babrać mi się w pracach! a nawet złe przekleństwo rodzonéj ziemi swojéj posłał, wreszcie powstał i powiedziawszy: raz kozie śmierć! z postanowieniem jakiémś wyszedł z chaty.

Ze świtem Kaśka zastukała do drzwi Markowych, ale nikt z wewnątrz nie odpowiedział. Do jednego, do drugiego okienka zajrzała—nie było w izbie nikogo; otworzyła drzwi i weszła do środka... pusto! Zdziwiła się, że Marek tak rano wstał, razem niepokój ją ogarnął. Gdzie by się podział? Pobiegła do brata. Szymon głową pokręcił i wyszedł na wieś języka dostać; ale nikt nic o Marku powiedzieć nie umiał, nawet Chaim, który już miód z Płocka przygotował, bo myślał, że Marek zechce robaka zalać, nie wiedział nic o nim. Trwoga ścisnęła serce młodéj dziewczyny, łzy mimowolne do oczu się cisnęły, ale Szymon kazał siostrze do chaty iść, by ludzie smutku jéj nie widzieli.

Tak dzień cały w niepokoju i niepewności upłynął.

Późnym wieczorem brat i siostra zasiedli do wieczerzy, lecz Kaśka kawałek chleba tylko zgryzła i odrobiną wody popiła, bo żałość jeść jéj nie dawała.

Nagle pies na podwórku zaszczekał, skrzypnęły wrota i stuknął kołek u drzwi w sieni.

— To pewno Bartek — odezwał się Szymon — miał przyjść do mnie.

Kaśka usta skrzywiła niechętnie; w tém drzwi się otwarły i na progu świetlicy stanął Marek. Z krzykiem dziewczyna skoczyła do miłego i przygarnęła się mu do piersi a i Szymon wstał z ławy.

— Wszelki duch—zawołał a gdzieżeś to się dziéwał? co z tobą było, Marku?

Marek dziwnie się zaśmiał i rzucając czapkę na stół, siadł na ławie.

— Miałem interes do miasta—rzekł głośno—przecie przed nikim opowiadać się nie potrzebuję, co robię i gdzie chodzę?

Nie podobała się Szymonowi ostra odpowiedź, ale zmilczał, żeby Kaśce przykrości nie robić.

— Nie dobry ty, Marku!—szepnęła dziewczyna.

— A to czemu—co?—zawołał, rozpierając się łokciami na stole i zwróciwszy głowę, patrzył na Kaśkę.

— Mnie straszno było, że ciebie nie widziałam dzień cały.

— Wilki nie zjadły—przyszedłem—widzisz!

Zapalił fajkę i puszczał kłęby sinego dymu. Oczy jego błyszczały dziwnie, uśmiechał się pod wąsem, żadnéj troski na twarzy widać nie było.

— Za tydzień nasz ślub—szepnęła znowu Kaśka.

— A ślub—wiem!.. obertasa zatańczym!

— Co znowu? przerwał Szymon—skrzypki bym wam z miasta sprowadził, gdyby żył Jur—a tak...

— Prawda!...—mruknął Marek i ładne czoło jego w dwie duże zmarszczyło się bruzdy.—Nie w porę zmarł mój stary, nie w porę!

Wziął do rąk czapkę i wstał.

— No, dobranoc wam!

Tu zwrócił się do Kaśki.

— Za tydzień nasz ślub—hooo! i jaki ślub!

Pokłonił się, wąs pokręcił i wyszedł.

— Co jemu?—pytało siebie rodzeństwo.

Kaśka uklękła przed obrazem Najświętszéj Panienki i modlić się zaczęła, Szymon zadumał się o czémś a Marek poszedł do Chaima i pił noc całą.

Ze świtem znowu Marka we wsi nie było—powrócił dopiero na dzień drugi i do Szymona zaszedł wieczorem. Na pytanie Kaśki: gdzie był? W mieście—odpowiedział; na drugie, co tam robił? Do ślubu-m się przygotowywał—odparł. Szymon coś niedobrego ze słów tych miarkował, ale Kaśka była szczęśliwa. Marek śmiał się głośno a dziewczyna rosła, że jakąś jéj niespodziankę gotuje.

Nadszedł wreszcie dzień upragniony, drużbowie i druchny postroili się jak maki polne, Marek nową kapotę wziął a podwórko i chatę wyporządził jak się należało. Radosny dzień!.. Organista miał zagrać na organach i jak anioł zaśpiewać, a żeby głos mieć dobry, zjadł przed tém pół kopy jaj na twardo gotowanych. Tłómaczył mu wprawdzie ksiądz proboszcz, że śpiewacy dla gładkości głosu, na miękko i to surowe jedzą jaja; ale Kokociński twierdził, że takie jaja dla kobiecego głosu tylko dobre, on zaś basem ma śpiewać, a do tego nie inne, jak gotowane na twardo są przydatne. Wszystko więc było gotowe, czekano jeno na Marka, który znikł gdzieś nagle.

Upłynęła jedna i druga godzina—pana młodego nie było. Zaniepokojony Szymon w różne strony się rzucił—na próżno! do późnego wieczoru czekano—Marek jak w wodę wpadł.

Kaśka uderzyla w płacz głośny i ręce załamała, dziewczęta trąciły się łokciami a pan Kokociński rozchorował się brzydko. Ksiądz proboszcz twierdził, że to od pół kopy jaj zjedzonych na twardo, ale on dowodził, że z żałości, iż nie mógł przygotowanym za pomocą tych jaj, głosem się pochwalić:

Noc nadeszła—Marka jak nie było tak nie było.

Zagadkowe to zniknięcie zaniepokoiło wieś całą, tém więcéj, gdy jeden i drugi tydzień upłynął, a o zaginionym znikąd nie dochodziła wieść żadna. Dopiero na początku trzeciego tygodnia zagadka się rozwiązała i zgrozą przejęła ludzi dobrych.

Z powiatowego miasta przybyli urzędnicy a z nimi z brzuchem okrągłym obca zupełnie figura, którą zwano Hansem. Wezwano świadków i Hans objął na własność ziemię Markową. Niegodziwiec zaprzedał Niemcowi ojcowiznę...

Kaśka myślała, że ją krew zabije, że serce pęknie w jéj piersi; Szymon, uspokoiwszy nieco siostrę na cmentarz poszedł, aż się zatrzymał u świeżéj Jura mogiły. Wiedział jak stary ziemię swoję miłował; wiedział, że grzechu takiego nie przebaczył by nigdy synowi.

— A leżysz spokojnie ty w grobie?—pytał w duchu, a nie marzy ci się sen jaki straszny?

V.

Wioska, którą tak niegodnie opuścił Marek, Jesionką się zwała i leżała daleko od miast wielkich i spory kawał drogi potrzeba było zrobić, zanim się do pierwszego lepszego dworca kolei żelaznéj dostało. To téż mieszkańcy Jesionki nie wiele świata widzieli a o główném mieście swojego kraju, Warszawie, mało mieli pojęcia. Wioska leżała wśród gruntów piaszczystych, przez które przepływała rzeczułka wąską strugą, wijąc się wśród łąki zielonéj. Za nią, krętym wężem, biegła droga i ginęła gdzieś w dali w borze sosnowym.

W nocy, która miała być nocą poślubną dla Kaśki, drogą tą szedł jakiś człowiek a szedł krokiem pośpiesznym, jakby go licho pędziło. Przy słabém półksiężyca światełku można dostrzedz było wysoki kapelusz o skrzydłach szerokich na tył pochylony głowy i pod baranim kożuchem granatową sukmanę czerwonemi wyszywaną sznurkami, z pasem skórzanym na biodrach. W ręku miał kij gruby, sękaty i buty palone na nogach. Wiatr chłodny wiał z północy i bawił się z dużemi wąsami mężczyzny, którego postać rosła odbijała się wyraźnie od tła ciemnego lasu. Na drodze świeciły małe kałużki błota i chlupały pod stopami idącego człowieka, połyskując co chwila jak kawałki szkła rozbitego niecierpliwą potrącone nogą. Był to Marek Ciupała; szedł szybko i mruczał pod nosem:

— Raz kozie śmierć!—a czy ja gorszy od Dyzmy, ażebym miał zapracowywać się na téj przeklętéj ziemi? Niech Niemiec sprobuje a zobaczy, czy złoto z piachów wyorze, czy lepsze będzie miał żyto odemnie? Pole Bartka to co innego... a mnie już tam nie wracać, skończyło się wszystko! Albo co? jak zrobił to zrobił—a co komu do tego? czy ja tam przyjaciół miał, czy co?.. Śmiano się tylko jak

się czasem w porze żniw zaspało!—kogo żałować i na co? mój stary zmarł... każdego kolej taka!... A no—tatulo mnie kochał...! warto byłoby choć krzyż na jego postawić mogiłce a potém pójść precz!

Zatrzymał się i zwrócił twarzą za siebie.

— No—szepnął—czasu nie stało! ksiądz i tak pomodli się za jego duszę, bo dobry był człek.

I szedł dalej.

Po chwili znów poruszyły się mu usta i szeptał.

— Kaśka może zwaryuje, bo miłowała mnie bardzo. Głupia dziéwka! Bartek by za nią w piekło poszedł, a ona do mnie się przyczepiła. Wolałaby Bartka wziąć...

Urwał nagle, stanął i wziąwszy się pod boki zawołał.

— Dla czego by wolała? a ja co?.. Gdybym chciał jéno, to niejednaby dziéwka piszczała jak mysz; ale nie chciał i koniec!... Szymon się sierdzić będzie za despekt wyrządzony Kaśce; oczy by mi wydrapał, gdyby zobaczył mię tu; ale nie zobaczy!

Tupnął nogą i głowę podniósł do góry.

— A jeżeli by zobaczył—to co?.. czy ja się Szymona boję? o-ua!

Splunął i ruszył z miejsca.

— Téj Kaśki trochę mi żal!.. ładna by jaskier a sama w dłoń się wsuwała jak jajko wielkanocne — a do tego miłowała mnie na śmierć.

Stanął i z jakąś trwogą obejrzał się do koła. Zdawało mu się, że echo to samo słowo powtórzyło tylko gdzieś, w głębi lasu, tylko głosem innym. Przeżegnał się i jakby uczuł zmęczenie nagłe, usiadł nad rowem.

— „Na śmierć!“ brzmiało mu w uszach — nasępił się i zadumał.

I stanęła mu przed oczyma łąka jego z krynicą u brzegu; widział Kaśkę jak pracowała, żnąc zboża liche, by tylko uśmiech na jego twarzy zobaczyć—a potém siedli na cembrzynie krynicy i w ciszy wieczornéj zadzwonił głos jéj czysty a poważny:

— Na śmierć!

Podali ręce—ona z radości się śmiała. Do chaty poszedł—stary mu o Janowéj gruszy gadał i ziemi świętéj... późniéj—ślub... ślub—Kaśka tak tego ślubu czekała a on uciekł, jak złodziej!

Zerwał się na równe nogi, uderzył kijem o ziemię i biegł prawie.

— Gdyby nie te przeklęte piachy—szeptał, — na których siejesz żyto a głupia trawa rośnie... możebym został...

VI.

Nad ranem dotarł Marek do dworca kolei, kupił bilet i choć z pewną trwogą, bo nigdy maszyną nie jeździł, wsiadł do wagonu. Uderzył dzwonek, przeciągły gwizd dał się słyszéć raz i drugi i pociąg ruszył. Marek stanął koło okna i patrzał z niepokojem na coraz szybciéj umykającą ziemię. Chwiał się jak pijany, wreszcie uśmiéchnął się, wziął pod boki i wyrzekł na głos:

— Niby ptak jaki leci!

Śmiał się do nowego życia, o którém tyle słyszał od Dyzmy, a celem jego marzeń była służba u grafa i surdut o złotych guzikach. Wiedział, że nie od razu taką służbę znajdzie, ale poczekać mógł, bo choć niewiele ze sprzedanéj ojcowizny zostało, miał jeszcze ośmdziesiąt rubli gotówką, i to grosz! Byłoby więcéj, lecz część pieniędzy w miasteczku przehulał, część znaczną zostawił na długi, które Hans do spłacenia przejął a resztę odstąpił ze sprzedażnéj ceny, bo Niemiec zwlekał, kupno chciał zrywać a Markowi się śpieszyło do miasta. Oddał więc ziemię ojców za byle co, tak go licho jakieś parło.

Pociąg szedł szybko, zatrzymywał się krótko przy stacyach i daléj gnał. Podobała się ta jazda szalona Markowi, był wesół i co chwila: „jak ptak leci!“ powtarzał. Około godziny drugiéj po południu pociąg do Warszawy się zbliżył.

Marek wypatrzył się na gród ogromny, rysujący się za Wisłą, co żółte fale toczy. Tu i tam wyskakiwały do nieba wieże świątyń, dachy kamienic się łamały i świéciły mu przed oczyma grą różnobarwnych kolorów. Lokomotywa zaczęła gwizdać przeciągle, pociąg w biegu leniwiał, coraz szedł wolniéj, wolniej... i stanął.

Warszawa!

Marek nie czekał, wyskoczył z wagonu szybko, wziął do rąk zawiniątko i ruszył przed siebie. Zatrzymał się dopiéro na moście żelaznym, łączącym Pragę z miastem. Dzień był pogodny, płowe fale Wisły z szumem rozbijały się o kamienne filary, na moście panował ruch i gwar, który ogłuszał przywykłego do ciszy wiejskiéj Ciupałę. Karety, dorożki, wozy ładowne, piesi i konni mijali się, co chwila, ale najwięcéj zastanowiły Marka grube, żelazne sieci mostu. Zbliżył się do sztab i palcem dotknął, późniéj ujął w dwie ręce i wstrząsnął z całéj siły.

— Mocny kat!—mruknął. Zmierzył oczyma wysokość mostu pokręcił głową i ruszył daléj ku miastu.

Zatrzymał się wkrótce, bo w oko mu wpadł stojący po prawéj stronie na wzgórzu, za mostem, gmach murowany, wspaniały zamek,

w którym niegdyś królowie Polski mieszkali. Wszedł na plac, zbliżył się do kolumny Zygmunta króla, zdjął czapkę, przeżegnał się i Krakowskiém-Przedmieściem podążył. Tu gwar miejski, turkot powozów i tłum przechodniów odurzyły go zupełnie. Nadeptywał na palce idących, a gdy chciał się usunąć, wpadał na nowych i rozbijał, wtém za sobą słyszy gwałtowne dzwonienie, spoziéra: po żelaznych rowkach sunie jakaś machina, napełniona ludźmi, a urządzono tak misternie, że jeden koń ją ciągnie. Zmiarkował od razu, że tu się gapić nie można, sunął więc naprzód, trzymając się murów, aż się zatrzymał koło posągu Kopernika. Ale Marek o Koperniku nie wiedział nic, wziął go za Ś-go Jana Nepomucena, uklęknął koło krat żelaznych, otaczających pomnik i modlić się zaczął.

Zaczęło zmierzchać, zabłysły wzdłuż ulic wszystkich światła latarni, a Marek chodził na lewo i na prawo, z placów na place, z ulic na ulice, dziwując się miastu wielkiemu, któremu końca nie było. Zatrzymywał się tylko czasem i przypatrując się długim szeregom domów, w różne rozchodzącym się strony.

— Niby las, niby las! — powtarzał.

Tak błądzącemu godzin kilka, na myśl mu nie przyszło, że czas już było o noclegu i wieczerzy pomyśléć. Ano, pieniądze miał niech się napatrzy i nadziwuje, przyjdzie i na to pora. Krążąc kółkiem, zatrzymał się na Marszałkowskiéj ulicy, a że brzuch na dobre o swoje dopominać się zaczął prawa, rozglądał się czy gdzie jakiego szynku lub czegoś podobnego nie zobaczy. Czytać trochę umiał, z uwagą więc przypatrywał się szyldom, głośno sylabizując napisy. Nagle ktoś go trącił, Marek rzucił okiem przed siebie i głową pokiwał.

Przed nim stał garbus, wzrostem dochodzący mu ledwie do piersi i to wraz z kapeluszem, który w tył nieco podany, siedział na głowie jegomościa. Marek mierzył z góry nieznajomego, ten zaś głowę zadarł i patrzał na Marka, by na wieżycę kościelną. Patrzyli tak chwilę krótką na siebie, wreszcie jegomość poruszył się niecierpliwie, bo Ciupała oczu z niego nie spuszczał i śmiał się cicho.

— I czego się śmiejesz?—zapytał nieznajomy.

— Chi-chi-chi! Pan taki malutki — odpowiedział Marek i śmiał się znowu.

— Mały czy nie mały, ale mogę się wam przydać, bo jak widzę, to pierwszy raz jesteście u nas.

— A no, tak!

— Czy szukaliście czego, żeście tak wodzili oczyma po domach, co? ja wam mogę usłużyć.

— Dobry pan! — pomyślał Marek i w krótkości opowiedział, co robi i czego szukał przed chwilą.

— Zjeść coś chcecie, a... a! — zaczął jegomość. — Podobaliście się mi bardzo, usłużę wam a że sam jestem głodny, zapraszam was na wieczerzę. Funda moja!

Przyczepił się do ręki Marka i zaprowadził go do restauracyi pod elektrycznością.

— Dobry człek! — myślał Marek — za własne pieniądze wieczerzę mi sprawi.

Długi salon, rząd stołów, białe elektryczne światło napełniły Marka niewymowną rozkoszą. Raju sobie nie mógłby inaczéj przedstawić, a tu jak na to odezwała się pod oknem katarynka walca grająca.

— Napijemy się wódki, po dwa kieliszecki, nie więcéj — odezwał się jegomość — zakąsimy śledzikiem a późniéj coś z mięsa, ha?

— A dawajcie ino, byleby było, co źréć — odpowiedział Marek i usiadł w kącie za stołem.

Lokaje przepasani białemi fartuchami, zwijali się szybko, przynosili wódkę, piwa; mały jegomość przy apetycie był, jadł za trzech, piwskiem popijał a nowe kazał potrawy przynosić. Nie odstawał od niego i Marek i rad był, że mu usługiwano. Kończył właśnie jedzenie, gdy garbus otarłszy serwetą rude wąsy, wstał i odezwał się półgłosem.

— Zostańcie chwileczkę, ja zaraz wrócę...

Nałożył kapelusz i wyszedł szybko.

Nie domyślał się Marek żadnego podstępu, siedział spokojnie i smaczne resztki połykał. Ale upłynęła godzina dobra a jegomość nie wracał; Marek całkiem zapomniał o nieznajomym, snując rozmaite na przyszłość zamiary. Z różowych marzeń obudził go głos lokaja, który stanął przed nim i zapytał.

— Panie, panie, a kto zapłaci?

Marek się obudził.

— O ten... — nie dokończył, bo na wskazaném miejscu nikogo nie było. Lokaj śmiać się zaczął.

— Płaćcie no sami, bo ten pan nie wróci.

— Dopiéro Marek zrozumiał, że na hultaja natrafił, ale że z natury był hardy i chciał się w wielkiém mieście dobrze popisać, przygryzł tylko wargi, wstał i zapytał:

— A wiele!

Sługa wyliczył po kolei wszystko i dodał.

— Dwa ruble, złotych cztery... — i parsknął śmiechem.

To się nie podobało Markowi, pieniądze na stół położył ale krew w nim zagrała.

— Czego się śmiejesz kozo? — zapytał.

— No, no! — odezwało się głosów kilka — płacić i fort!

— Co? — huknął Marek.

— Za drzwi!

Ciupała nie wytrzymał.

— Milcz, psiajucho! — wrzasnął — bo jak cię trzas...

Nie dokończył, rozległ się huk, brzęk rozbitego szkła, kilka par rąk za kark go pochwyciło i ani się spostrzegł jak na ulicę wyleciał. Nie koniec jednak nieszczęściu. Wyrzucony siłą ramion kilku, wpadł na jednego z przechodniów i z nóg zwalił, a chcąc znaleść utraconą równowagę chwycił w objęcia pierwszy lepszy przedmiot znajdujący się przed nim na drodze. Przedmiotem tym była jakaś niewiasta, która strwożona i zduszona w objęciu Marka, wrzasnęła strasznie. Zrobił się tumult, tłok: „trzymaj! łapaj!“—zabrzmiało do koła. Strach jakiś Marka ogarnął, opędzał się jak wilk przez psy goniony i sadził naprzód, aż wpadł w ramiona stójkowego.

— Stój! — zawołał stróż porządku, i chwycił go za ręce.

— Z drogi! — huknął Marek — bo jak cię trzas...

I znowu nie mógł dokończyć, trzech stójkowych chwyciło go za ramiona i do cyrkułu zawiodło.

Niepożądany wprawdzie wynalazł dla siebie Marek nocleg, lecz oprzytomniawszy, położył się w kącie ciupy i spał do dnia białego.

Nazajutrz wypuszczono go z zamknięcia. Rzecz się wyjaśniła, papiery miał w porządku, wyszedł więc znów koło godziny dziesiątéj rano na miasto, rozglądając się na wsze strony, czy swojego jegomościa gdzie nie spotka.

— A psia krew, biesi syn!—mruczał, targając wąsy. — Nie pokazujże mi się teraz, hyclu, bo wszystkie ci kości połamię!

Nasunął na głowę kapelusz i zaczął kołować po hałaśliwém mieście, miarkując co z sobą począć.

Kręcąc się tam i sam, zaszedł na rynek Starego-Miasta. Na targu kupił kawał chleba, w szynku wypił spory kielich wódki i kiełbasą zakąsił, i ruszył daléj na opatrunek miasta. Pieniądze w kalecie były, nie miał się jeszcze czego obawiać.

Tak zaszedł na ulicę, „Krzywém-Kołem“ zwaną. Na samym zakręcie spotkał swojego garbusa, i nim ten się opamiętał, Marek za ramię go chwycił. Jegomość zbladł, lecz w jednéj oprzytomniał chwili, zaczął się śmiać serdecznie i krótkiemi rękami chwycił

Marka za biodro. Ten śmiéch zbił z tropu Ciupalę. Wytrzészczył oczy i ogłupiały na śmiejącego się patrzał garbusa.

— A cha-cha! — śmiał się jegomość.—Powiedz mi przyjacielu co? jak było..?

Marek nie wiedział sam, co miał sądzić o garbusie, podrapał się w głowę i opowiedział rzecz całą.

— A bodaj was! — wołał jegomość, śmiejąc się i obejmując Marka po biodrach.—Gdybyście jeszcie maluśką chwileczkę poczekali, wróciłbym. Samiście winni, przyjacielu! Interes ważny zatrzymał mię nieco a gdy do restauracyi przyszedłem, opowiedzieli mi wszystko... Cha! cha! cha!...

Śmiał się i macał Marka po sukmanie.

— No wybaczcie... i... do widzenia!...

Zawrócił się szybko, wpadł w bramę jakiejś kamienicy i zniknął.

Marek nic nie rozumiał, splunął i wolnym krokiem iść zaczął, nie dawały mu tylko spokoju dotknięcia rąk garbusa, któremi macał go po biodrach i po sukmanie suwał. Nagle stanął i ręką sięgnął do kieszeni. Zbladł, piersiom tchu zbrakło. Połowy pieniędzy, które miał zawiązane w supełek kraciastéj chustki, nie było.

Blady, nieprzytomny stał chwilę o mur oparty, a łzy mu ciekły po twarzy. Lecz w wielkiém mieście bywa różnie: złe i dobre plącze się razem, jak oset z ziarnem pszeniczném. Zbliżyła się do niego jakaś staruszka i poprowadziła za sobą.

Gdy Marek z pierwszéj boleści do siebie przyszedł, znalazł się w izbie jakiejś, czarnéj, małéj, o jedném okienku wychodzącém na dachy Starego-Miasta. Mieszkała tam na strychu biédna kobiéta, praczka, ale bardzo dobrego serca. Zaledwie Marek oprzytomniał, jak stara zaczęła go rozpytywać, nalegając, by mówił o nieszczęściu, jakie go spotkało. Nie wahał się, opowiedział wszystko a starucha zatrzymała go u siebie, dopókiby zajęcia jakiego nie znalazł.

Ale nie łatwo to o pracę w mieście wielkiém, gdzie więcéj ludzi niż chleba, nie śpieszyło się zresztą Markowi do niéj, o grafskiéj służbie myślał, o Dyzmie, którego spotkać nie mógł, a że z parę dziesiątków rubli miał jeszcze, nie szukał jéj nawet.

Zawitała zima, duże śniegi opadły, dnie za dniami biegły szybko, jak fale wiślane, i grosz za groszem z kaléty wysuwał się Markowéj. Starucha napędzała go do pracy jakiéj, ale Ciupała wyciągał się, ziéwał i wiosny czekał. Przyszły Święta Bożego-Narodzenia, smutne święta, które musiał sam przepędzić na strychu z kobieciną swoją. Nigdy Marek tak markotny nie był jak w dzień wigilii. Na myśl mu przyszła Jesionka, Kaśka i Szymon, stary oj-

ciec stanął mu przed oczyma i smutno patrzał na niego. Marek ze zmartwienia się upił, za co połajała go stara Joanna, praczka.

Nadeszła wiosna zimna i chmurna jeszcze, staruchy jego niestało. Położyła się spać wieczorem a na dzień trzeci na cmentarz pojechała; Marek ostatni grosz na pogrzéb wydał i wynieść się musiał z izdebki na strychu. Lecz łatwiéj było już mu się obracać w mieście, które dobrze poznał, znalazł liche zajęcie przy fabryce jakiéjś i rad nie rad pracować musiał, by z głodu nie zamrzéć.

Dni stawały się coraz cieplejsze, rozkwitały drzewa, niebo w błękitną szatkę się przyodziało. W chwilach odpoczynku Marek wychodził z fabryki, siadał na podwórku na klocu sosnowym i o skowronkach myślał, które nad polami w Jesionce śpiéwać musiały. Pracował ciężko ale widział, że nie zarobi na czarną godzinę nic, smucił się więc bardzo i wzdychając ciężko „dolo moja, dolo!“—powtarzał.

Tak upłynęło trzy lata, dużo się napracował i nacierpiał Marek. Polenił się w pracy, wypędzili; oburzył się, gdy mu grube słowo powiedziano, wypędzili i nie dopłacili jeszcze.

Z wiosną, na początku roku czwartego został znów bez miejsca. Zdarła mu się sukmana, łatał ją i łatał a nowéj nie było za co kupić, wałęsał się więc po mieście, to rowy kopiąc, to deski piłując i zarabiając tyle, by ciężki dzień przeżyć.

Razu pewnego, późnym wieczorem, siedział pod parkanem na Czerniakowskiéj ulicy i „doloż moja nieszczęśliwa“—powtarzał, gdy stanął przed nim jakiś jegomość stary, ubrany z pańska i temi słowy zapytał:

— A co tak lamentujecie człowiecze?

Marek się podniósł, wyprostował, a choć wiele przecierpiał, nie stracił nic ze swojéj pięknéj postawy. Nieznajomy zmierzył go od stóp do głowy i szepnął do siebie.

— O to mi chłop, o to-to-to!... No, czego lamentujecie?—rzekł w głos.

— Służby szukam — odpowiedział Marek.

— U-m, u-hm! — szepnął stary jegomość — a co umiész?.

Markowi raźniéj się zrobiło, pokręcił wąsy i rzekł z dobrą miną.

— Wszystko, ino na organach nie gram.

Stary jegomość uśmiéchnął się.

— A końmi wozić, umiész?

— O ho-ho!—huknął Marek— u dziedzica w Jesionce trzy lata byłem za fornala.

— Papiéry masz?

— I paszport i metryka.

— Chodź ze mną — rzekł stary — dam ci służbę u grafa Firskiego.

Marek jak długi rymnął do kolan jegomościa i ściskać zaczął.

— Człowiecze... kości połamiesz! — wrzasnął stary.—Choć ze mną, dam ci służbę u grafa, spraw się tylko dobrze...

Marek podniósł się z klęczek, dawny powrócił mu humor, uśmiechał się, promieniał. Służba u grafa! nakoniec. . nakoniec! Hu-ha, krzyczałby, gdyby nie obecność starego pana, który dreptał szybko koło niego i szeptał do siebie półgłosem.

— Niedźwiédź! jak Pana Jezusa kocham, niedźwiédź!

Wodził oczyma po Marku, od stóp do głowy go mierzył i mruczał daléj:

— Wzrost ma wieży na filtrach, pierś jak wrota grafskiego pałacu, a kark niby w pobernardyńskim kościele arkada...

— Słuchaj ty—zawołał, zwracając się do Marka. — Ja się nazywam Marszałkiewicz i jestem marszałkiem u grafa. To wielki urząd! Rządzić domem, wynajdywać mu służbę i inne rzeczy robić, to moja rzecz. Będziesz miał stół, kwaterę, ubranie i piętnaście rubli pensyi miesięcznie, do tego prezenta. Podobaj się grafini, sprawiaj się dobrze, a powinieneś się sprawiać... wyśmienicie!

Marek oniemiał. Stół, kwatera, ubranie, prezenta i rubli piętnaście na miesiąc. Toć w rok zbierze grosiwa więcéj, niż Niemiec za ojcowiznę mu dał. Niech pluder grzebie się w piachach, on dopiéro u grafa żyć zacznie... I wygnał znowu z pamięci Kaśkę, Szymona i Jesionkę całą. Kręcił wąsy, pod boki się brał i szedł dużemi krokami.

Skręcili na ulicę Piękną i weszli do okazałego gmachu. Marszałkiewicz kazał się zatrzymać Markowi w bocznéj sieni, sam zaś do grafa na górę poszedł. Po chwili wrócił i wprowadził Marka za sobą.

Marek stanął w drzwiach grafskiego gabinetu głową niemal równał się z niemi a ramionami zakrywał je prawie. Rzucił okiem dokoła i postanowił nowemu podobać się panu.

Pan graf siedział w głębokim, aksamitnym fotelu, jedną ręką o poręcz, drugą o stół wsparty. Był słuszny, twarz miał bladą, wyglądał jakby długą chorobą zniszczony. Opodal siedziała grafini, młoda, trzydziestoletnia kobiéta; włosy miała jasne, oczy siwe, nos duży i usta tłuste, wydatne bardzo. Nieładną była, szkarłatny rumieniec tylko ożywiał matową jéj twarz i palił się na zwiędłych jagodach. Przymrużonemi oczyma patrzyła na stojącego w drzwiach Marka a uśmiéch zadowolenia co chwila na ustach jéj się pojawiał. Marszałkiewicz stał za fotelem pani, mrugał, poruszał szybko powiekami i czmychał nosem.

— Masz być u mnie stangretem — odezwał się graf?

Marek wypatrzył się i skłonił do ziemi.

— Co to za zwirz proszę jasnego pana? — zapytał.

Marszałkiewicz czmychnął nosem a graf obrócił się do żony i rzekł cudzoziemskim językiem.

— Głupi chłop!

— Ale dorodny — odszepnęła prawie do siebie grafini.

— Pan marszałek mówił, że u jasnego pana za fornala mam stanąć — odezwał się znów Marek.

— Dla siebie fornalem a dla mnie stangretem będziesz—rzekł graf.

— To wszystko jedno — dodał Marszałkiewicz.

— Ano, tak, to dobrze — odpowiedział Ciupała.

— Powozić umiesz? — zapytał znów hrabia.

— Oho, jasny panie! i dwójką i czwórką, jak się podoba.

— Z biczem obchodzić się potrafisz?

— Jak trzasnę, to ino patrzyć, by gdzie szybka z okna nie wyskoczyła — zawołał Marek.

— Nie trzaskaj tylko tak zawzięcie, bo tu, to nie wasza wieś; ale... podobasz mi się. Imię? — zapytał graf...

— Czyje, jasny panie?

— No, jużci, że twoje, gapiu!

— Marek, a po ojcach Ciupała.

— Będziesz nazywał się Dżon — rzekł graf — ruszaj!

Marek z nogi na nogę przestąpił.

— Kiedy, jasny panie, ksiądz Kopyciński Markiem mnie chrzcił.

— A ja ciebie chrzczę Dżonem, marsz!

Nie było co długo gadać. Marek się ukłonił do kolan i wyszedł, dziwiąc się, że graf nawet jak ksiądz chrzcić może.

Marszałkiewicz wskazał mu mieszkanie koło stajni, dokąd Marek się udał i przyjemnie był ździwiony, widząc izbę dużą, czystą i stolik i krzeseł parę i miękkie łóżko z pierzyną pod ścianą— bal nie brakło nawet i blaszanéj do umywania się miednicy i lusterka w czarnéj ramce przy oknie.

— Królowanie!—zawołał, pod boki się biorąc. Cisnął z radości wiejski swój kapelusz o ziemię, tupnął nogą o drewnianą podłogę, że o mało wióry z niéj się nie posypały.

Po chwili wszedł pan Marszałkiewicz ze służącym, który niósł coś w zawinięciu.

— Ubranie dla ciebie — rzekł do Marka. — Buty ze sztylpami, kapelusz stósowany, spodnie obcisłe, kamizelka i frak.

Sługa rozwiązał pakunek, w oczy Marka złote błysnęły guziki. Z gorączkowym pośpiechem zrzucił granatową sukmanę, zwinął i w kąt cisnął, to samo z butami i szarawarami zrobił i począł śpiesznie w nowy odziewać się strój. Nie szło mu to składnie, ale wreszcie się ubrał. Włożył na głowę kapelusz, nastrzępił ulubione wąsy i obejrzał się. Gniotło go tu i tu—zdawało się, że lada chwila frak lub spodnie pękną.

— Stój równo—odezwał się Marszałkiewicz.—Obróć się!.. Maniery dobre, tylko palców nie rozczepiérzaj—trzymaj tak!.. o—zupełnie inaczéj wyglądasz!.. bardzo dobrze!

Obrócił się i wyszedł ze służącym.

Nie upłynęło pół kwadransa jak zjawił się golibroda. Dobył brzytw, ręczniczek—rozrobił mydło i prosił Marka, żeby usiadł.

— A to co?—odezwał się zaniepokojony Ciupała.

— Pan graf kazał was ogolić.

— Po kiego licha? — zawrzasnął prawie Marek, chwytając się za ukochane wąsy.

— Graf kazał, to słuchać—rzekł przybyły—musicie wyglądać po angielsku.

Nie było rady, Marek usiadł i wąsy precz poszły a po brodzie, która twarz jego okalała, zostały tylko z obydwóch stron policzków, przy saméj skórze obcięte, wązkie paski zarostu.

Dopełniwszy operacyi, golibroda zebrał swoje narzędzia i wyszedł...

Marek macnął się parę razy ręką po twarzy, pokręcił głową i podszedł do wiszącego na ścianie zwierciadła.

— Panie Jezu Nazareński! wrzasnął na głos—i to ma być po anielsku?!.. zaczął skubać pod nosem ale na wardze jednego włoska nie było. Po chwili wszedł znów Marszałkiewicz, przyniósł mu kawałek aromatycznego mydła i kazał do wanny iść.

VII.

Przyzwyczaja się człowiek do gorszego licha, łatwo się więc Marek do fraka i gołéj twarzy przyzwyczaił. Służba u grafa nie ciężką była, wolnego czasu miał dużo, ćmił więc papierosy i wieczorem na ulice wychodził, bo już się zapoznał z niewiastami, co to same na mężczyzn mrugają. Wszystko, co przecierpiał—zła dola i nieszczęścia różne, Kachna, Szymon i Jesionka cała wypadły mu zupełnie z pamięci. Używał świata i woził grafinię na spacery,

bo graf rzadko kiedy z domu się ruszał, chorobę jakąś mając w nogach. Grafini była dla niego dobra, bardzo nawet dobra, dowiedział się wprawdzie z czasem, że Niemkinią była, ale co mu do tego! Przed grafem stał wyprostowany, „tak“ lub „nie“ kazano mu tylko mówić, każdy ruch, ręki grafa był zrozumiany. Łają, słusznie czy nie słusznie—milcz! a choćby cię i durniem potraktowano, dziękuj jak byś marcypana zjadł kawał. Marek nie robił inaczéj—jakby się natura w nim odmieniła odkąd wziął na siebie frak ze złoconemi guzikami. Gwałtowny, impetyk—teraz w milczeniu spełniał wszystkie rozkazy. Graf powié precz—to precz! odwracał się i wychodził, nie zaciskając nawet pięści. Za to grafini była jak anioł dobra. Bardzo często przychodziła do stajni, bo konie lubiła, zauważył tylko Marek, że świdrowała go siwemi oczyma, zatrzymując długie spojrzenie na ramionach, piersi, to biodrach jego. Raz nawet pogłaskała go po tłustym podbródku, dała w prezencie mydło pachnące i dziwne jakieś rzeczy gadała. Miarkował coś Marek, ale bał się myślić o tém, co mu czasami do głowy właziło. Marszałkiewicz raz go zapytał, czy ładną mu się wydawała grafini? musiał powiedziéć, że ładna, choć ani umywała się do Kaśki.

Tak upłynęło trzy miesiące. Przez ten czas Marek się upewnił, że grafini czułém okiem patrzyła na niego. Razu pewnego przyszła do stajni i na gładkiéj pośliznąwszy się drodze, upadła. Kazała Markowi siebie podjąć i gdy on ją objął, skręciła się w ramionach jego, zatrzęsła się i dziwnie się jakoś ku jego piersiom garnęła.

— A no — pomyślał był raz...

Nie długa czekał.

Przyszła grafini do stajni przypatrzyć się nowo kupionéj klaczy i mówić z nim zaczęła. Gadała długo nakoniec zakończyła temi słowami.

— Czy ty mnie rozumiész—Marek?

Marek nic nie opowiedział, ale błysnął oczyma jak wilk. Grafini się uśmiechnęła, pogładziła go po podbródku i rzekła świdrując go wzrokiem.

— Mam do ciebie bardzo pilny interes, Marek! Dziś o jedenastéj godzinie wieczorem przyjdziesz do mego pokoju. Pamiętaj, Marek, przyjdź! Drzwi będą pootwierane...

Podała mu rękę chudą, którą Marek wycałował jakby miodem posmarowaną była.

Grafini wyszła szybko. Ciupała pod boki się wziął i pomyślał, że i Dyzmie nic podobnego się nie przytrafiło. Poszedł do wanny, wykąpał się, wyszorował pachnącém mydłem i czekał wieczoru.

Gabinet grafa od sypialni grafini oddzielony był dwoma pokojami. Marek znał już wszystkie chody, wiedział na jakiém miejscu jaki sprzęt stał.

Godzina jedenasta wybiła—pan Marszałkiewicz służbie całéj pozwolił pójść do teatru na komedye, sam zaś zamknął się u siebie na cztery zamki i spał bardzo mocno.

Schodami wysłanemi miękkim dywanem, szedł Marek na górę. Nie spodziewał się jednak, ażeby tak silnie biło mu serce i jakiś przestrach głupi nogi mu plątał. Ale grafini czekała, interes miała pilny, iść trzeba było. Im bliżéj do drzwi, tém chwiał się coraz więcéj; w gębie mu śliny zabrakło, że parę razy w kułak odkaszlnąć musiał. Jeszcze jedne... ostatnie—otworzył i wszedł. W pokoju było ciemno.

— To ty?—szepnął głos jakiś.

— A no—tak! zagłośno nieco odpowiedział Ciupała.

— Cicho..! na prawo idź—na mój się głos kieruj!

Marek się zwrócił i duży zrobił krok.

Wtém dał się słyszéć stuk okropny i brzęk tłuczonego szkła. Grafini wrzasnęła przeraźliwie—Marek skoczył i nastąpił na rozbite naczynia które zgruchotane, pod jego stopami zgrzytnęły. Nagle z przyległego pokoju drzwi się otwarły i z lampą w ręku, stanął w nich—graf.

— Złodziéj! krzyknęła grafini, ratując już siebie i do ramienia grafa przypadła.

Była chwila straszna.

Koło wywróconego stołu, między szczątkami pogruchotanéj porcelany, stał Marek blady i trząsł się jakby go zimnica napadła—naprzeciw niego graf z oczyma wypatrzonemi, które świeciły jakby kto żar w nich rozdmuchał. Nagle w oczach Marka zaćmiło się i jakieś ciepło uczuł w twarzy—to ciężka ręka grafa na jego spoczęła policzku.

W żyłach Markowych zawrzała dawna krew; już miał czémś strasznem odpłacić, lecz spostrzegł wyciągniętą, rozkazującą rękę pana, by precz szedł a złote guziki fraka zamigotały mu w oczach. To nie jego sukmana—strój inny i on inny...! Obrócił się i wyszedł.

Nie szedł, lecz leciał jak szalony. W głowie mu się kręciło jakby ktoś tam duże, młyńskie koło włożył i na gwałt niém obracał, rwał włosy i nieprzytomny do swojéj izby wleciał. Twarz go bolała strasznie, przyłożył dłoń do niéj i ryknął jak zwierz. Nikt dotąd tknąć go nie śmiał—w Jesionce wiedziano, że żebra by wszystkie połamał temu, na marny proch starł—a tutaj? Szarpnął poły fraka aż guzy zerwały się i z brzękiem potoczyły się na ziemię.

Skrzypnięcie drzwi wróciło mu przytomność, obejrzał się—na progu stał pan Marszałkiewicz. Poważnie dłoń wyciągnął i wręczył papier jakiś.

— Pan graf rozkazuje ci zaraz precz iść: grafini od więzienia cię uratowała. Oto twój pasport!

Obrócił się i wyszedł krokiem poważnym.

Drżącemi rękami Marek wziął swój dokument, rozwinął i dostrzegł napis jakiś grubemi postawiony literami. Zbliżył się do lampki i czytał:

— Wydalony ze służby—za złodziejstwo!..

Stłumiony głos, jakby charkotanie duszącego się człowieka, z piersi mu wypadł—porwał się za głowę i czołem o mur palnął.

Leniwy był, ciężki, do pracy nie skory, ale złodziejem nie był. Nikt tego nigdy powiedzieć, w Jesionce pomyślić nawet nie mógł.

Ryknął płaczem aż małe szybki w oknach zadźwiękły dwa razy.

— Do wioski mojéj, do Kachny, do Szymona!—wołał przez łzy i darł na sobie ubranie, ciskał na ziemię i deptał. Nagle wzrok jego padł w kąt izby, gdzie zapomniana oddawna, przesypana pyłem, granatowa jego sukmana leżała. Wyciągnął ręce jak dziecko do dawno niewidzianéj zabawki, chwycił wieśniaczy swój strój, do piersi, do ust przytulił i płakał gorzko. Jak przed trzema miesiącami z pośpiechem nakładał frak o złoconych guzikach, tak teraz grube swoje nadziewał buty, sukmaną się otulał, otrzepywał z pyłu kapelusz swój spłowiały. Ubrał się, wstrząsł się z siły całéj, jakby się bał, by jeszcze coś nie jego na nim zostało—i o dziwo! poczuł się znów hardy, silny i pewien siebie.

— Sukmano ty moja—szeptał, krokiem szybkim przebiegając dziedziniec grafskiego pałacu—gdybyś ty była ze mną... tam! nie paliłaby takim ogniem twarz mi teraz. Do Kachny, do Szymona—wołał w duchu i biegł jak opętany.

VIII.

Śliczną jest ta pora letniego poranku, kiedy słońce jeszcze nie zeszło a noc umyka. Na rozjaśniającym się co chwila błękicie pokazują się jakieś srebrzyste obłoki i płyną cicho albo nieruchomie stoją na niebie, zapatrzone w niewidzialne jeszcze dla ludzi słonko. Cisza i spokój do koła—rosy się srebrzą i duże jak perły na trawach zielonych siedzą. Co raz jaśniéj—jaśniéj—jaśniéj... Zbudź się śliczna ziemio—już czas!.. I ziemia się budzi, wzdycha cichym szelestem drzew, w tęczowe szaty się ubiera i szepce pacierz swój poranny głosami stworzeń wszystkich.

Krokiem szybkim, znajomą dobrze sobie drogą, szedł Marek przez las sosnowy. Noc umykała przed blaskiem dziennym, na dolinach słały się mgły--budziła się ziemia.

— Do Kachny! do Szymona!—szeptał Marek.—Lat cztéry ich nie widziałem—czy poznają? czy poznać zechcą?.. Kachna pamiętać musi—powiedziała: na śmierć! Szymon przebaczy, bo siostrę kocha—zaśpiewają drużki, zagrają skrzypki weselne...

Tak szedł i marzył tak. Zdawało mu się, że niedawno, ot—wczora jak ich porzucił; że czas się zatrzymał i czekał tylko na jego powrót. Las się kończy, daléj droga ząkręci się wężem... chwilkę, malutką chwilkę—zobaczy łąkę swoję, Janową gruszę i z téj krynicy, co stoi na łące, srebrnéj napije się wody. Przycisnął dłonią serce, by mu przed czasem nie pękło, i biegł szybko.

— Jesionka! — krzyknął nagle — i grusza stoi Janowa i łąka i krynica moja!..

Zapomniał, że nie miał już nic swego.

Jednym skokiem przesadził rów i stanął pod gruszą. Wytężył oko, ucho nadstawił i patrzał i słuchał.

W cichém, poranném powietrzu zabrzmiał głos jakiś — to dzwon kościelny zakołysał się a echa mu przygrywały. Zakwiliły w zbożu przepiórki, koniki zazgrzytały, wiatr ciepły zieloną trawą poruszył. Nagle blask jasny ziemię oblał, zazłociły się błękity... Słońce weszło!

Marek ukląkł, wyciągnął ręce ku rozjaśnionym niebiosom i modlić się zaczął.

W tém zdaleka zadzwoniły ostrzone kosy, zabrzmiały pieśni dziéwek, które z sierpami na pole wyszły. I zaroiło się na łanie Bartkowym.

Marek spojrzał... Ba! pszenica jak las, jest nad czém pracować.

— A u mnie?..

Spochmurniał nagle.

On, ziemi nie miał!

— Ha! piachy były!—szepnął—ale łan jego tuż, z Bartkowym łanem graniczył... Czy to—to jego pole?

Pobielał i trząść się zaczął.

Duże kłosy pszeniczne złociły się w słońcu i chwiały się z wiatrem czyste, bujne, równe...

Podbiegł, zatrzymał się, znów podbiegł. Przypadł do ziemi, garść piasku chwycił... Piasek był tłusty: Niemiec pracy nie żałował, polewał ubogą ziemię potem własnym i... złoto wykopał.

— Jezu, Jezu Nazareński—szeptał Marek—to ojcowizna, to ziemia moja! a ja za marny grosz ją zbyłem!

Załamał ręce i oparty o cembrzynę krynicy stał jak słup nieruchomy.

Nagle za sobą, posłyszał śpiew, znajomy tak dobrze. Oprzytomniał, skoczył za gruszę i skrywszy się za jéj pień duży, patrzał i słuchał.

Z drewnianemi wiadrami szła Kaśka do krynicy po wodę, za nią szedł Bartek, niosąc dzieciątko na ręku...

Marek krzyknął okropnie, poczerwieniał, spąsowiał, w granat się zamienił... zacharkotał strasznie i padł.

Po tym krzyku poznała Kaśka głos dawniéj jéj miły, podbiegła, zaczęła wołać, trząść—ale Marek nie odezwał się.

Do dom odprowadził Bartek żonę i nie prędko ją uspokoił. Zbiegli się ludzie—poznali, a Szymon rzekł do gromady:

— „Żałował ziemi swojéj potu i krwi—i krew go zabiła!“

Kazimierz Gliński.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

A. Herzen. Grundlinien einer allgemeinen Psychophysiologie. Leipzig. 1889.

Jakkolwiek psychologia fizyologiczna może się już poszczycić sporą literaturą, dotąd przecież nie posiadała ona ani jednéj pracy i wyłącznie jéj uogólnieniom poświęconéj i wszystkie te uogólnienia obejmującéj: dotąd literatura psychofizyologiczna nie posiadała ogólnéj psychofizyologii. Praca, którą mamy zamiar poddać rozbiorowi, wypełnia brak dotychczas istniejący. Jéj autor postawił sobie za zadanie utrwalenie gruntu dla psychologii fizyologicznéj i wyhodowania na nim całości nauki, zamierza zatém utrwalić jéj podstawę a z utrwalonéj podstawy wyprowadzić na drodze dedukcyjnéj całość nauki, jako ogół nieuniknionych jéj wniosków.

Całą „psychofizyologią“ Herzena możemy sobie bez względu na ilość jéj rozdziałów podzielić na trzy części: w pierwszéj wskazał autor zasadnicze twierdzenie psychofizyologii i starał się je utrwalić zapomocą pośrednich i bezpośrednich dowodów; część druga zawiera wszystko to, co bezpośrednio wynika z założenia owego; część trzecią poświęcił autor świadomości. Rozpoczynamy od streszczenia pracy, krytykować będziemy późniéj.

Wszystkie poglądy na świat dają się, zdaniem autora, rozłożyć na dwie grupy: na monistyczne i dualistyczne. Poglądy monistyczne na wszechświat uważają wszystkie zjawiska za objawy jednéj istności, poglądy zaś dualistyczne rozróżniają dwie istności: siłę i materyę, ciało i duch itp.

Ażeby módz rozstrzygnąć, który z tych dwu poglądów jest słusznym, trzeba te istności znać — zdaniem autora — bo bez tego nie możemy określić ich liczby. Tymczasem i nie znamy ich i znać nie możemy, bo o tém, co powszechnie nazywa się światem zewnętrznym, bezpośrednio nic nie wiemy, pośrednio znamy go tylko zapomocą czuć naszych. Prawdziwości tego twierdzenia dowodzi autor w następujący sposób.

„Co to jest ruch? (str. 15). Czém jest w swojéj istocie, tego zgoła nie wiemy, wiemy tyle tylko, że ruch jest dla nas szeregiem następujących po sobie czuć". Nadto, wiemy jeszcze to tylko, że czucia te mogą być różne. I tak ruch może być albo szeregiem czuć dotykowych, jeżeli obce ciało dotyka się różnych miejsc ciała naszego, albo szeregiem czuć mięśniowych, jeżeli ciało nasze zmienia swoje względne położenie bez dotykania ciał obcych, albo szeregiem czuć wzrokowych, jeżeli patrząc nieruchomie, widzimy, że ciało jakieś obce zmienia swoje położenie względem innego. Obok tego może ruch być szeregiem czuć dotykowych i mięśniowych, jeżeli ciało nasze, zmieniając względne swoje położenie, dotyka się ciała obcego w różnych miejscach, albo szeregiem czuć mięśniowych i wzrokowych, jeżeli widzimy nasze ciało, zmieniające względne swoje położenie, albo nareszcie szeregiem czuć dotykowych, mięśniowych i wzrokowych, jeżeli widzimy ciało nasze i zmieniające względne swoje położenie i dotykające ciała obcego w różnych miejscach.

A cóż to jest materya? Czy także czucia tylko? Na to pytanie różni odpowiadają różnie. „Jedni (str. 16) odrzucają istnienie eteru i mniemają, że się bez niego — objaśniając zjawiska—wybornie obejść potrafią; inni odrzucają istnienie materyi ważkiéj, a przyjmują tylko istnienie eteru, sądząc, że przy jego tylko pomocy wszystko równie dobrze wytłómaczyć potrafią, jak zwolennicy materyi ważkiéj; większość uczonych skłania się do przyjęcia i eteru i materyi ważkiéj. Tak, ale cóż to są te atomy?" Jedni uważają je za absolutnie niepodzielne; inni właśnie za absolutnie podzielne a więc za podzielne do nieskończoności; pod każdym względem środka się trzymający twierdzą, że atomy nie dają się podzielić, ale tylko istniejącemi środkami. Obok tego, już nie ze względu na podzielność, ale ze względu na materyalność atomów, jedni uważają je za cząstki materyi; inni za niemateryalne ośrodki siły a więc monady dynamiczne; zajmujący i w tym razie stanowisko pośrednie uważają atomy za punkty matematyczne o charakterze materyi. I cóż pozostaje z tego chaosu wprost przeciwnych i nie dających się pogodzić zapatrywań na materyę? „Jedynie (str. 17) i wyłącznie opór, jaki stawia ruchowi. Ale cóż to jest ten opór? Czém jest w istocie swojéj, tego zgoła nie wiemy; dla nas jest to czucie", którego doznajemy albo jeżeli nasze ciało, zmieniając względne swoje położenie, natrafi na jakieś ciało obce, albo jeżeli obce jakieś ciało natrafi, zmieniając swoje położenie, na ciało nasze.

Dlatego to „być (str. 1) dualistą albo monistą, nie znaczy uznawać fakt albo jego wyniki, ale wierzyć takiemu lub innemu

poglądowi". Być dualistą albo monistą, jest aktem wiary a nie wiedzy.

„Nauka (str. 4) dowodzi niezbicie tego tylko... że zawsze czynności psychicznéj towarzyszą ruchy cząsteczkowe istoty nerwowéj i naodwrót, że zawsze ruchom cząsteczkowym istoty nerwowéj towarzyszy czynność psychiczna, czyli innemi słowy, że pewne cząsteczkowe ruchy istoty nerwowéj, warunkują fizycznie czynność psychiczną, podobnie, jak ta warunkuje psychicznie ruchy cząsteczkowe istoty nerwowéj".

„Konsekwencye (str. 3) monizmu i dualizmu są zupełnie téż same". „Przypuśćmy na chwilę, że ruchy cząsteczkowe istoty nerwowéj nie stanowią czynności psychologicznéj, ale jéj tylko towarzyszą". „Łańcuch łączący je jest nierozerwalnym i wiecznym". Ztąd wynika oczywiście, że i czynność psychiczna podlegać musi tym samym niezłomnym prawidłom, którym podlegają ruchy cząsteczkowe istoty nerwowéj.

Na samę czynność psychiczną zapatruje się autor, podobnie jak większość fizyologów. Nawał zmian cząsteczkowych istoty nerwowéj bieży bezustanku drogą nerwów czuciowych z zewnątrz do mózgowia; również bez przerwy biegną te zmiany cząsteczkowe drogą nerwów ruchowych z mózgowia na zewnątrz. Pomiędzy działaniem na mózgowie i oddziaływaniem mózgowia, leży praca wewnętrzna: czucia odruchowe według pewnych praw występujące, według pewnych praw kojarzące się między sobą. „Czucie odruchowe (str. 11) jest właśnie owém zasadniczém, duchowość znamionującém zjawiskiem; bez niego staje się oddziaływanie mózgowia automatyczném, czysto mechaniczném, jak większość odruchów rdzeniowych; z niém razem jest owo oddziaływanie mniéj lub więcéj świadomém, mniéj lub więcéj rozsądném, jak większość odruchów mózgowiowych". Innemi słowy znaczy to, że każdy element czuciowy mózgowia może odebrane wstrząśnienie przenieść na wszystkie inne elementy mózgowia, tak ruchowe jak czuciowe i zpowodować przez to jużto ruch odruchowy (*Reflexbewegung*) już to czucie odruchowe (*Reflexempfindung*).

Po wskazaniu w ten sposób zasadniczego twierdzenia psychofizyologii i jego udowodnieniu, przechodzi autor w drugiéj części swéj pracy do wniosków, dających się z niego wyprowadzić. Z twierdzenia, że czynność psychiczna i ruchy cząsteczkowe istoty nerwowéj zawsze współistnieją i wzajemnie się warunkują, wyprowadza autor trzy wnioski (korollarya): fizyczne, biologiczne i psychologiczne. Korollaryum fizyczne orzeka, że każdéj czynności duchowéj towarzyszy wytwarzanie się ciepła. Korollaryum biologi-

czne twierdzi, że każda akcya jest reakcyą, czyli, że w świecie organicznym, podobnie jak w nieorganicznym, każde zjawisko, świadome czy nieświadome, jest skutkiem pewnych przyczyn, że zatém wszystkie czynności duchowe są odruchami. Korollaryum psychologiczne orzeka, że wola nie jest wolną.

W części trzeciéj swojéj pracy przechodzi autor do rozbioru świadomości i rozpoczyna od zaznaczenia poglądów Maudsley'go i Lewes'a. Obaj ci najznakomitsi przedstawiciele dwu wprost przeciwnych sobie zapatrywań są monistami w całém tego słowa znaczeniu. Lewes jednak widzi świadomość we wszystkich czynnościach ośrodków nerwowych, nie wyłączając odruchów rdzeniowych. Maudsley zaś wykazuje brak świadomości nawet w najmniéj automatycznych czynnościach duchowych. Herzen zajmuje stanowisko pośrednie. Tak twierdzenie, że najelementarniejszy odruch rdzeniowy jest świadomym aktem psychicznym, jak i twierdzenie, że myślenie jest aktem fizycznym, uważa autor za niweczące przejście od pojedyńczego do złożonego. I pierwszy pogląd i drugi wprowadza nowy, absolutnie różny, element: pierwszy—przez *filum terminale* rdzenia pacierzowego, drugi — przez korę mózgową. Bezustanna obecność świadomości w przypadku pierwszym jest również trudną do pojęcia, jak jego przypadkowa obecność w przypadku drugim.

„Prawda (str. 97) leży, jak sądzę, w zespoleniu dwóch przeciwnych sobie poglądów; ona nas uczy, jeżeli się nie mylę, że... świadomość i nieświadomość zawsze i wszędzie współistnieją, ale że stosownie do warunków raz jedno, drugi raz drugie przeważa". Każda czynność nerwowa rozpada się na dwie fazy: rozkładu (*desintegrierende Phase*) i odnowy (*reintegrierende Phase*). „Świadomość (str. 101) towarzyszy jedynie fazie rozkładowéj czynności elementów środkowego układu nerwowego; jego natężenie stoi w prostym stosunku do natężenia tegoż rozkładu a równocześnie w odwrotnym stosunku do łatwości, z jaką każdy z tych elementów przewodzi rozkład do elementów innych, a sam powraca w fazę odnowy". Każdą czynność świadomą uważa Herzen wraz ze Spencerem za stan przejściowy od niższéj do wyższéj organizacyi mózgowia. Zmiany w stanie cząsteczkowym tkanki nerwowéj, odbywają się nieświadomie aż do chwili, „w któréj (str. 126) natrafiają na elementy środkowego układu nerwowego, dalszéj ich wędrówce opór stawiające: w téj chwili i tylko przy tym warunku stają się świadomemi. Skoro jednak taż sama czynność powtórzy się kilka razy, a opierające się z początku elementy nauczą się przewodzić je innym elementom bez zwłoki — tém samém przesuwa się granica

między świadoméin a nieświadoméin." To co było świadoméin staje się nieświadoméin, bo znika warunek świadomości—świadoméin staje się to, czego do téj pory wogóle dany osobnik wykonywać nie mógł, bo niezbędna do wykonania owéj czynności energia nerwowa zużywała się na pokonanie oporu teraz już nieistniejącego. Redukcya procesów świadomych do nieświadomych jest warunkiem rozwoju umysłowego.

Pracę swoję kończy autor omówieniem osobowości, którą uważa za część świadomości a więc za pewien gatunek świadomości i definiuje jako świadomość jedności i ciągłości naszego „ja". Takim jest szkielet „Zasad ogólnéj psychologii fizyologicznéj" Herzena. Na tém jednak nie możemy poprzestać i niektóre jéj wady wytknąć uważamy sobie za obowiązek.

W „Zasadach ogólnéj psychologii fizyologicznéj" dają się spostrzedz dość liczne dowody pewnego wahania się w kwestyi zasadniczéj dla psychologii fizyologicznéj i to wahania, do którego autor się nie przyznaje. Jak z jednéj strony pochwalamy ostrożność autora, któréj wahanie się jest dowodem, tak z drugiéj zmuszeni jesteśmy dziwić się jego niekonsekwencyi. Na poparcie naszego twierdzenia wystarczy kilka przykładów.

„Przedewszystkiém (str. 8) wskażę ogólny wniosek, do którego prowadzi nas bezstronny rozbiór naszych wiadomości co do istoty siły i materyi, ażeby wykazać, że nie mamy prawa do dzielenia nieznanéj nam istoty zjawisk, które się w nas i zewnątrz nas objawiają, na dwie połowy. W rozdziale następnym zamierzam dać pośredni dowód faktu... że czynność psychiczna jest ruchem cząsteczkowym elementów nerwowych". Nieco daléj czytamy:

„Ponieważ (str. 14) nie dają się one (siła i materya) w rzeczywistości od siebie oddzielić, jesteśmy uprawnieni do przypuszczania, że rozróżnianie ich jako dwóch istności jest tylko złudzeniem ducha naszego". Jeszcze daléj trochę czytamy znowu:

„W przyrodzie (str. 21) siła i materya są jedną i tą samą zdolnością i mogą tylko wyrazowo być oddzielone. Na poparcie tego poglądu odwołuję się do całéj dzisiejszéj fizyki i do całéj nowożytnéj chemii." Zestawmy teraz z tém wszystkiém to, co autor powiedział we wstępie:

„Każdy (str. 1) może wybierać pomiędzy dualizmem i monizmem i zatrzymać ten pogląd, który jego sposobowi myślenia i czucia najlepiéj odpowiada."

Możemy przypuścić, że „każdy może wybierać pomiędzy monizmem i dualizmem"; zgodzimy się i na to „że jesteśmy uprawnieni do przypuszczenia, że rozróżnianie" materyi i siły jest złudze-

niem; gotowiśmy przypuścić, że cała dzisiejsza fizyka i cała nowożytna chemia popierają raczéj pogląd monistyczny niż dualistyczny; przyparci do muru przypuścilibyśmy ostatecznie, że fakty dowodzą tożsamości ruchu cząsteczkowego elementów nerwowych i czynności psychicznéj—ale prosimy o pobłażliwość autora, jeżeli do zgody na wszystkie cztery ewentualności razem nie czujemy odwagi. Otwarcie mówiąc, to nietylko, że zgoła nie czujemy odwagi, ale nadto nie widzimy potrzeby do godzenia się na różne ewentualności razem, zwłaszcza kiedy przekonania autora nie są nam tajemnicą.

„Prawo (31 str.) stateczności siły zniewala nas do uznania, że ruch do środka (mózgowia) zmierzający nie niknie i nie ustaje, wywołując ruch inny—podobnie jak ruch nerwowy odśrodkowy może powstać i istniéć tylko wówczas jeżeli przez inny jakiś ruch zostanie wywołany. Jeżeli jednak siła psychiczna zostaje w takim stosunku do ruchów cząsteczkowych istoty nerwowéj, że istnienie swoje zawdzięcza istniejącemu ruchowi i że ustaje, wywołując ruch inny—to jest rzeczą jasną i nieulegającą wątpliwości, że taż siła niczém inném być nie może jak ruchem“. Trochę niżéj czytamy:

„Ponieważ (str. 48) podczas czynności psychicznéj względnie wiele... czasu upływa pomiędzy przyczyną jego powstania i skutkiem, zmuszeni więc jesteśmy do wniosku, że czynność owa odbywa się w rozciągłém, opór stawiającém i złożoném środowisku, podobnie jak wszystkie inne zjawiska przyrody. Ponieważ daléj każda chwila zużywaną bywa już na przenoszenie, już na zmienianie zewnętrznego podrażnienia wewnątrz środowiska owego i ponieważ każde przenoszenie czy zmienianie daje się sprowadzić do pewnéj postaci ruchu—każda więc czynność psychiczna jest... pewną postacią ruchu.“

Wskazaliśmy sprzeczności, aby wykazać nie tyle chwiejność ile niekonsekwencyę.

Do tego samego mianownika możemy sprowadzić następujący ustęp: „Ponieważ (str. 50) każdemu ruchowi towarzyszy wytwarzanie się ciepła i ponieważ czynność psychiczna jest pewną postacią ruchu, możemy więc ztąd już wnosić, że czynności duchowéj musi towarzyszyć wytwarzanie się ciepła. Ten wniosek znajduje téż rzeczywiście potwierdzenie w doświadczeniu“. Schiff pomieszczał odnośne swoje prace w *Archives de Physiologie* od marca r. 1869 do sierpnia r. 1870. Autor, który się na te prace powołuje, wié o tém oczywiście a mimo to zapewnia nas, że korollaryum jego fizyczne znajduje potwierdzenie w pracach Schiffa. Żałujemy, że korollaryum swoje ogłosił dopiero po pracach Schiffa.

W „Zasadach ogólnéj psychologii fizyologicznéj“ znajdujemy jeszcze dwa ustępy, których nie możemy pominąć jako zanadto charakterystycznych dla autora. Zresztą pomijając je, uczynilibyśmy krzywdę tym wszystkim, którzy od krytyki domagają się wiernego obrazu przynajmniéj charakterystycznéj części.

„Te osobniki (str. 86), które... jakoby zatrzymały resztki wolnéj woli i które wyswobodziwszy się z więzów praw towarzyskich, idą swoim torem bez względu na innych—nazywa społeczeństwo przestępcami albo obłąkanymi i robi z nich ofiarę dla swojego własnego bezpieczeństwa zamykając ich w więzieniach i domach dla obłąkanych.“

Ustępu tego nie sądzę i pozostawiam woli czytelnika, jak zechce się zapatrywać na utożsamianie wolnéj woli z obłąkaniem.

Niemniéj ciekawym i charakterystycznym jest ustęp drugi. „I rzeczywiście: (str. 19) jeżeliby powierzchnia ziemi tylko przez jednego człowieka była zamieszczaną, to człowiek ten miałby wszelkie prawo do myślenia a nawet wierzenia, że jest wszechświatem—że wszechświat to różne szeregi i grupy jego własnych czuć.“

„Ale w rzeczywistości ziemia jest zamieszkana przez wielu ludzi a ta okoliczność prowadzi absolutny subiektywizm do *absurdum.*“ Tymi wyrazami miażdży autor w mniemaniu swojém Berkeley'go i jego zwolenników. Nam się jednak zdaje, że aby módz siebie uważać za pogromcę solipsyzmu przytoczeniem takiego argumentu—na to nie wystarcza być niekonsekwentnym, ale trzeba nie wiedzieć, że taki argument to wytoczona i klasyczna *„petitio principii“*—że argumentów takich a nawet lepszych przeciw temuż solipsyzmowi istnieją całe legiony—wreszcie, co gorsza, że wszystkie te argumenty niczego nie dowodzą i jako takie wielokrotnie zostały odparte. Mimo to wszystko, praca Herzena ze wszech miar zasługuje na uwagę—dlatego streściliśmy ją i wykazali niektóre jéj wady. Na tém też musimy poprzestać—krytyki bowiem materyalizmu wogóle nie zamierzaliśmy pisać.

Z. Gabryelski.

Historyja Polski. Napisał Edward Bogusławski, Kraków, nakładem autora, 1889, 8-a, stron. VIII, 251.

Wykład dziejów Polski do roku 1795 zawarł p. Bogusławski na 214 stronicach (17—231): pierwszy arkusz książki poświecił streszczeniu ogłoszonéj w roku zeszłym historyi Słowian, dodatek końcowy polemice z Brücknerem i Kawczyńskim. Żadnego z dotychczasowych podziałów na okresy dosłownie nie przyjął, a przynajmniéj unikał takich tytułów uogólniających, jak: Polska pierwotna, dziel-

nicowa itp. Faktycznie uznaje okres panowania pierwszych Piastów, lecz, nie nadawszy mu nazwy, przedstawia go w następujących rozdziałach: 1) zaprowadzenie chrześciaństwa, 2) Polska w dobie potęgi, 3) Polska w chwilowym upadku, 4) restauracya, 5) Polska w nowéj dobie potęgi. Uznaje faktycznie okres Polski w dzielnicach, lecz znowu, nie nadawszy mu nazwy, opowiada w osobnych rozdziałach o 1) rozbijaniu się państwa w walce z możnowładztwem, 2) ostatecznêm rozbiciu się państwa w walce z kościołem, 3) napadzie Tatarów, 4) znowu ostatecznêm rozbiciu na dzielnice, 5) walce z germanizmem i 6) walce z sobą książąt dzielnicowych. Za Wacława widzi dźwiganie się Polski z upadku, za Kazimierza W. urządzenie jéj w porządne i bogate państwo średniowieczne, za Ludwika początek rządów możnowładczych, trwających do połowy stulecia XV. Za Kazimierza rozpoczynają się rządy szlachecko-sejmikowe, które pomimo próby reakcyi możnowładczéj za Aleksandra i usiłowań reformy politycznéj za obu Zygmuntów, przeobrażają się po śmierci ostatniego Jagiellona w republikę szlachecką. Za Jana Kazimierza spostrzega autor początki anarchii, za Sobieskiego i Augusta II wpływ Austryi i Brandeburgii, od ostatniego Sasa ugruntowanie się przewagi Rosyi. Osobny rozdział (206—231) poświęcił p. Bogusławski wykładowi przyczyn upadku.

Wykład na 14 arkuszach musiał być bardzo treściwy. Właściwie faktów autor nie skąpił, lecz ich nie mógł należycie rozwinąć. O wiele rzeczy ważnych zaledwie potrąca, organicznego zaś przedstawienia urządzeń wewnętrznych państwa zaniechał zupełnie. Znajdujemy wprawdzie rozdziały: „Wewnętrzny stan Polski za pierwszych Piastów“ (39—42) i „Społeczny i moralny stan Polski w czasach dzielnicowych książąt“ (64—67); lecz dla czasów następnych, oprócz tu i owdzie mimochodem niejako wtrąconych uwag, niczego podobnego czytelnik nie znajdzie. Obchodzi p. Bogusławskiego głównie historya polityczna, mniéj wewnętrzna. Do organizacyi rządu i sił zarówno materyalnych, jak moralnych narodu wagę przywiązuje dużą; nie przedstawia przecież budowy pierwszego, nie kusi się o wymiar ostatnich.

Fakty stara się autor grupować starannie, nie dochodzi jednak do rezultatów pożądanych głównie dla zbytecznego trzymania się chronologii. Udowodnimy to na wykładzie np. panowania Zygmunta Augusta. Mamy w nim po wzmiance o publicystach ówczesnych opowiadanie o ruchu różnowierczym i reformach politycznych; daléj historyę wcielenia Inflant i przeniesienie sukcesyi pruskiéj na elektora brandeburskiego, poczém znowu wiadomości o reformach na sejmie egzekucyjnym i sprawach religijnych; w końcu unię lu-

belską i znowu kwestye wyznaniowe z okazyi zgody sandomierskiéj z r. 1570. Podobne rozbicie materyału, dotyczącego ruchu religijnego i reform wewnętrznych; przedzielenie go opowiadaniem o sprawach natury innéj, szczęśliwém nazwać nie można. W wyższym jeszcze stopniu wadliwość w grupowantu faktów widzimy w wykładzie panowania Jana Kazimierza i Augusta II. Zamiast podać w ogólnym obrazie charakter umysłowości w dobie reakcyi religijnéj, autor na końcu panowania każdego króla rzuca jedne i te same niemal wiadomości na temat fanatyzmu, przesądów itp., przez co niepotrzebnie znowu materyał, łatwo dający się ugrupować w całość porządną, rozbija na strzępy. Chociaż zapowiedział autor w przedmowie: „nie rozbijałem materyału dziejowego na różne tytuły i podtytuły, suche i nużące umysł grupowanie pod nimi wypadków“,—właściwie jednak przy obietnicy nie wytrwał. Tytułem w książce p. Bogusławskiego jest imię panującego: faktu, związanego chronologicznie z Władysławem, nie przeniesie dla ciągłości opowiadania pod Jana Kazimierza, chociażby przez to prawda historyczna szwanku nie doznała żadnego. Metoda p. Bogusławskiego zdradza stary pochop do układania dziejów narodu w tafle panowania monarchów.

Pomimo wskazanych powyżéj wadliwości technicznych, książka p. Bogusławskiego (jako zawierająca fakta, podane starannie i ugrupowane w pewnym organicznym związku), przy pomocy nauczyciela, któryby umiał szczegóły napomknięte rozwinąć, braki dopełnić, a konstrukcyę uprościć, mogłoby niemałą, jako podręcznik, przynieść młodzieży korzyść, gdyby nie była przesiąkła tendencyami, nielicującemi z elementarzem i nauką.

W przedmowie w następujący sposób formułuje auror kryterya, jakie mu służyły do oceny wypadków:

„Naprzód oceniałem wartość czynów historycznych ze względu na ich dobre lub złe następstwa w dziejach naszego narodu. Powtóre, zwracałem uwagę na to, o ile naród szedł o własnych siłach po drodze postępu, o ile dzieje jego rozwijały się w sposób naturalny i prawidłowy, nieskrępowany żadnemi ubocznemi przeszkodami i obcemi wpływami, o ile w ten sposób rozwijały się na drodze do coraz większego doskonalenia się form, w jakich przejawia się duchowe, społeczne i polityczne życie każdego narodu,—a o ile od tego prawidłowego rozwoju zboczyły. Potrzecie, oceniałem wartość zjawisk naszego życia historycznego w stosunku do ogólnego rozwoju i postępu duchowego i społecznego innych narodów europejskich, które przed nami doszły do cywilizacyi, tj. o ile podążaliśmy za tym postępem, a o ile zostawaliśmy po za nim. Poczwar-

te, oceniałem wypadki z puuktu mych własnych przekonań i mego sumienia.“

Z czterech powyższych kryteryów dwóch środkowych w samym wykładzie historyi nie widać. Dla zrealizowania tak pięknych zapowiedzi nie mógł p. Bogusławskiemu wystarczyć materyał, zawarty w kilku monografiach specyalnych, a głównie w Szujskiego D z i e j a c h P o l s k i i w Bobrzyńskiego D z i e j a c h P o l s k i w z a r y s i e; przy najstaranniejszém nawet wyzyskaniu rezultatów dotychczasowych badań nie ogarnęłaby tak rozległego zadania sama szczupłość książeczki. Nie znajdujemy więc w pracy p. Bogusławskiego ani historyi owego procesu „doskonalenia się form w jakich przejawia się duchowe, społeczne i polityczne życia narodu“, ani paraleli z cywilizacyą zachodu; spotykamy się za to z rozległém zastosowaniem kryteryów skrajnych.

Owe kryterya skrajne uzupełniają się i możnaby je właściwie połączyć w jedno. Kto ocenia wypadki z punktu własnych przekonań (religijnych, społecznych i politycznych), ten musi fakta historyczne klasyfikować na złe i dobre; musi jedne adorować, drugie potępiać; jednym dodatnie, drugim szkodliwe przypisywać następstwa. P. Bogusławski jest zwolennikiem kościoła narodowego, jezuitom przeto i reakcyi katolickiéj złorzeczy; jest demokratą, potępia więc przodków, że nie dopuścili do udziału w rządach wszystkich stanów narodu (207); jest autokratystą, dla tego sarka na parlamentaryzm szlachecki. Złorzeczy, potępia i sarka zapominając, że się sprzeniewierza kryteryum trzeciemu, tj. zapowiedzi, jako oceniać będzie „wartość zjawisk naszego życia historycznego w stosunku do ogólnego rozwoju“. Gdyby o tém kryteryum pamiętał, przy ocenie faktów historycznych musiałby własnych upodobań, a tém samém złorzeczeń, potępiań i sarkań zaniechać i przyznać, że Polska wyjątkowém siedliskiem złego nie była. Wszakże nasza reakcya religijna odpowiada powszechnéj; przecież nie u nas samych pewne stany usunięte były od rządu i nie u nas samych brakło monarchii absolutnéj. Kto ocenia wypadki z punktu własnych upodobań, nie uznaje tém samém rozwoju dziejowego; nie zrozumié ani natury zjawisk, ani przewodniczącéj pochodowi ich logiki. Gdyby p. Bogusławski wyrobił w sobie upodobanie, że król powinien chodzić w purpurze, gniéwałby się na Mieszka I, okrytego skórą baranią i nie pogodziłby się z pośredniemi, pomiędzy ordynarnym kożuchem a delikatną tkaniną, fazami przemysłu i mody. Pomimo tego wydaje się p. Bogusławskiemu, że wygłasza prawdy b e z w z g l ę d n e. Tak jest! „Prawda, bezwzględna prawda —

woła w przedmowie — była dla mnie przewodnikiem. Wyświetlać prawdę i ostrzyć rozum, to hasło moje". Prawda bezwzględna w historyi? prawda bezwzględna w nauce nowéj, która się nie zdobyła dotychczas na odkrycie żadnego prawa stałego? prawda bezwzględna w książce pana Bogusławskiego, który sprzeniewierza wymaganéj przy wykładzie dziejów metodzie? Nie mają chyba charakteru prawdy bezwzględnéj liczne w pracy p. Bogusławskiego fakta, których wiarogodność sam kwestyonuje przysłówkami: „może", „prawdopodobnie", „zapewne"; nie jest nawet prawdopodobném, żeby ten sam Sieciech, który buntuje się przeciwko Śmiałemu (33), za jego następcy „bronił absolutnéj zasady panowania od zamachów możnowładczéj partyi" (34); nie jest prawdą, że sami różnowiercy przezwali się na sejmie r. 1573 dysydentami (132), że *Colloquium charitativum* miało miejsce w r. 1646, że Naruszewicz został biskupem w 1788 r., rozmyślne zaś i tendencyjne przekręcanie faktu widzimy w trzykrotnie powtórzonym frazesie (str. 193, 225, 230), że uszczuplenie w roku 1772 Rzeczpospolitéj o 1692 mil kwadr. było „zregulowaniem tylko poprostu granicy". Myli się autor w konstatowaniu faktów szczegółowych, zkądże więc pretensya do podawania własnych uogólnień za prawdę bezwzględną?

Nie jest zresztą p. Bogusławski oryginalnym: źródłem mądrości są dla niego zapatrywania Bobrzyńskiego, wypowiedziane w „Dziejach Polski w zarysie". Przez szkła Bobrzyńskiego ocenia działalność królów i organizacyi Rzeczpospolitéj; od Bobrzyńskiego zapożyczył recepty na niedolę Rzeczpospolitéj—zamachu stanu, czyby ten pochodził od Karola Gustawa, od Augusta II, czy od kogo innego. Po za Bobrzyńskim, którego aforyzmy tu i ówdzie podaje w przypiskach, apostołuje p. Bogusławski ideę Krzywickiego. Ze stanowiska téj idei radby oddać tron polski w r. 1573 potworowi (133), z jéj téż stanowiska adoruje serwilizm Augusta III, wrzekomego reprezentanta polityki „jaką sama logika faktów wskazywała" (183); potępia emancypacyjne dążności Czartoryskich po r. 1764, konfederacyę barską i usiłowania patryotów podczas sejmu wielkiego. W duchu owéj doktryny polemizuje z Szujskim na temat pokoju Grzymułtowskiego, który „nie był błędem Sobieskiego, lecz jego mądrym czynem" (str. 228): w duchu jéj uszczeplenie kraju o 1692 mil kw. nazywa uregulowaniem tylko granicy! Polska, zdaniem p. Bogusławskiego, powinna była wytrwać na stanowisku, w jakiém znajdowała się od r. 1775 do 1789 tj. ulegać ambasadorowi sąsiedniego mocarstwa. „Temu — konkluduje autor— na przeszkodzie

stanął przecie ten duch słowiański, który zawsze wybiérał niewolę i zagładę pod jarzmem obcych, niż pewną przewagę nad sobą silniejszego członka we własném plemieniu".

Wł. Smoleński.

— **Wybór poezyi lirycznych Szyllera w przekładzie polskim** *przez A. A. K. Odbitka z Biblioteki Warszawskiéj* (Warsz. 1888 str. 53). Wybór ten daje nam znany tłómacz „Fausta" i „Ód" Horacego, w trzydzieści przeszło lat po dokonaniu swego pierwszego głośnego przekładu. Właściwości jego pióra zostały mniéj więcéj zgodnie określone. P. A. A. K. odznacza się przedewszystkiém jasnością wysłowienia, nie lubi wszelkich wybujałych a zagmatwanych wyrażeń i obrazów, woli nawet dykcyę mniéj poetyczną, byleby zrozumiale i dobitnie rzecz przedstawiała. Z zamiłowaniem jasności łączy się u niego pewna trzeźwość, która mu na loty hazardowne nie pozwala, lecz poddaje wszystko ocenie logicznéj i według niéj szacuje pomysły poetyckie, odpowiednią dobierając im szatę. Ponieważ wybiera do tłómaczenia najznakomitszych tylko poetów, właściwości powyższe nie przeszkadzają mu bynajmniéj w wiernném odtworzeniu oryginałów, bo prawdziwie wielka poezya, choćby nawet prozą była oddana, nie utraci istotnych swych zalet; przytém jednakże zauważyć należy, iż subtelniejsze, lotniejsze części stylu poetyckiego częstokroć zacierają się lub nawet zanikają. P. A. A. K. nie należy do zwolenników tłómaczenia filologicznie wiernego, pragnie tylko pochwycić ton oryginału i odtworzyć myśli w nim zawarte; obrazowanie zaś dość często zastępuje czemś analogiczném, nie zawsze zwracając pilną uwagę na piękność formalną w szerszém znaczeniu tego wyrazu. Objaśnię to na przykładzie. W jednym z najpiękniejszych i najczęściéj tłómaczonych utworów Schillera, w „Ideałach", poeta mówi:

Er ist dahin, der süsse Glaube
An Wesen die mein Traum gebar,
Der rauhen *Wirklichkeit zum Raube*,
Was einst so schön, so göttlich war.

Tłómacz nasz tak oddaje te wiersze:

Trzeba porzucić słodką wiarę
We własnych marzeń piękny rój
Trzeźwości twardéj na ofiarę
Upojeń boskich zniszczyć zdrój.

W gruncie rzeczy myśl poety odtworzona została wiernie; stan duszy, która z rojeniami młodzieńczemi się rozstaje, odmalo-

wano w przekładzie dobrze; ale w formie wyrażenia znajdujemy pewne dowolności, które przy porównaniu z oryginałem wybitnie występują. Zaraz pierwsze zdanie: „t r z e b a porzucić“ jest niezbyt zgodne z tokiem całego utworu, w którym poeta konstatuje nie tylko ze smutkiem, lecz i z tęskną rezygnacyą zarazem, zmiany zaszłe w swéj duszy. Daléj wyraz „trzeźwość“ zamiast „rzeczywistość“ nie sprzeciwia się wprawdzie duchowi oryginału i obrazowaniu poetyckiemu, bo równie dobrze odpowiadają oba pojęciu przeciwstawienia „marzeniom“; ale przeciwstawienie „rzeczywistości“ jest o wiele pełniejsze, rozleglejsze niż przeciwstawienie „trzeźwości“. Wyrażenie: „na ofiarę“ już jest pewném wykroczeniem nawet względem myśli poety, bo zrodzić może przypuszczenie, iż „ofiara“ owa może być dobrowolna, zwłaszcza w połączeniu z „trzeźwością“, gdy Schiller używając wyrażenia „*zum Raube*“ (na łup) chciał właśnie wskazać niszczycielskie względem marzeń działanie rzeczywistości, któréj poddaje się, lecz nie z ochotą. Wreszcie ostatni wiersz, gdzie tłómacz użył wyrażenia „upojeń boskich zdrój“ pod względem subtelniejszego poczucia formy jest mniéj odpowiednim, gdyż w czwartéj strofie musiał być powtórzonym wyraz „zdrój“, czego Schiller zapewneby nie pochwalił. Podobny usterek zaznaczyć należy w tym samym utworze co do użycia wyrazu „rój“ w strofie 2-iéj i 7-éj. Niezbyt téż zręczną jest zamiana „lotnego roju c z a r ó w“ w strofie 7-éj, na czarodziejki“ w strofie 8-éj. Zacieśnieniem wreszcie myśli Schillera nazwać wypadnie użycie w ostatniéj strofie „Ideałów“ wyrażenia „wieczysty l u d z k i é j w i e d z y skład“ zamiast „*Bau der Ewigkeiten*“ znajdującego się w oryginale. Takie są mniéj więcéj znamiona przekładu innych poezyi lirycznych Schillera; czyta się on łatwo, gładko, gdyż wszędzie jest jasny i prawie wszędzie poprawny; ale gdy się weźmie do porównania oryginał, to się czuje pewne braki wysłowienia poetyckiego. Tłómacz chciał widocznie dać poznać w małych próbkach wszystkie trzy okresy twórczości lirycznéj Schillera: z pierwszego i drugiego wybrał po dwa tylko tj. „Pożegnanie Hektora“ i „Bitwę“, oraz „Rezygnacyę“ i „Bogów Grecyi“; z trzeciego zaś okresu dał jedenaście utworów: „Ideały“, „Cztery pory świata“, „Podział ziemi“, „Gody zwycięzców“, „Poręka“, „Pierścień Polikratesa“, „Ibikowe żórawie“, „Hera i Leander“, „Hrabia habsburski“, „Zlecenie do huty“, „Pieśń o dzwonie“. Wszystkie te utwory były już dawniéj na język polski tłómaczone, niektóre nawet kilkakrotnie; nie stanowi to bynajmniéj zarzutu, iż p. A. A. K. raz jeszcze przekład ich przedsiębrał; ale oczywiście zwiększa wymagania czytelnika, który pragnąłby coraz doskonalszego odtworzenia tego, co piękne. Język tłómacza celuje

czystością i poprawnością; szkoda jednak, że zaraz na początku swéj książki nie uniknął niewłaściwéj przekładni zaimka który: „Już słońca te powygasały, B l a s k k t ó r y c h drogę moję słał.“

= **Die Fabel vom Löwenantheil in ihrer geschichtlichen Entwickelung.** Inauguraldissertation... von *Konstanty Górski* (Berlin. 1888, str. 81). Znany z pomieszczonych r. 1887 w „Przeglądzie polskim“ „Studyów nad bajkami Krasickiego“ autor, rozbiéra w téj swojéj rozprawie, dla osiągnięcia stopnia dra filozofii napisanéj, bajkę o „lwiéj części“ pod względem przekształceń, jakim ulegała z biegiem czasu u rozmaitych pisarzy. Rozróżnia w niéj przdewszystkiém dwie wersye, obie zawarte w zbiorze t. zw. bajek Ezopa. Niesprawiedliwy podział wspólnéj zdobyczy stanowi jądro obu. W pierwszéj lew sam sobie przywłaszcza tę zdobycz, podając motywa, iż jest królem zwierząt, iż jest najmocniejszy ze wszystkich, iż najwięcéj się trudził przy chwytaniu łupu itp. W drugiéj lew każe wspólnikom swoim dokonać podziału; ten i ów sądzi, że należy równe części każdemu wyznaczyć, i stosownie do tego podział urządza, lecz lew srogo karci naiwnych, a wówczas lis wezwany do zrobienia działów; wszystko przyznaje lwu, drobniutką tylko i najgorszą cząstkę sobie pozostawiając, dla zachowania pozoru, iż sprawiedliwości stało się zadość. Wykazanie, jak obie te wersye w rozmaitych czasach i u rozmaitych narodów były rozwijane, zgrupowanie rozlicznych opracowań według typów, do których się one odnoszą, zaznaczenie charakterystycznych zmian, jakim ulegały: oto co stanowi treść rozprawy p. Górskiego, bogatéj w erudycyę, obfitującéj w mnóstwo drobiazgowo rozpatrywanych szczegółów albo zgoła nieznanych albo zapomnianych. Autor nie zamierzył sobie widocznie wyciągać z badań swoich jakiegoś wniosku ogólnego, jakiegoś spostrzeżenia nad twórczością ludzką; lecz pragnął jedynie wyświetlić kwestye szczegółowe, nieraz czysto-formalistyczne obrabianego przez siebie tematu. W zastosowaniu metody krytycznéj, autor nie posiada jeszcze, jak się zdaje, dość wprawy; tém sobie tłómaczymy pewne zamieszanie w początku pracy widoczne, kiedy p. G. zabiega niepotrzebnie naprzód (przytoczenie bajki Weinzierl'a zaraz po tekście Ezopowym, a przed podaniem tekstu Fedra), nie umiejąc sobie jasno wykréślić drogi, którą ma postępować. W ciągu pracy nabrał autor większéj pewności siebie i pod względem uporządkowania materyału w zupełności zadawalnia. Ważną a całkiem nową zdobyczą krytyczną jest zrobiona przez p. Górskiego uwaga, iż „Koło rycerskie“ Bartosza Paprockiego, to bezpośrednie naśladownictwo dziełka Mikołaja Pergamenus

p. n. „*Dialogus creaturarum*", prawdopodobnie z XIV w. Szkoda tylko, że autor króciutko o tém nadmienia, nie zastanawiając się nad pytaniem, czy Paprocki czerpał wprost z łaciny, czy też z przeróbki czeskiéj. Naturalnie uwzględnia p. Górski i bajki Krasickiego, a bardzo szczegółowo podaje tłómaczenie bajek ruskich. Bardzo ciekawém jest przytoczenie bajki Tuaregów, w któréj widzimy tylko inne zwierzęta niż u Ezopa (lew, pantera, tassuryt, szakal), w innych zaś szczegółach prawie tożsamość. Życzymy serdecznie młodemu pracownikowi powodzenia w dziedzinie badań mało u nas uprawianéj.

= *Dr. Józef Rosenblatt.* **Ustawa o postępowaniu karném** z dnia 23 maja 1873 r. Kraków. 1889, str. 455. Austryacki kodeks karny mimo zaprowadzenia języka polskiego w sądach w Galicyi, nie doczekał się dotąd umiejętnego opracowania. Dzieło prof. Rosenblatta jest pierwszą w polskiéj literaturze prawniczéj próbą ujęcia w ramy naukowe wykładu austryackiego postępowania karnego. Obok wzorowego przekładu tekstu saméj ustawy, opracowanie dra Rosenblatta mieści luźne uwagi teoretyczne, oparte na najnowszych badaniach kryminalistycznych i zastosowane do praktyki. Na czele każdego treściwie i źródłowo opracowanego rozdziału, przytacza autor całą literaturę przedmiotu, a dla lepszego objaśnienia tekstu, przytacza 1050 orzeczeń trybunału kasacyjnego. Dzieło prof. Rosenblatta przeznaczone dla użytku uniwersyteckiego czyni zadość oddawna dotkliwie odczuwać się dającéj potrzebie, głównie ze względu na jasny i trafny komentarz autora, z którego nietylko teorya ale i praktyka znaczną odnosi korzyść.

P.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nekrolog kaznodzici żydowskiego.—Nadzwyczajna powściągliwość języka.—Zimne bohaterstwo p. hrabiego.—Uczciwość i pieniężny jéj równoważnik.—Niebywała obojętność reporteryi.—Dziwna rola dziennikarstwa.—Niedorzeczność i przysługa niedźwiedzia.—Jakie przekonania mogą być źródłem zbrodni.—Ożenek Mierzwińskiego i sprawy społeczne w Warszawie.—Znaczenie tenoru dla wielkich świata tego.—Dla czego w gruncie rzeczy runął Boulanger.—Krytyka teatralna w stylu egipskim.—„Comédie Française" teatry wiedeńskie i nieboszczyk Kudlicz.—Autorzy i aktorzy.—Panna Werowska.—Wielka „Kwestya Zimajer".—Historya artystki.—Osioł.—Prometeusz.—Promień łaski, 3000 rs. rocznie i 10 rs. za występ —Ofiara z Zimajerki.—Siostrzyczka baletu.—Niech wędruje.—Mimowiedny humor w „Encyklopedyi Humoru." Wystąpienie Gazety Rolniczéj przeciw gospodarstwu pieniężnemu.

Zeszłomiesięczną kronikę zakończyliśmy, a obecną wypada nam rozpocząć od nekrologu. Miesiąc temu żałowaliśmy pracownika, co schodził do mogiły w sile wieku, dzisiaj spada na nas obowiązek pożegnania, a zarazem przypomnienia społeczeństwu weterana, którego los dawno już zepchnął z szerszego pola pracy publicznéj, ale który niegdyś, trzydzieści lat temu, cieszył się rozgłośną a zasłużoną sławą.

Umarł stary, 72-letni kaznodzieja żydowski, Izaak Kramsztyk. Młodszemu pokoleniu trzeba powiedzieć, że to ojciec Stanisława i Zygmunta, starsze zna go dla niego samego. Były czasy, że nazwisko to należało do najpopularniejszych, kazania Kramsztyka drukowały gazety, w Warszawie tłumy zalegały nędzną bóżnicę na Nalewkach,—nie brakowało wśród nich duchowieństwa chrześciańskiego; rozgrzani gorącém słowem słuchacze w uniesieniu na barkach odnosili mówcę do domu; na prowincyi krążyły odpisy i również budziły zapał nie mały. Były to czasy, kiedy wyraz b r a t e r s t w o chwytał za serce; dziś wywołuje ironiczne skrzywienie, jak

krynolina lub peruka staroświecka. Zapomniano więc o starym kaznodziei żydowskim, co głosił hasła, wyszłe z mody, choć do czci publicznéj przybyły mu nowe tytuły.

Dokładnéj opowieści zamieszczać tu nie będziemy, zapisała ją historya. Ona powiedziéć może, kto był Izaak Kramsztyk. Kogo historya interesuje, ten wié wszystko bez nas, kogo nie interesuje, ten ma uszy i oczy zamknięte i słowo nasze również doń nie trafi.

Dodamy tylko, że nieboszczyk jako nauczyciel w szkole rabinów pobierał 3oo rs. pensyi rocznéj, a wszyscy 6-ciu synowie jego ukończyli uniwersytet.

W Warszawie o śmierci i pogrzebie b. p. Kramsztyka dowiedziéć się mogą wszyscy, gdyż na rogach ulic głoszą o tém klepsydry, zadrukowane wielkiemi literami. Na prowincyi nie wszyscy niestety usłyszą o śmierci starego znajomego, gdyż niektóre pisma uznały za właściwe ominąć ten wypadek.

Przed kratkami Zjazdu sędziów pokoju rozegrał się finał następującego dramatu. W domu hr. Dąmbskich przemieszkiwała w charakterze gospodyni panna Kazimiera Makowska, bywał zaś jako gość syn przyjaciela gospodarstwa, student Humnicki. Młodzi pokochali się i mieli zamiar miłość uświęcić małżeństwem. Rodzice jednak młodzieńca, których mezalians przejął zgrozą, postanowili przeszkodzić planom kochanków. Chwycono się środka stanowczego, bo oszczerstwa, zrobiono niewinną dziewczynę złodziejką i oddano do kryminału. I tu spotykamy bohaterstwo. Pan hrabia Dąmbski okazał się bohaterem przyjaźni. Aby uchronić dom przyjaciela od hańby niestosownego małżeństwa, udał się do policyi i własnemi usty podyktował skargę.

I jeszcze nie koniec bohaterstwa. Łatwo zrozumiéć szaleńca który w uniesieniu zazdrości, nienawiści, ambicyi godzi nożem w serce bliźniego, ale iść z zimnym rozmysłem, kłamać długo i spokojnie potwarz potworną, patrzéć obojętnie na długie a straszne cierpienia biednéj dziewczyny, z którą się żyło pod jednym dachem, z którą się chléb łamało, od któréj doznało się zapewne niejednéj przysługi, to już taka potęga bohaterstwa, że jéj nie należy trwonić na świecie, lecz szczelnie zamknąć pod klucz. Każdy zresztą krok pana hrabiego zasługuje na wysoki podziw, kłamał i spotwarzał dla przyjaciela, ale dopominał. się odeń zwrotu 2o rubli kosztów. Ciekawe, jakiéj wysokości sięga pieniężny równoważnik poświęcenia moralnego tego pana, czy przekracza sumę sześciu złotych i groszy dwudziestu, czy téż jéj nie dochodzi? Wobec nadawania większéj wagi dwudziestu rublom, niż słowu, honorowi i uczci-

wości własnéj, zapytać można, coby hr. Dąmbski zrobił za rs. 25, a co za 100?

Na sądzie prawda wypłynęła na wiérzch, dowody niewinności panny Makowskiéj, oraz mizernéj a w dodatku bardzo głupio pomyślonéj intrygi przyjaciół, były tak oczywiste, że sędziowie, nie usuwając się na naradę, wydali wyrok uniewinniający.

Jak widzimy fakt był ciekawy. Przed kratkami kryminalnemi zwykle nie stają białe anioły, ale tu plątanina wypadków, romantyczne tło, miłość, więzienie (panna Makowska w pierwszéj instancyi skazana została na rok więzienia) itd. itd.,—wszystko to mogło podać temat powieściopisarzowi, dramaturgowi, cóż więc mówić o wiecznie głodnym sensacyi reporterze. Podaje on sprawozdanie z procesów bezporównania mniéj ciekawych, goni za skandalem z większą zajadłością, niż gończak za zającem, komponuje, gdy fakty nie dopiszą. Czyż by tu reporterzy przeoczyli gratkę? Nie, to przypuszczenie nieprawdopodobne, oni sztucznie nakazali sobie milczenie, to bohaterowie milczenia!

Jakież są jednak przyczyny, jakie pobudki tak daleko posuniętéj wstrzemięźliwości? Jak rozumiéć należy to milczenie pism uważanych i zapewnie uważających się za obrońców i rzeczników szlachty?

Czy może oznacza ono, że bronienie czystości rodu przez występek jest czynem godziwym? Nie. Spewnością zarówno wszyscy dziennikarze, jak i cala sfera, do któréj towarzysko hrabiowie-oszczercy należeli, potępiają jednogłośnie i bez zastrzeżeń postępek ohydny i niedorzeczny.

Był to poprostu manewr taktyczny. Nienależy przed hołotą roztrząsać błędów pańskich.

Mówiąc bez osłonek i ogródek, postępowanie podobne jest ze strony prasy bezsensem i naturalnie bezsensem szkodliwym. Pisma milczące czytane są głównie przez te klasy ludności, dla których występek hrabiego jest sobie faktem, niczego zasadniczo nie dowodzącym, zgorszenia więc bać się nie było potrzeby. Hołota czyta pisma inne, a te sobie ceremonii nie robiły ani z osobami ani z tytułami.

Poświęcenie względów moralnych dla jakichś widoków stanowych, czy partyjnych, tolerowanie zepsucia jest najfatalniejszym błędem. Kraj cały cierpi, ale największą szkodę ponosi ta właśnie warstwa, interesy której niby to miano na względzie. Gdy opinia publiczna czuwać przestanie nad pewnym stanem, nie karci, nie chroni obyczajów od zepsucia, pozwala szerzyć się zarazie, upadek staje się koniecznością, stan ten traci wpływ i znaczenie, a w koń-

cu idzie w poniewierkę. Skandaliczny postępek hr. Dąmbskiego, podniesiony w pismach z pretensyami demokratycznemi jest szykaną, która jednych rozdraźni, a w drugich połechce jakieś instynkty lub upodobania; w pismach o dziwnéj wstrzemięźliwości mógł był posłużyć za pretekst do pożytecznych uwag.

I czémże wobec tego pisma te są dla swoich czytelników? Postępowanie podobne nie dziwiło by w trefnisiu co bawi, w laufrze, który zbiera potrzebne dla pana wiadomości, ale nie jest ono godne niezależnych organów opinii, czuwającéj nad prawidłowym biegiem życia, nad dobrem całego społeczeństwa.

Bardziéj jednak może, niż szkodliwość, irytuje tu niedorzeczność, jakieś ślepe niezrozumienie własnego interesu. Domy obłąkanych, przytułki dla idyotów posiadają w swoich celach i salach hrabiów i książąt. Żadna klasa społeczna nie jest wolną od smutnego podatku, płaconego więzieniom kryminalnym. Nie rzuca to cienia zarówno na cały stan chłopski, jak i na magnatów. W każdém stadzie znajdzie się owca parszywa. Tylko zacietrzewiony fanatyk winę jednostki kładzie na karb klasy. Sprawa więc Dąmbski—Makowska była pojedyńczym faktem, nie dającym prawa do żadnych ogólnych wniosków; dopiero taktyka milcząca pism, wyróżniwszy ją ze wszystkich innych, prawo to dała w sposób dla klas najwyższych bynajmniéj nie pożądany. Milczenie było zsolidaryzowaniem się, było niejako obroną złego czynu ze względu na osoby winne. Było nawet groźbą i ostrzeżeniem: nam wszystko winno być wolno, krzywdzić i spotwarzać, najwyższą zasadą społeczną i moralną są przywileje dla wybranych. A winą tego wszystkiego jest niedorzeczne i, powiedzmy prawdę, zbyt poziome pojmowanie przez dziennikarzy swoich zadań i obowiązków.

Co prawda jednak, to wiele gazet znalazło się w trudném położeniu. Nieustannie moralność czyniły one zależną od przekonań politycznych, lub filozoficznych. Dowodziły, że główną i jedyną przyczyną zbrodniczych popędów jest pozytywizm, demagogia i Bóg wié nie co. Aż tu tak szpetnie się spisali dwaj nieposzlakowani chyba o żadną herezyę mężowie i to jeszcze dla zasady, uznawanéj na fundament porządku. Pozycya fatalna, nie ma co. A na złodzieju czapka gore: spodziewać się mogli, że im tąż samą miarką odmierzą z czubem, że wyznawane przez nich zasady podadzą za źródło i przyczynę zbrodni. Z tego tylko względu zrozumiéć można i uznać racyonalność pragnienia, aby niedogodny wypadek zrobił jak najmniéj hałasu i był jak najprędzéj zapomniany. Oby pamięć na bohaterów oszczerstwa osłabiła choć trochę w naszych mężach prawowiernych pochop do insynuacyi i do poniewierki cudzych przekonań.

Ale czas już przejść do rzeczy pogodniejszych i weselszych.

Mierzwiński się ożenił.

Nie jest to fakt tak drobny i niewinny, a przynajmniéj tak mało obchodzący szerszy ogół, jak się napozór wydawać może. Mierzwiński podbił całkowicie w naszém mieście serca słuchaczów, a cóż się więc stać musiało z sercami słuchaczek? Wieść o ożenku wielkiego tenora przebiegła po nerwach melomanek jak prąd elektryczny, wywołała wiele okrzyków jednosylabowych, pobudzila wiele zazdrości, wiele humorów zepsuła i z tego powodu odbiła się na wypadkach ubiegłego miesiąca. Kuryery eksploatowały tę minę, jak Kalifornię.

A przytém w czasach dzisiejszych tenor to pierwszorzędna siła społeczna. Najlepszym dowodem Boulanger. Do niedawna ważyły się losy jego, miał za sobą głośne tryumfy i nadzieje narodu, podnosił już nogę, aby ją postawić na stopniach tronu, i oto w téj chwili rozmyśla zapewne nad marnością spraw ludzkich, nad przewrotnością świata, nad pustotą mamideł ziemskich. Republikanie go zmogli. I czemu nie udało mu się to, co osiągnął Kromwel i dwaj Bonaparci? Jedynie dla tego, że nie posiadał tenoru. Najprawdziwszy i najniewątpliwszy fakt. Minęły te czasy, kiedy można było zdobywać tłumy ładnie przystrzyżoną brodą, kolorowemi spodniami i karym koniem. Dziś tenor tylko panować może. Gdyby go posiadał opatrznościowy jenerał, byłby zyskał niewątpliwie większość w Izbie deputowanych i w Senacie, byłby już tak zrewidował konstytucyę, że okazała by się potrzeba natychmiastowego deportowania jéj na czas nieograniczony. Ale cóż? Nieboszczyk Thiers mógł mówić przez trzy, cztery godziny i wszyscy go słuchali; gdy zagrzmiał potężny a tenorowy organ Gambetty, dreszcze przebiegały po wrogach i przyjaciołach; dziś Ferry mówi, Clémenceau mówi, biskup Freppel mówi, ba, najlichszy socyalista mówi, a jenerał Boulanger czyta z karty, bez cieniowania, bez giestów, zupełnie jak by był kaznodzieją w Polsce a w dodatku trochę się jąka. Gdzież taki może być dyktatorem? Jak tylko jenerał zlazł z konia karego i wstąpił na trybunę, los jego się roztrzygnął: nie miał tenoru, więc wyszły na jaw malwersacye, i okazał się zupełny brak cnót niezbędnych dla zbawcy narodu. „Klapa"—mówiąc językiem godnym czynów jego—była nieunikniona.

Ha, i dyktatorowie zmarnieli. Szkoda, że kombinacya ta nie przyszła do głowy i nie pocieszyła p. Keniga w „Słowie", który sądzi tam mężów polityki i biada nad upadkiem sztuki teatralnéj. Może, wpadłszy na pomysł o upadku powszechnym, złagodniałby nieco w surowości swojéj dla biédnych a niewinnych aktorek warszawskich.

P. Kenig zresztą nie jest pionierem, nie on rozpoczął walkę i nie występuje solo, poprzedził go dawny sprawozdawca „Kuryera Warszawskiego“, a wtóruje mu dzisiejszy. Wszyscy ci trzéj panowie o teatrze mówią w ten sam sposób, jak kapłani egipscy o zaćmieniu słońca. Oni sami tylko wiedzą, co się dzieje na niebiosach wśród gwiazd, rzucają przepowiednie i wierzyć każą. Ton ich mowy pełen namaszczenia i tajemniczości. Jak prorocy izraelscy rzucają oni groźby: teatr upada, a gdzie teatr upada, tam przepaść dla narodu się otwiéra.

Kapłanów-krytyków sztuki dramatycznéj różni jednak metoda. Dawny sprawozdawca „Kuryera“ wojował teatrami wiedeńskiemi, dzisiejszy zawsze musi szeroko opowiedziéć, iż bywał w Paryżu w „*Comédie Française*“ i wszystko tam widział, a p. Kenig powołuje się na ś. p. Kudlicza i Piaseckiego.

Wlazłszy między wrony muszę krakać jak i one, przyznam się więc, że i ja bywałem w Paryżu w różnych teatrach i widziałem wielu celniejszéj artystów niemieckich. Prawda, po operetce francuskiéj nie chce się iść do teatru Małego nawet na Zimajerkę, Labisch'a w Paryżu grają bez porównania z większą werwą, a Sardou z większą elegancyą niż w Warszawie; ale nie widziałem i domyślić się nie mogę, jakby grali w Paryżu, nawet w *Comédie Française* „Złotego cielca“ Dobrzańskiego, albo „Dom otwarty“ Bałuckiego. O ile zaś sądzić mogę, to „Mazepa“ u nas nie ustępuje tragiedyom Wiktora Hugo tam, a Bliziński na scenie „Teatru Rozmaitości“ wart tyle, co np. Lindau w Wiedniu. Cokolwiek bądź powiedziéć można o grze naszych aktorów, to jeszcze pozostawia ona nieraz bardzo daleko po za sobą recenzye i jest od nich w swoim rodzaju o wiele doskonalszą. To rzecz ważna, a pamiętać o niéj szczególniéj powinien surowy Zoil w „Kuryerze“. W Paryżu piszą inaczéj, a jeżeli stamtąd trudno wrócić poprawnym publicystą, to na cóż paryską skalę wybiérać dla aktorów.

Metoda p. Keniga jest jeszcze bardziéj zawodną.

Niedawno szukałem mieszkania; chodziliśmy we dwu i ile razy wypadło zestawić wielkość widzianych przed chwilą pokojów ze znajdującym się teraz przed oczyma, zawsze wynikała sprzeczka. Towarzysz utrzymywał co innego, ja co innego. W jednym wypadku postanowiliśmy sprawdzić i okazało się, że on się mylił i ja się myliłem. Kto tylko probował odczytać książkę, która go dwadzieścia, trzydzieści lat temu zajmowała, wié, że gusty i sąd o rzeczy zmieniają się tak stanowczo, jak krajobraz po przejściu od lata do zimy. Porównywanie dwu rzeczy w pamięci, to ryzyko, które tylko czasem, kiedyś, wypadkiem może nas nie narazić na błąd.

Jest zupełnie pewne, że gdyby p. Kenig ujrzał dziś Kudlicza, to doznałby innego wrażenia, niż przed tyloma dziesiątkami lat i może by mu się on podobał mniéj, niż Tatarkiewicz i Leszczyński. Mało kto dziś Kudlicza i Werowskich pamięta; niech spoczywają z Bogiem; na co wywlekać ich cienie i stawiać przed żyjącymi jakiś fantastyczny ideał, niemający żadnego praktycznego znaczenia i wartości.

Nie należy wymagać od ludzi niemożliwości i karcić ich za to, czego ani oni, ani nikt na ich miejscu zrobić nie byłby w stanie. Nie mogą wielkie talenty aktorskie zabłysnąć tam, gdzie autorowie dramatyczni nie dają im ról do popisu.

Dramatyczna literatura nasza nie stoi niestety na wysokościach, repertuar zapycha się tłómaczeniami, wybieranemi niezawsze umiejętnie i szczęśliwie, a pomimo to mniéj widz jeszcze naraża się na zawód, idąc na pierwsze przedstawienie sztuki cudzoziemskiéj, niż gdy się wybierze na oryginalną. Dobrzański umarł, Bliziński prawie pisać przestał, Bałucki tworzy farsy. Jestto u nas zjawisko powszednie, że sztukę od upadku ratuje gra aktorów.

W sztuce cudzoziemskiéj aktor wyjątkowo tylko dosięgnąć może doskonałości. Niepodobna brać mu tego za złe, że Paryża nie zna i nie może być takim Francuzem, jak jego kolega z *Comédie Française*.

Jeżeli scena nasza istotnie upada, to okoliczności powyższe najzupełniéj tłómaczą zjawisko i z liczby winnych, albo zupełnie usuwają aktorów, albo stawiają ich na drugim, a może i trzecim planie. Surowość przytém p. Keniga, słuszna czy nie słuszna, nie sprawia takiego zabawnego wrażenia, jak pretensye autora dramatycznego, którego komedye nawet na naszéj niewybrednéj scenie dzieliłyby smutny los Boulangera, gdyby ich nie podtrzymała gra artystów karconych niejednokrotnie z wysokości krzesła w *Comédie Française*.

Dołączmy upodobania publiczności. P. Kenig wié przecie coś o tém. „Ptaki niebieskie“ p. Przybylskiego doznają szalonego powodzenia, biletów dostać nie można, jeden z Kuryerów mianuje go pierwszym komedyo-pisarzem, tymczasem oto sąd, i sąd zupełnie słuszny p. Keniga: „Nie ma ani obserwacyi, ani logicznego obmyślenia tematu, ani zręczności scenicznéj, ani charakterów, ani typów, nawet wzorków, ani wreszcie związku między częściami. Całość wygląda jak improwizacya pośpieszna, pod dziwnym jakimś wpływem pisana przez człowieka, niezdającego sobie dokładnie sprawy z tego, co napisał, albo téż mającego wstręt do wykreślania

tego, co już napisał“. Dodać muszę, że p. Kenig jest delikatny i dotyka ludzi przez rękawiczkę.

O ile wymiarkować mogłem z tonu tajemniczego, jakgdyby obliczonego na to, aby go pewni tylko ludzie rozumieli, czcigodnemu krytykowi ze „Słowa“ chodzi przedewszystkiém o kobiéty i tym narzuca niedosyć idealne rozmiłowanie się w sztuce. Zapewne, panna X, panna Y i panna Z, na scenie myślą o tém, aby się wydać za mąż i to w grze ich widać; niewątpliwie sztuce taki dodatek nie pomaga, doskonałość wymaga całkowitego oddania się zawodowi. Prawda, święta prawda; ale najprzód, zjawisko to jest naturalne i konieczne, a powtóre, zawsze tak było. Z warszawskiéj sceny wiele artystek zrobiło świetne partye; jak można kazać się wyrzec nadziei podobnéj, któréj z ich następczyń? Cóż zrobić, kiedy sztuka dla nikogo na świecie starczyć nie może: artyści mają serca i żołądek, jak wszyscy ludzie. Nasze siostry i córki nie są wogóle zwolenniczkami celibatu i nieraz w kościele potrafią po mistrzowsku robić też same usiłowania, co aktorki na scenie.

Panna Werowska też poszła za mąż ze sceny za dyrektora gimnazyum w Lublinie, w swoim czasie bardzo szeroko acz bardzo smutnie słynnego. Znałem ją już jako wdowę, sędziwą matronę i dewotkę, i ośmielam się mniemać, że za dni młodości swojéj i scenicznych tryumfów, jeżeli doskonalszą była od dzisiejszych amantek, to także potrafiłaby być dla nich mistrzynią w pozyskaniu serc męskich nietylko przez ten artyzm aktorski.

Kiedy już mowa o teatrze, niepodobna, nawet nie mając najmniejszéj pretensyi do wyczerpania przedmiotu, nie wspomnieć o ważnéj i interesującéj „kwestyi Zimajer“. Kwestya ta ma swoją historyą, bogatą jest w interesujące przejścia a w obecnéj chwili przechodzi okres błagalny. Kronikarze i sprawozdawcy wyciągają ręce ku dyrekcyi i artystce i proszą gorąco: miejmy w Warszawie Zimajerkę.

Co prawda, tracimy jedno źródło wesołości, ale ta potrzeba jest zaopatrywana u nas lepiéj niż wiele innych. Oto leży przed nami prospekt na „Encyklopedyę Humoru“. Wydawcą i redaktorem jest p. Michał Wołowski, w którym humorystyka ma stałego pracownika, niegdyś w Krakowie kierował „Harapem“. W Warszawie redagował jednocześnie „Kolce“ i „Głos“. Rywalizował z Sienkiewiczem w wielkiéj historycznéj powieści „Ostatni Piorun“. Dwa lata temu omawialiśmy w tém samém miejscu jego zapowiedź „Biblioteki dla samouków“. Z prospektu dowiedzieć się można, jak wielkie rzeczy otrzymuje ludzkość od poezyi wesołości i jak szerokie horyzonty otworzy narodowi „Ency-

klopedya Humoru". Ponieważ pomimo wieloletniego uprawiania niwy literackiéj nie mam nadziei, aby jaka praca moja dostała się do encyklopedyi, może więc tam by mógł figurować choć mój pomysł. Oto niech pod wyrazem M i m o w i e d n y h u m o r zapisane zostaną wielkie prawdy, objawione w prospekcie, oraz wynalazek „dziewiczego stanu literatury". Nie od rzeczy byłoby téż włączyć jeden szczegół z winietki. Jako przedstawiciel humoru zamieszczony tam został także bandyta włoski. Zapewne włoski, bo nóż chowa po za wielkim czarnym płaszczem, twarz i przewrócone oczy kryje pod szerokiemi skrzydłami kalabryjskiego kapelusza. W pierwszéj chwili pojąć nie można, co w tém humorystycznego, dopiéro bliższe przyjrzenie się okazuje, że to morderca z przeszkodami, taki jak pajac, chodzący po linie w koszu lub z zawiązanemi oczyma. Wybrał się na krwawe żniwo, nóż błyszczący obnażył, a nogi ma związane postronkiem, pochodzącym, zdaje się, z warszawskiéj jakiéjś fabryki, gdyż widnieje na nim napis: Orgelbrand.

Lus.

„Gazeta Rolnicza" (Nr. 27, 30 i 31), pomieściła na naczelném miejscu dość obszerny artykuł p. Jana Owsińskiego pod zaciekawiającym tytułem: „Nowa era rozwoju przemysłowo-rolnego. „Autor, szukając środków wyjścia z obecnego przesilenia rolnego, stawia rzecz odrazu na szerokim gruncie ogółu stosunków gospodarczych, gdyż rozumié to dobrze, iż rolnictwo nie może się podnieść do wysokiego stopnia rozwoju bez równoległego podniesienia się przemysłu krajowego, oraz należytego uregulowania stosunków między produkcyą, a konsumcyą, „co d o t y c h c z a s, dodaje, stanowiło zadanie handlu". To słówko „dotychczas" naturalnie bardzo intryguje czytelnika, bo każe mu się domyślać, że w przyszłości gospodarstwo bez handlu się obejdzie i wiele na tém zyska. I rzeczywiście jądro „nowéj ery rozwoju przemysłowo-rolnego" tkwi, według zapatrywań p. Owsińskiego, w stworzeniu takiego systemu gospodarczego, w którym dla handlu nie ma miejsca. Za główną bowiem a nawet jedyną przyczynę obecnych dolegliwości rolnictwa i przemysłu uważa autor ich zależność od rynków handlowych. Na czém jednakże polega istota złego wpływu owéj zależności trudno czytelnikowi odgadnąć wobec tego, iż p. Owsiński przeczy stanowczo, ażeby obniżka cen targowych mogła wywołać przesilenie. „Ogólny upadek cen na wszystkie produkty—są jego słowa—w niczém nie mógłby zachwiać równowagi ekonomicznéj. Dla wymiany produktów zużywałaby się tylko mniejsza ilość zna-

ków pieniężnych, a to wcale nie pociągnęłoby za sobą przesilenia". A dalej znów mówi: „Przy leczeniu kryzysów dzisiejszych raz na zawsze zapomnijmy o pieniądzach. Ludzie zaczynają obchodzić się bez nich zupełnie"... „Wobec przesileń zwrócić należy uwagę wprost na produkcyą i na pracę, które stanowią wartość rzeczywistą, lecz nie na znaki pieniężne, które, jako takie (?), nie są bynajmniéj bogactwem, nie mają żadnéj wartości użytkowéj i ani odziać, ani nakarmić ludzkości nie mogą. Ogół konsumentów może płacić pracą. Postarajmy się więc uregulować nasze stosunki tak, aby owa praca miała zawsze cenę (wartość?), aby dziesiątki tysięcy robotników nie zostawały bez zajęcia, jak to widzimy obecnie, aby za chléb i wyroby przemysłu ogół mógł zawsze wypłacić się siłą swych mięśni, niezależnie od znaków pieniężnych". Dla czego n i e z a l e ż n i e o d z n a k ó w p i e n i ę ż n y c h? Dla czego autorowi tak chodzi o pominięcie tych znaków przy wymianie, jeżeli one są tylko prostą miarą wartości, miarą, któréj wielkość nie wpływa wcale na istotę tranzakcyi, podobnie, jak to ma miejsce przy wymianie np. jakiegoś sukna na płótno metr za metr, lub łokieć za łokieć? Czyż we wziętym przez nas przykładzie strony skorzystałyby co na tém, gdyby zamiast mierzyć płótno i sukno metrem lub łokciem, przykładały poprostu jedno do drugiego, dla porównania ich wielkości? Czyż taki prymitywny sposób mierzenia towarów przez proste pominięcie dogodnéj jednostki miary, skłoniłby do wymiany płótna na sukno tego, ktoby owego sukna nie potrzebował"? Zapewne nie. A więc, czy można przypuszczać, iż dziesiątki tysięcy robotników, zostających bez zajęcia, pozyskają pracę, jeżeli tylko zgodzą się za nią, zamiast pieniędzy, brać wyroby swojego przemysłu? Chyba również—nie. Tymczasem p. Owsiński twierdzi, że przemysł i rolnictwo wyratują się jednym zamachem z przesilenia, jeżeli tylko zamiast posiłkowania się pieniędzmi, zaczną wymieniać produkty swe *in natura*. Poznajmy jego argumentacyą:

„Dotychczas musieliśmy koniecznie od Niemca wziąć grosze za zboże. Wojtek brał te pieniądze od nas i szedł na rynek kupować sukmanę. Jeśli Niemiec nie dał groszów, to pan dziedzic często siedział przy pełnym sąsieku pszenicy bez butów, a Wojtek chodził bez sukmany. Szczęście dziedzica i Wojtka zależało od tego, czy zjadł Niemiec pszenicę, czy nie". „Paręset lat temu, gdyby naszéj szlachcie Bismark zagroził cłami, toby go wyśmieli: „Nie chcesz, szołdro, jeść mojego chleba, to mrzyj głodem, kiedy taka wola. Ja ci tam biadać od tego nie będę". Sterty stałyby u szlachcica nie młócone od roku do roku, a on nie biadałby, jak my rozpaczamy obecnie, gdy na zboże nie ma kupca, bo w stertach wi-

działby bogactwo. Chodziłby i szlacic w butach i Wojtek w sukmanie“. Ponieważ nie idzie tutaj o prawdę historyczną, ale jedynie o logikę rozumowania, więc przypuśćmy, że autor wiernie rzecz przedstawił, i zapytajmy go tylko, dlaczego ów dawny szlachcic tak mało się troszczył o zbyt swego zboża? Czy dla tego, że przy wymianie swych produktów na wyroby obce, pieniędzy nie używał? Nie—„dla tego, odpowiada nam p. Owsiński, że umiał on sobie sam wystarczyć“. Odpowiedź bez zarzutu. Gdyby ów szlachcic sprowadzał buty z Niemiec, lub kupował je w miasteczku, to nie sprzedawszy zboża, chodziłby boso, bez względu na to, czy wymiana pomiędzy nim a szewcem odbywałaby się *in natura*, czy za pośrednictwem pieniędzy, bo niesprzedanie zboża przy wymianie naturalnéj znaczyłoby, że szewc nie potrzebował zboża i butów za nie oddać nie chciał. Ale szlachcic miał swojego szewca, który bez jego zboża obejść się nie mógł i zawsze chętnie za nie buty oddawał. Gdyby przy wymianie obaj producenci używali pieniędzy, nicby się nie zmieniło. Tego p. Owsiński nie dostrzegł i w tém właśnie tkwi sprzeczność jego rozumowań i błąd jego pomysłów reformy.

Uwikławszy się w sieć nieuzasadnionéj przez się wcale niechęci do wymiany pieniężnéj, myśli autor, snując swoje projekty reformatorskie, jedynie o tém, jakby wrócić do gospodarstwa naturalnego prapradziadów bez pozbawienia się tych korzyści, które daje produkcya na wielką skalę, oparta na silnie rozwiniętym podziale pracy i użyciu maszyn. Radzi więc rolnictwu, idąc w tym względzie za znanemi czytelnikom naszym poglądami p. F. Gawrońskiego (1), chwycić się systemu połowniczego, przyczém wykształcony rolnik-właściciel ma pozostać kierownikem gospodarstwa tak samo, jak przy obecnym systemie parobczanym, przemysłowi zaś— dać za wygraną osławionym „rynkom wschodnim“ i wytwarzać towary wyłącznie na potrzebę konsumentów krajowych, wymianę zaś prowadzić w naturze: wyroby przemysłu za produkty rolnictwa.

„Ażeby to zadanie wykonać, wszystkie nasze wioski utworzyć powinny jedno wielkie stowarzyszenie spożywcze, które b r a ł o b y w y r o b y j e d y n i e z w ł a s n y c h f a b r y k, d o s t a r c z a j ą c w z a m i a n s u r o w y c h p r o d u k t ó w z w ł a s n y c h g o s p o d a r s t w. Inicyatywę w utworzeniu takiego stowarzyszenia winni wziąć na siebie kierownicy zalecanych przez nas gospodarstw połowicznych, którym, jako ściśle, dzięki spółce rolnéj,

---

(1) Patrz „Ateneum“ z listopada r. z. „Potrzeba nowéj organizacyi gospodarstwa wiejskiego“.

związanym z ogółem ludności rolniczéj, byłoby łatwo to wykonać". „Przy takim systemie rynek i pośrednik stają się zgoła zbytecznemi, a potrzeba gotówki sprowadza się do *minimum*. Im mniejszą zaś rolę w zamianie grają pośrednicy i pieniądze, tém więcéj wygrywa ogół. Gdy urządzimy się w podobny sposób, wówczas będziemy mogli drwić z naszych konkurentów i z ceł niemieckich. Sprzedać zboże, lub wyroby przemysłu będziemy musieli ledwie na podatek; zresztą obecnie już w poważnych organach literatury ruskiéj słyszymy żądania, aby podatki były wybierane *in natura*. Jeśli żądania takie dla chwili bieżącéj są jeszcze zbyt wczesne, to w każdym razie świadczą o coraz lepszém pojmowaniu przyczyn naszych przesileń i dają nadzieję, że stosunki ekonomiczne wejdą z czasem na właściwe tory."

Ostatecznie więc okazuje się, że wszystkiemu złemu winny są tylko pieniądze, te „znaki pieniężne", o których na początku artykułu radził nam autor zapomniéć zupełnie, ponieważ w rzędzie przyczyn, sprowadzających przesilenia, nie grają one żadnéj roli. Gdyby p. Owsiński był usłuchał rady, jaką dawał swoim czytelnikom, i zapomniał rzeczywiście o owych nieszczęsnych pieniądzach, byłby łatwo spostrzegł, że tak w połownictwie, jak w wytworzeniu „zamkniętego organizmu gospodarczego" chodzi nie o uniknienie wymiany pieniężnéj, ale zgoła o co innego. Proponowany przez p. Gawrońskiego system połowniczy, jako środek ratunku większych gospodarstw wiejskich, ma sens o tyle tylko, o ile obliczenia tego autora co do większego zainteresowania robotników w wyniku produkcyi, oraz co do oszczędności na inwentarzu żywym i martwym przy zastosowaniu połownictwa w porównaniu z gospodarstwem parobczaném, są słuszne. Gdyby rachunek jego był błędny, jak tego dowodzi innemi cyframi p. St. S. w „Gazecie Polskiéj" (N.N. 55 i 56 z r. b.), to proste pominięcie pieniędzy w regulowaniu stosunku właściciela gruntu do robotników, nie przyniosłoby ani jednéj, ani drugiéj stronie żadnéj korzyści. Nie o uniknienie wymiany pieniężnéj chodzi również w dążeniach do wytworzenia z jakiegoś kraju. czy państwa „zamkniętego organizmu gospodarczego", ale jedynie o ustosunkowanie i przystosowanie produkcyi do potrzeb konsumcyi w celu zapewnienia wytwórcom stałego i korzystnego zbytu wytworów i uniknienie tym sposobem rujnujących przesileń, jakie pociąga za sobą nieuporządkowana produkcya dla rynków wszechświatowych i zawzięte współzawodnictwo na nich. Nie jest to jednak sprawa tak łatwa, jak się to szanownemu współpracownikowi „Gazety Rolniczéj" wydaje. Inaczéj nienowa idea zamkniętego organizmu gospodarczego byłaby już nie w jedném państwie oddaw-

na weszła w życie. Prawdziwie wielki przemysł z natury swojéj wymaga rynku wszechświatowego. W tém leży cała trudność sprawy, i dlatego zamknięty organizm gospodarczy pozostanie na zawsze tylko ideałem, do urzeczywistnienia którego w granicach rozsądku i możności każde państwo (kraj, nie stanowiący oddzielnego państwa, nie ma środków po temu) z wielu powodów dążyć powinno, ale którego żadne prawdopodobnie w zupełności nie osiągnie.

Wreszcie i usunięcie wymiany pieniężnéj przedstawia również nieprzezwyciężone trudności, bo nieraz mogłaby zajść potrzeba wymienienia ogórka na maszynę, lub konia na igłę.

W. W.

NEKROLOGIA.

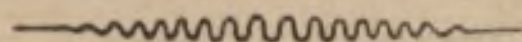
† **Antoni Jerzykowski** ur. 1821, nauki gimnazyalne kończył w Poznaniu, uniwersyteckie we Wrocławiu, gdzie też w r. 1842 otrzymał stopień doktora filozofii napisawszy i wydrukowawszy rozprawę o ósméj księdze Historyi Tucydydesa (*Octavo historiae Thucydideae libro extremam manum non accessisse demonstratur*). Zostawszy nauczycielem przedmiotów filologii klasycznéj, spełniał swe obowiązki kolejno w gimnazyum w Trzemesznie, Ostrowie i Poznaniu, ogłaszając dużo książek szkolnych już od r. 1844, kiedy się ukazało pierwsze wydanie jego „Zadań do tłómaczenia z greckiego na polskie i z polskiego na greckie". Poszły potém: Gramatyka niemiecka (6 wydań), polska, łacińska (3 wydania), Jeografia, Historya powszechna, Zadania do tłómaczenia z łaciny na polskie i odwrotnie, Słownik do Korneliusza Neposa i Cezara, Wybór poezyi Owidyusza. Zajmował się też i ulubionym Tucydydesem, już to tłómacząc go częściowo, już-to rozbierając jakieś trudniejsze w nim miejsca. Umarł w wieku sędziwym 2 września r. b. w Poznaniu.

† **Izaak Kramstück**, urodzony w r. 1816 z rodziców trzymających się ściśle form tradycyjnych, poddał się jednak wcześnie wpływowi prądów nowych, jakie w czasie młodości jego zaczęły już przenikać do społeczeństwa żydowskiego w Królestwie i wszedł do szkoły rabinów, świeżo wówczas założonéj w Warszawie. Uczono tam oprócz religii, także nauk świeckich: rachunków, gieografii, historyi, nauk przyrodniczych. W 1836 sam został nauczycielem w téjże szkole i dał się zaszczytnie poznać jako kaznodzieja; a gdy się ruch w dziedzinie uspołecznienia żydów ożywił i wzmógł, brał udział w sprawach ogólnych. Przez lat kilka był nieobecnym w kraju. Powróciwszy do Warszawszy, od 1869 zwrócił się do piśmien-

nictwa. Pierwszą w tym kierunku pracą był przekład i objaśnienie obszernéj rozprawy o „Talmudzie“, którą w „Bibliotece Warszawskiéj“, a potém osobno ogłosił (Warsz. 1869, str. 90). Następnie w 1870 wydał „Kalendarz dla Izraelitów“, w 1872 książkę p. n. „Prawda wieczna czyli zasady religii Mojżeszowéj“ (str. 101), w 1878: „Przysłowia Salomona“ przełożone i objaśnione przez siebie (Warsz. str. 124). Zmarł w Warszaw d. 25 września r. b.

† **Florentyn Gwozdecki**, ur. w r. 1811, wystąpił w piśmiennictwie w czasach bardzo jałowych, kiedy literatura warszawska składała się z samych niemal tłómaczeń. Około r. 1838 był redaktorem „Gazety Warszawskiéj“ i wydawał przy niéj dodatek literacki p. n. „Tęcza“, zawierający po większéj części przekłady krótkich powiastek zazwyczaj z literatury francuskiéj. Dodatku tego wyszło 12 tomików w 1838 l 1839 r. Tłómaczył także wiele komedyi i dramatów. Był przez czas jakiś dyrektorem teatrów warszawskich. Zmarł w Płocku w 2-éj połowie września.

† **Julian Kołaczkowski**, inżynier kolejowy, archeolog, bibliograf i biblioman, napisał i wydał „Słownik rytowników polskich tudzież w Polsce zamieszkałych lub czasowo w niéj przebywających. (Lwów, 1874, str. 78), „Spis rycin Antoniego Oleszczyńskiego“ (Warsz. 1880), „Wiadomość o dawnych fabrykach w Polsce“ (Lwów, str. 16), „Pamiątki po Janie Sobieskim (Lwów 1883), „O architektach i budowniczych w dawnéj Polsce“ (Lwów, 1884). Zostawił bibliotekę obfitującą w „białe kruki“. Zmarł we Lwowie w końcu września r. b.



Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIA.

Ogłoszenie konkursu. Stypendyum imienia Śniadeckich z fundacyi ś. p. Seweryna Gałęzowskiego w kwocie 5000 franków rocznie, ma być nadane od 1 listopada b. r.

O stypendyum to ubiegać się mogą asystenci lub docenci obu uniwersytetów krajowych, lub jednego z zagranicznych (ci ostatni z warunkiem dostatecznéj do wykładu biegłości w języku polskim). Stypendyum to na rok 1889/90 przyznane być może tylko kandydatom poświęcającym się naukom przyrodniczym.

Do podań, które najdaléj po koniec października b. r. wnosić należy do Akademii Umiejętności (Kraków, ulica Sławkowska), dołączyć należy:

1. Dowód, że kandydat jest asystentem lub docentem, jakiego przedmiotu, jak dawno, ilu miewał słuchaczy.
2. Prace naukowe, bądź już drukiem ogłoszone, bądź w rękopiśmie będące.
3. Program studyów, które w ciągu roku przedsiębrać zamierza.

Po upływie pierwszego półrocza kandydat będzie obowiązany złożyć sprawę z prac naukowych, któremi zajmował się w tym czasie i usilność swoję w téj mierze w właściwy sposób udowodnić.

Sumę sobie przyznaną stypendysta odbierać będzie w ratach półrocznych z góry.

W Krakowie, dnia 21 września 1889 r.

Stanisław Tarnowski.
sekretarz jen. Akad. Um.

Uprasza się uprzejmie pisma polskie o powtórzenie niniejszego ogłoszenia.

SPROSTOWANIE.

Omyłki druku w tomie III „Ateneum“ 1889 r.

Str.	wiersz	jest	ma być
332	13 od dołu	wązkiego	wysokiego
335	19 „ „	Takanie	Takassie
337	7 „ „	Tanawicz	Tauawicz
341	11 „ „	geer	geez
487	5 „ „	nie	— (opuścić)
490	17 „ góry	za	z
495	3 „ „	Rohefs	Rohlfs
497	8 „ „	amfitryalnie	amfiteatralnie

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Kwartale III-cim 1889 r.

1. **Kwiat Lotosu**. Powieść przez *Maryę Rodziewiczównę* (Autorkę „Dewajtisa“). Warsz. nakł. S. Lewentala. 1889. 8-o, str. 320.
2. *Jerzy Gordon lord Byron*. **Dwie tragiedye historyczne** (Dwaj Foskarowie—Marino Faliero). Po raz pierwszy na język polski przełożone przez *Feliksa Jezierskiego*. (Biblioteka najcelniejszych utworów). Warsz. nakł. S. Lewentala. 1889. 8-o, str. 248.
3. **Z zagona i z bruku**. Zbiór nowel *Adolfa Dygasińskiego*. Warsz. nakł. S. Lewentala. 1889. 8-o, str. 441.
4. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego*. Tom X, zeszyt 116, str. 561—640 (Sieniówka—Skała).
5. **Szymona Szymonowicza Castus Joseph** przekładania *Stanisława Gosławskiego* 1597. Wydał *Roman Zawiliński*. Krak, 1889. 8-o. str. VIII i 98.
6. **Jak mówić po polsku**. (Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa). Warsz. 1889, zeszyt 15 (str. 325—342 i IV); cena kop. 10.
7. *Feliks Kucharzewski*. **O początkach piśmiennictwa technicznego** w Polsce (z 1 tablicą podobizn drzeworytów, podanych w dziele „Architekt Polski“ z r. 1690). Warszawa. 1889. 8-o, str. 40.
8. **Krestianskij wopros** w Polszie w epochu jeja razdiełow. *W. Miakotina*. Petersb. 1889. 8-o, str. 230 i II.
9. **Jak pisać po polsku** czyli stylistyka języka polskiego, napisał *Władysław Korotyński*. Warszawa. 1889. 8-o, zeszyt 1, str. 24 (cena kop. 10), zesz. 3, str. 49—72.
10. **Jagodne** (wieś w pow. Łukowskim). Zarys etnograficzny, skreślił *Zygmunt Wasilewski* (Biblioteka „Wisły“, tom IV, wyd. z zapomogi kasy imienia Mianowskiego). Warszawa. 1889. 8-o, str. 251+4+III.
11. *Marcina Bielskiego* **Satyry**: I. Sen majowy, II. Rozmowa baranów, III. Sejm niewieści. Wydał Dr. *Władysław Wisłocki*. (Biblioteka pisarzów polskich, wyd. Akademii umiejętności). Kraków. 1889. 8-o, str. XV i 119.
12. **Encyklopedya wychowawcza**. Tom IV, zeszyt VII (całego dzieła zesz. 31). Warszawa. 1889, wielkie 8-o, str. 481—560.
13. **Pamiętnik** piętnastoletniej działalności Akademii Umiejętności w Krakowie. 1873—1888. Kraków. 1889. 8-o, str. VIII+XVI+209+200.
14. *S. Arnaud*. **Synowie Jaheli**. Dramat w czterech aktach wierszem. Przełożyła z francuzkiego *T. Prażmowska*. Warsz. nakł T. Paprockiego i S-ki, 1889 (1890). 8-o, str. 111.
15. **Świat kobiety**. Przez autora dzieła „Jak być szczęśliwym w małżeństwie“. Przełożyła z angielskiego Walerya Marrené. Warszawa, nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1890. 8-o, str. VIII i 272.
16. **Przewodnik dla teatrów amatorskich**. Do użytku osób takowe urządzających i w nich udział biorących. Napisał *Wincenty Rapacki*. artysta dram. teatrów Warsz.—Warszawa nakł. księgar. T. Paprockiego i S-ki, 1890. 8-o, str. 140.
17. *A. Schroot*. **Życie i zdrowie** człowieka. Hygiena popularna dla wszystkich. Tłumaczył z upoważnienia autora i opracował Dr. med. *A. Fabian*. (Wyd. księg. T. Paprockiego i S-ki). Warsz. 1889. 8-o, zesz. 5 (ostatni) str. 345—504 i V.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1889, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.
II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.
III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.
IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.
V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.
VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.
VII. Artykuły treści wychowawczéj.
VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.
IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.
X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.
XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 21 Сентября 1889. г.